



ZEMSTA



WALENTYNKI



MALWINA A. TYLEWICZ

 ZEMSTA 
WALENTYNKI



Tytuł oryginału: Zemsta Walentynki

Redakcja: Anna Kołtek

Korekta: Monika Kujawa

Skład i łamanie: Projekt Chaos

Konwersja do wersji elektronicznej: Wielogłaska Katarzyna Mróz-Jaskuła

Okładka: Projekt Chaos/przy użyciu materiałów autorstwa Freepik oraz lookstudio na
Freepik

Copyright: Malwina A. Tylewicz 2024

Kopiowanie i rozpowszechnianie utworu lub jego fragmentów bez zgody autora jest
zabronione.

Wydawca: Malwina A. Tylewicz; Wydawnictwo Projekt Chaos 2024

Wydanie pierwsze e-book

ISBN 978-83-967665-6-4

Kórnik 2024

1

– Walentyno Pączek, możesz mi wytłumaczyć, jak się w to wpakowałaś? – grzmiała w telefonie mama, przyprawiając dziewczynę o przyspieszone bicie serca.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Jak mogłaś uciec w połowie kolacji i zostawić tego biednego chłopaka samego?

Walcia westchnęła z rezygnacją. Spojrzała w prawo, w lewo i przeszła na drugą stronę ulicy, szerokim łukiem omijając kwiaciarnię, gdzie zewsząd spozierały na nią pulchne amorki i krwistoczerwone serduszka wyskakujące z różowych bukietów. Pojemniki z kwiatami zostały rozstawione tak szeroko, że nie sposób było przejść chodnikiem i nie potknąć się o jeden z nich. Stanowiło to niewątpliwy znak, że walentynki obchodzono właśnie dziś. Nic dziwnego zatem, że sprytna kwiaciarka postanowiła zwiększyć obroty i przypomnieć mężczyznom przemierzającym ulicę z głową w chmurach, że przyziemne sprawy czekają na nich tuż pod nogami. Bo jak można pojawić się w domu bez bukietu dla małżonki czy dziewczyny? To groziło wielką awanturą! A jak w takim razie najlepiej zadbać o to, by nikt nie zapomniał o kwiatkach? Po prostu sprawić, by potencjalny klient wpadł w pojemnik z nimi.

Tak działała siła marketingu. Walcia już widziała przyszłą ofiarę zmierzającą ze smartfonem w rękę w zastawioną pułapkę.

– Czy ty mnie słuchasz? Walentyno! – zaskrzeczał głos.

– Tak, mamo, słucham cię przez cały czas – odparła cierpliwie, wskazując na krawężnik, aby ominąć kałużę. – Tylko właśnie okropnie się spieszę i nie bardzo mogę rozmawiać...

– Jesteś umówiona? – podchwyciła rodzicielka z nadzieją w głosie.

Mama Walci nie potrafiła jakoś zaakceptować jej stanu wolnego. Zawsze marzyła o tym, że córka wcześniej wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci w liczbie zapewniającej wystawienie własnej drużyny koszykarskiej albo nawet lepiej – od razu piłkarskiej. Walcia

westchnęła ponownie i przytaknęła z wielkim oporem. Nie było to do końca kłamstwo, ale cóż poradzić, mama inaczej by jej nie odpuściła.

– No dobrze, tylko pamiętaj, dzisiaj są twoje imieniny i zaprosiłam rodzinę...

– Nie... – jęknęła przerażona, odwróciła głowę i stanęła jak skamieniała.

– Przyrowadź tego chłopaka, do którego się wybierasz, ale gdyby ci nie wyszło, to daj znać, zaproszę na szybko Bartusia od Wiśniarków, tego młodszego. I nie narzekaj, w twoim wieku nie ma co wybrzydzać.

– Mamo, ja mam dwadzieścia trzy lata...

– No właśnie o tym mówię. Wiesz, że już trzy twoje kuzynki są zamężne, czas ucieka, skarbie.

Matka rozłączyła się, zanim Walcia zdążyła oderwać wzrok od zjawiska przed sobą i zastanowić się nad odpowiedzią. Wpatrywała się w wystawę sklepu żelaznego jak w fantastyczną wizję. Ktoś wykazał się ogromną kreatywnością. Nad dwoma ludzikami ze śrubek i nakrętek spletanymi w miłosnym szale dostrzegła nietoperze przebrane za amorki. Włochate korpusiki były przyodziane w białe sukienki z chusteczek higienicznych, a nad główkami doczepiono im malutkie łuki ze strzałami zakończonymi serduszkami. Wokół nich unosiły się na łańcuchach powycinane z papieru czerwone serduszka, które przypominały krwawy deszcz spadający na śrubkową parę. Walcia patrzyła na zaaranżowaną scenkę i zachodziła w głowę, dlaczego starszy pan ze sklepu pozwolił sobie na taką swobodę interpretacji. Z trudem oderwała oczy, starając się zapomnieć o krwiożerczych amorkach. Miała w tej chwili większy problem. Musiała szybko coś wymyślić w związku z ustawioną randką.

O kim mówiła mama? Bartek Wiśniarek? Na samą myśl dreszcz przebiegł jej po plecach. Oczami duszy zobaczyła o dobrą głowę niższego i o połowę szerszego od niej, dziobatego syna sąsiadów, który podczas ostatniego spotkania robił jej bardzo niedwuznaczne propozycje. Jeśli czegoś nie wymyśli, czeka ją walentynkowy wieczór jak z horroru. Problem polegał na tym, że Walcia nie miała żadnej alternatywy. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego

chłopaka, który zechciałby w ten dzień pełnić – choćby awaryjnie – funkcję partnera dziewczyny. Do tego była beznadziejnie zakochana.

Tak. Walentyna Pączek była zakochana w chłopaku z sąsiedztwa. Jej wybranek mieszkał w kamienicy stojącej naprzeciw tej, w której ona wynajmowała studencką kawalerkę. Pawełka Pawłaka, jak pieśczośliwie zwracała się do niego w myślach, odkryła, gdy wyglądała pewnego letniego wieczoru na rozgrzaną słonecznym dniem ulicę. Okna jego mieszkania znajdowały się dokładnie naprzeciwko jej. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, młody mężczyzna właśnie przebierał się po skończonym treningu z ciężarkami. Walcia przystanęła i oparła głowę o framugę okna. Nie potrafiła oderwać wzroku. Od tamtej pory zdążyła poznać regulujące jego dzień ćwiczenia, pory posiłków, a także wstawania i chodzenia spać. Oglądała razem z nim filmy akcji na plazmowym telewizorze i dowiedziała się, jaki stosunek do związków ma on i jego przyjaciele spotykający się u niego w mieszkaniu. Tylko samego Pawła nie poznała do tej pory osobiście. Przez chwilę zastanawiała się, czy dałaby radę zaprosić go na wieczorną imprezę jeszcze dziś, ale szybko wyrzuciła ten pomysł z głowy. Nie mogła tak podejść do niego i zaprosić na kolację z rodzicami. Co innego, gdyby byli w sobie zakochani, ale on przecież nie wiedział o jej istnieniu. Miałby zakochać się od pierwszego wejrzenia? Cóż... Walcia wierzyła, że to możliwe, może nie z nią, ale wierzyła, że niektórym się to zdarza. Obejrzała wystarczająco dużo komedii romantycznych, żeby w podświadomości zakodować nieśmiałą myśl: takie rzeczy się zdarzają. Tylko nie w jej wypadku.

Spojrzała jeszcze raz w witrinę, tym razem skupiając się na własnym odbiciu. Przechyliła lekko głowę, pozwalając, aby okrągłą i rumianą twarz otoczyła fala ruchliwych, płomiennorudych loków. Wyglądała jak Merida Waleczna, tylko o dwa rozmiary większa. Cóż, nie każdy może być dość piękny, żeby stać się bohaterem romansu. W jej wypadku potrzebne byłyby jakieś czary.

– Właśnie! To jest to! Muszę użyć czarów! – krzyknęła do swojego odbicia, wzbudzając podejrzliwe spojrzenia mijającego ją mężczyzny, który taszczył ogromny bukiet czerwonych róż. Przechodzień przytulił odruchowo wiązankę i przyspieszył kroku.

Uśmiechnęła się szelmowsko do swojego odbicia i różnym krokiem ruszyła ulicą. W komórce wyszukała numer najlepszej przyjaciółki.

– Nastka? Potrzebuję twojej wielkiej książki! – zawołała wesoło.

– Że co? – usłyszała zdziwiony głos. – Jakiej książki?

– Tej, co wygląda jak stara książka telefoniczna – tłumaczyła niezrażona dziewczyna. – Tej w kozie.

– Walcia, czy ty się szaleju najadłaś?

– Nie, muszę rzucić na kogoś urok! I to przed kolacją z rodzicami.

Po drugiej stronie łącza na moment zapadła zupełna cisza. Walcia przed chwilą jeszcze sunęła przez ulicę, prawie unosząc się w powietrzu z radości, teraz jednak odrobinę zwolniła.

– Ustalmy fakty – odezwała się Anastazja, która wśród znajomych uchodziła za czarownicę. Ciężko pracowała na swoje miano, dbając nie tylko o odpowiednią wiedzę, ale też o wygląd. Przy czym swoją profesję traktowała śmiertelnie poważnie. – Chcesz pożyczyć ode mnie *Wielką księgę zaklęć*. Tę w... oprawie z koźlęcej skóry – zaznaczyła z niesmakiem. – I... co dalej? Na kogo chcesz rzucić urok przed kolacją?

– Na faceta. Potrzebuję go na kolację.

– Moja droga, to nie jest książka kucharska!

– Po co mi książka kucharska? – Walcia zatrzymała się przed światłami. Właśnie zapaliło się czerwone. Nieświadomie przytupywała, czekając, aż zmieni się na zielone, i odruchowo liczyła samochody. Informacja, jakoby książka kucharska była jej bardziej potrzebna niż rzeczona księga, dochodziła do świadomości dziewczyny w mocno zwolnionym tempie.

– To ja się pytam, po co ci na kolację *Wielka księga zaklęć*?!

– Ona nie, potrzebuję faceta. Mama chce mnie wyswatać i potrzebuję kogoś, kto odwróci jej uwagę.

– A nie lepiej, żeby ci kogoś przedstawiła? Może facet będzie sensowny.

– Sensowny?! – Walentyna ruszyła przez pasy, gestykulując w oburzeniu na wszystkie strony. Wzbudzała swoim działaniem popłoch wśród przechodniów z naprzeciwka. – Sensowny?! Ona chce, żebym się spotkała z Bartkiem Wiśniarkiem!

Na łączu ponownie zapadła chwila ciszy, po czym dobiegł ją grobowy głos Nastki:

– Tym Bartkiem, co myślę?

– Z pewnością tym samym – odparła zdecydowanie Walcia.

– Dobra, przychodź. Tylko szybko, bo za pół godziny muszę wyjść.

– Będę za dwie minuty – zapewniła, widząc już blok, który był celem jej podróży.

Przyjaciółka otworzyła drzwi już po pierwszym dzwonku. Walcia nie mogła napatrzeć się na tę dziewczynę o kruczoczarnych, długich włosach. W obcisłym golfie w kolorze burgunda i czarnej, wąskiej spódnicy wyglądała jak femme fatale z obrazu. W objęciach czule ścisnęła wielką księgę oprawioną w skórę. Wizyta dziewczyny wcale jej nie ucieszyła. Patrzyła na nią podejrzliwie i z obawą.

– W zasadzie nie powinnam ci jej dawać. Nie znasz się na tym, nie uprawiałaś czarów i nigdy nie rzucałaś uroku.

– Będę ostrożna – przyrzekła gorliwie, czując, jak świerzbią ją dłonie, aby wyrwać książkę z rąk czarnowłosej.

– Bardzo ostrożna?

– Śmiertelnie. – Widząc, że tamta nadal się waha, postanowiła uderzyć w patetyczną nutę, odwołując się do odwiecznej przyjaźni i lojalności. – Nastka, ja jestem pod ścianą, nie zostawiaj mnie w desperacji. To Bartek... Chciałabyś z nim spędzić walentynki?

Podziałało. Nastka przygryzła wargę, ale w końcu wyciągnęła dłonie z księgą w stronę Walci.

– Tylko postępuj zgodnie z opisem. – Poglądziła okładkę. – To ważne, żeby się udało.

– Co do joty.

– I opiekuj się nią. Ta książka jest bezcenna.

– Będę się nią opiekować jak własnym potomstwem – zapewniła żarliwie, kładąc dłoń na sercu w dramatycznym geście. W tej chwili gotowa była złożyć każdą możliwą przysięgę, byle tylko Nastka wreszcie puściła cenną własność.

– Ty przecież nie masz potomstwa.

– Ale gdybym miała, tobym się opiekowała.

Czarownica niechętnie przekazała wolumin, nie spuszczając z niego pełnego obawy spojrzenia.

– Pamiętaj – dodała na koniec – wypełniaj instrukcję co do joty.

– Jasne. – Walcia uśmiechnęła się do niej łagodnie i objęła w czułym geście. – Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.

– Mam nieodparte wrażenie, że będę tego żałowała – mruknęła dziewczyna. – Cieszę się, że wreszcie postanowiłaś zadziałać. Jesteś już w takim wieku...

– Nastka! Ja wiem. – Walcia skoczyła jednym susem do drzwi. Nie zniosłaby słuchania dziś tego samego dwa razy, od matki i od Anastazji. – Odniosę ci książkę, jak tylko skończę!

Trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

2

Dzierżąc ciężką zdobycz w objęciach i dysząc jak lokomotywa, wróciła do swojego mieszkania. Zrzuciła buty, usiadła na dywanie pośrodku niewielkiego pokoiku, który był całym jej światem, i położyła księgę przed sobą. Przez chwilę przyglądała się pięknie wykonanej okładce. Tłoczone wzory na brązowej skórze nosiły ślady dawnych złoceń. Nastka opowiadała kiedyś, że wolumin ten przekazywano w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie jako dowód na pochodzenie z rodu czarownic.

– Cytując klasyka: raz kozie wio! – zawołała i otworzyła *Wielką księgę zaklęć*.

Przez dłuższy czas studiowała kolejne grube karty, coraz bardziej marszcząc czoło. W środku nie znalazła żadnego spisu treści, więc zmuszona była szukać odpowiedniego uroku strona po stronie. Pracę utrudniało ręczne pismo, którym zapisywano kolejne teksty. Część z nich była tak stara, że atrament zdążył już mocno wyblaknąć, przez co litery stały się niemożliwe do odczytania. Kiedy do tego doszły jeszcze rysunki i symbole, jakich Walcia nie widziała wcześniej na oczy, nawet podczas zajęć z rozszerzonej matematyki, sprawa zaczęła robić się beznadziejna. Po pół godzinie dziewczyna była bliska płaczu. Nie potrafiła znaleźć w zapisach nic, co mogłoby pomóc w jej sytuacji. Co prawda w księdze spisano cały rozdział poświęcony zaklęciom miłosnym, ale do tej pory znalazła jedynie „wywar na bezsenność miłosną”, „urok na wpędzenie konkurentki w rozwolnienie” i „urok miłosnych kurzajek”.

– To bez sensu – mruknęła załamana. Położyła się obok książki na podłodze i wyprostowała ścierpnięte nogi. – Nie będę przecież wpędzała go w bezsenność, a tym bardziej w rozwolnienie.

Wyciągnęła portfel z torby i odszukała niewielką torebeczkę strunową. Wpatrywała się w nią przez chwilę z uwielbieniem. Kilkanaście blond włosów tworzyło w środku jasny pukiel. To był jej artefakt miłosny. Jeszcze latem przekupiła fryzjerkę, aby zachowała dla niej tę małą pamiątkę, jak tylko Paweł przyjdzie na strzyżenie.

Fryzjerka patrzyła na nią z lekkim przerażeniem, ale dwieście pięćdziesiąt złotych zrobiło swoje i po dwóch tygodniach Walcia otrzymała swój upragniony kosmyk. Od tej pory była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadała, zaraz po zdjęciu, które zrobiła kiedyś ukradkiem telefonem i przechowywała w specjalnie oznaczonym folderze.

Westchnęła ciężko.

Komórka Walci wydała z siebie esemesowy dźwięk. Dziewczyna wydobyła ją z tylnej kieszeni spodni i odczytała wiadomość.

Jak idzie? Zapraszać Bartusia? Pospiesz się. Mama

Czas płynął nieubłaganie. Pora kolacji zbliżała się nieuchronnie, a dziewczyna nadal nie miała partnera. Pawełek jak nie wiedział o jej istnieniu, tak nie wiedział. Trzeba było działać szybko.

Wzięła do ręki księgę i trzymając ją przed sobą, zastanawiała się, czy powinna sobie wyczarować kurzajki, w których zakocha się jej wybranek? Czego w końcu nie robi się dla miłości? Jeśli będzie ją kochał, może mieć nawet te kurzajki. A gdyby udało się wybrać jakieś mniej widoczne miejsce? Wpatrywała się w zakłęcie, walcząc z myślami. Odwróciła stronę i wtedy spostrzegła, że następna karta jest grubsza od innych. Zaintrygowana podniosła się, położyła książkę na podłodze i dotknęła ostrożnie papieru. Już po chwili miała pewność, że arkusze skleiły się w tym miejscu.

Pobiegła do kuchni po nóż i wróciła w podskokach. Zawisła nad woluminem i wsunęła ostrze pomiędzy sklezione strony. Najostrożniej, jak umiała, przesuwiała nóż, rozdzielając karty. W końcu była w stanie je otworzyć i odczytać urok.

– Na miłość psią, acz czułą – odczytała ozdobny nagłówek. Z nikłą nadzieją wzięła księgę na kolana i czytała na głos, aby ułatwić sobie zadanie. – Miłości wielkiej kochanie jak psiego serca oddanie, po wsze czasy trwającej, na śmierć i życie będącej...

Walcia poczuła szybsze bicie serca. To było właśnie to, czego szukała! Miłość oddana, czuła, wierna... Tego potrzebowała. Teraz wystarczyło rzucić zakłęcie i Pawełek powinien przybiec do niej, jak tylko ją zobaczy!

Przesunęła palcem po stronie. Pod opisem znajdowała się wykaligrafowana gotyckim pismem lista potrzebnych do rzucenia

uroku produktów oraz rysunek magicznego kręgu, który należało skopiować.

– Kreda biała rytualnie poświęcona, krwi dziewiczej sarny pięć kropel spuszczonej, ambrozji nektar dla wzmocnienia uczucia jak narkotyk działającego – wymieniała, zapisując kolejno na kartce potrzebne rzeczy. – Włosów kilka lub krwi kropel ofiarnych... Świec dwanaście i sznur do uczuć wiązania, koniecznie czerwony. Dobra, wszystko!

Walcia triumfalnie zerwała się z podłogi. Popatrzyła na notatki i szybko doszła do wniosku, że żadnej z tych rzeczy nie ma w domu. Trudno, trzeba będzie jeszcze wybrać się na zakupy przed rozpoczęciem działań. Zgarnęła torebkę i swoje zapiski, a następnie wybiegła z mieszkania.

Na chodniku przystanęła, zastanawiając się, gdzie najlepiej się udać. Przecież nie wszędzie znajdzie kredę i krew sarny. Po dłuższym namyśle doszła do wniosku, że dyskont na pobliskim osiedlu powinien być dobrym rozwiązaniem. Widziała tam dział szkolny, gdzie na pewno znajdzie kredę, i dział mięsny, w którym liczyła na dziczyznę. Kiedyś udało jej się kupić tam piękny kawałek zająca podczas tygodnia kuchni francuskiej. Przy odrobinie szczęścia będą mieli też sarninę. Wrzucę ją na patelnię albo posolę na półmisku, wtedy powinna z mięsa wypłynąć krew – pomyślała. Ruszyła dziarskim krokiem w stronę sklepu.

Już od samego progu natknęła się na wielkie serce w wysokich szpilkach. Zajęło jej dobrą minutę zrozumienie, że zgrabne nogi należą do człowieka, a góra jest jedynie przebraniem. Serce wędrowało od jednego końca drzwi do drugiego i witało każdą napotkaną osobę wesołym szczebiotem, do którego próbowało dodać jedną z trzymanyh w ręce ulotek. Większość ludzi omijała maskotkę szerokim łukiem, na co ta zdawała się nie zwracać uwagi, szybko znajdując następną ofiarę w ruchliwym przejściu.

– Dzień dobry, wesołych walentynek! – zawołało serce na widok Walci przekraczającej próg obrotowych drzwi.

– Dzień dobry – odparła automatycznie, zajęta myślami o przyborach szkolnych.

– Proszę, pani weźmie. – Natarło na nią serce, dzierżąc przed sobą ulotkę, jak zdążyła dostrzec dziewczyna, z ofertą pożyczki na

wyjazd dla dwojga do „słonecznej Norwegii”.

– Nie, dziękuję. – Walentyna przyspieszyła kroku, ale serce ruszyło truchtem za nią mimo wysokich szpilek.

– Pani weźmie, pani się to bardzo przyda! – krzyczało.

– Nie potrzebuję – broniła się, jeszcze bardziej przyspieszając.

– Właśnie, że się przyda!

– Nie!

Walcia pędziła co tchu przez szeroki pasaż. Ludzie schodzili jej z drogi, zdziwieni nietypowym zjawiskiem, bo tuż za nią truchtało nieporadnie wielkie filcowe serce na szpilkach i wymachiwało ulotką.

– Nie, nie chcę, wcale nie potrzebuję! Przepraszam! – krzyknęła ze łzami w oczach Walcia, dopadając drzwi dyskontu.

Natarczywa maskotka została z drugiej strony. Dziewczyna odwróciła się ukradkiem. Serce stało przez moment ze zwieszonymi smętnie rękoma, miętosząc czerwoną ulotkę. Pierś Walci ścisnęła się z żalu, już chciała wrócić i zabrać kartkę, choćby miała ją za chwilę wyrzucić, ale serce wyprężyło się nagle, odwróciło na pięcie i podreptało w stronę wyjścia, gdzie zaczęło polować na następnych nieszczęśników. Walcia odetchnęła z ulgą i ruszyła pomiędzy regały.

W dziale przyborów szkolnych i papieru zastała pustki. Nie było ani kredy, ani nawet kredek czy flamastrów. Walcia przechadzała się wąskimi alejkami i kontemplowała półki, zastanawiając się, czym zastąpić rytualną kredę. Musiało być białe i w miarę łatwe w użytkowaniu. Po namyśle zrezygnowała z pasty do zębów i majonezu. Strzałem w dziesiątkę okazała się wizyta w dziale proszków do pieczenia, galaretek i... bitej śmietany! Z dziką satysfakcją wrzuciła do koszyka wielkie opakowanie śmietany w sprayu do dekorowania ciast i deserów. Smacznie i praktycznie, uznała zadowolona, i powędrowała do działu mięsnego. Tam spotkał ją kolejny zawód. Po dziczyźnie nie pozostało nawet wspomnienie. Zapytana o to ekspedientka uśmiechnęła się tylko pobłaźliwie.

– Pani, to była promocja czasowa. My zwykle takich rarytasów nie mamy – odparła, machając ręką w foliowej rękawiczce. – Taki ekskluzyw to w delikatesach.

– A są jakieś delikatesy w pobliżu? – zapytała Walcia z nadzieją.

– Ech... – Ekspedientka zamyśliła się, po czym pokręciła głową. – Jedne były na narożniku przy parku, ale zbankrutowali miesiąc temu.

Może pani skusi się na kurczaczka? Świeży, dzisiaj przywieziony!

Dziewczyna zaprzeczyła i ruszyła ponownie między alejki, zastanawiając się, czym zastąpi krew sarny. Przecież nie może użyć do uroku – zamiast sarny – mięsa z kurczaka. Jakoś wydawało jej się to zbyt banalne. Przemknęła pomiędzy wszystkimi regałami, ale nigdzie nie znalazła godnego zastępstwa dla krwi sarny. Po drodze zgarnęła jeszcze w dziale przypraw cynamon. Czytała kiedyś, że jest to znany od czasów antycznych afrodyzjak, a skoro na zdobycie w tak krótkim czasie ambrozji nie miała szans, postanowiła w tym punkcie także posłużyć się produktem zastępczym. W końcu ustawiła się w ogonku do kasy samoobsługowej, tuż za kilkoma panami trzymającymi w objęciach pudełka czekoladek z promocji. Jeden miał nawet dwa opakowania. Walcia obserwowała go z zaciekawieniem. Mężczyzna na oko po czterdziestce niecierpliwie przytupywał w kolejce i co chwilę rozglądał się nerwowo dookoła. Jego żona musi bardzo lubić czekoladki – stwierdziła Walcia. Od stania w kolejce sama nabrała ochoty na słodkości. Wrzuciła do koszyka bombonierkę wiśni w czekoladzie za jedyne dziewiętnaście dziewięćdziesiąt i już chciała przesunąć się bliżej kasy, bo nerwowy pan skończył zakupy, gdy spostrzegła promocję keczupu. No tak, cóż jest lepszego do udawania krwi niż keczup? – pomyślała, przypominając sobie wszystkie młodzieżowe imprezy halloweenowe, podczas których ten produkt zawsze grał pierwsze skrzypce, jeśli chodziło o charakteryzację. Zadowolona ze swojej pomysłowości, skasowała na kasie samoobsługowej bitą śmietanę, keczup, paczkę cynamonu i bombonierkę. Patrząc na swoje zakupy, uznała je w ostateczności za bardzo udane. W końcu mogła zabrać się za rzucanie uroku. Miała coraz mniej czasu, a prócz przygotowania magicznego kręgu czekało ją jeszcze stworzenie dogodnej sytuacji do tego, aby Pawełek zobaczył ją i się zakochał! Musiała naprawdę się spieszyć, jeśli chciała zapobiec walentynkowej randce przygotowanej przez mamę.

– Walentyno?! – usłyszała za sobą wysoki głos ciotki Klary. Poczula, że nogi miękły jej w kolanach. Jak ona wytłumaczy się z tego, że jest na zakupach zamiast na randce?

– Cześć, ciociu – odparła Walcia, siląc się na uśmiech.

– Co ty tu robisz? Twoja mama mówiła, że jesteś na randce?

Dziewczyna jęknęła w duchu. Oczywiście rodzicielka natychmiast obdzwoniła wszystkie ciotki z nowiną. Jej potrzeba wydania córki za mąż była tak silna, że żadna informacja związana z życiem osobistym Walci nie miała szans przejść niezauważona.

– No... właśnie idę... – skłamała.

Krewna zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem: od sportowych butów, džinsów i ramoneski po zwichrzoną burzę rudych loków.

– Tak ubrana?

– Tak wyszło...

Ciotka zmarszczyła brwi, ściskając mocniej rączkę parasolki, która służyła jej częściej jako laska niż ochrona od deszczu.

– Nie rozumiem współczesnej młodzieży – zrzędziła staruszka. – Jak można w ten sposób ubierać się na spotkanie... I co ty tam masz? – Zajrzała do reklamówki, którą Walcia dzierżyła mocno w dłoni. – Przygotowujesz mu posiłek? To dobrze, dobrze, niech chłopak wie, że będzie miał żonę, która umie gotować... Bo ty umiesz gotować? – zaniepokoiła się.

Walcia przytaknęła gorliwie i zrobiła krok w tył.

– Ja już muszę... muszę lecieć, bo... bo tam czeka na mnie – wiła się w tłumaczeniach, wycofując się z pola rażenia.

– Ty ciągle gdzieś się spieszysz. Tak nie można. Na związek potrzeba czasu, na gotowanie też, co ty mu chcesz ugotować tak na ostatnią chwilę?

Ciotka pociągnęła siatkę, zaglądając do środka. Jej oczy powiększyły się niczym spodki.

– To na obiad? – spytała niedowierzająco.

– Tak, na obiad – zapewniła dziewczyna. – Na obiad i deser! I... i tam zostawiłam zupę na gazie – wypaliła desperacko. – Muszę lecieć.

Walcia nigdy w życiu nie osiągnęła takich prędkości jak w czasie ucieczki z dyskontu, czując odprowadzające ją podejrzliwe spojrzenie starszej kobiety.

Przed sobą miała jeszcze jedną przeszkodę. Wielkie serce dreptało przy drzwiach i już z daleka było widać, że przygotowuje się do natarcia.

– Pani weźmie... – Wyciągnęło do niej rękę z ulotką.

– Niiieeeeeeeee! – zawyła, przemykając obok bez zatrzymywania.

Kilka osób odwróciło się – zdziwionych niecodziennym widokiem – co natychmiast wykorzystało serce, aby wcisnąć im niepostrzeżenie w dłonie plik ulotek.

3

Walcia wróciła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Kucnęła, oparła się o nie i przez chwilę ciężko dyszała, próbując złapać oddech. W końcu jej się udało. Na czworakach dotarła do porzuconej na dywanie książki, nadal była otwarta na stronie z urokiem. Dziewczyna zaczęła studiować misterne znaki na diagramie, próbując sobie wyobrazić, jak je odwzorować za pomocą bitej śmietany. Nagle zerknęła niżej: ktoś na dole narysował linię wymiarową, na której wykaligrafował cyfry. Walcia nie spodziewała się, że wymiar też będzie miał znaczenie w magicznym kręgu!

– Sześćset czterdzieści osiem – odczytała na głos. Uniósła głowę i rozejrzała się po pokoju. Nawet gdyby wyniosła wszystkie meble, nie byłoby szans na narysowanie kręgu. Musiała znaleźć jakąś większą przestrzeń, i to szybko.

Klatka schodowa? Piwnica? Myślała intensywnie, jednak każde miejsce zdawało się nieodpowiednie. Dość szeroka była jezdnia pod domem, ale tam z kolei zbyt często jeździły samochody, no i bała się, co powiedzieliby sąsiedzi, gdyby zobaczyli ją rysującą śmietaną po asfalcie magiczne runy.

– Dobra, dziewczyno, po prostu się zastanów – skarciła się, po czym wstała z podłogi. Rozprostowała nogi i poczuła, jak przez mięśnie przechodzi mrowienie. Ruszyła w stronę okna. Po drugiej stronie ulicy kwiaciarka właśnie zawijała bukiet różowych astrów w papier ze wzorem czerwonych serduszek. Mężczyzna czekający na swój pakunek wyglądał na zadowolonego. Walcia oderwała od niego wzrok i spojrzała w górę. W oknie należącym do jej wybranka dostrzegła ruch. Pawełek właśnie prężył muskuły przed lustrem zawieszonym na wewnętrznej stronie szafy. Uśmiechnął się do siebie, ukazując garnitur białych jak śnieg zębów. Walcia westchnęła żałośnie. Gdyby tylko ją dostrzegł chociażby z daleka.

Paweł odwrócił się. Podszedł do okna i uchylił jedno skrzydło. Jego wzrok na moment spoczął na dziewczynie z naprzeciwwka. Walci mocniej zabiło serce, a radość utrudniała jej oddychanie.

Wyprostowała się niczym struna w oczekiwaniu. Czyżby to właśnie się działo – i to bez uroku? Sąsiad uśmiechnął się i pomachał na powitanie dłonią.

– Ach tak! – pisnęła jej podświadomość.

Walcia uniosła dłoń odruchowo, ale zanim zdążyła pokiwać do swojej miłości, on odwrócił się, usiadł na krześle ustawionym na środku pokoju i powoli zaczął podnosić hantle. Stała jeszcze chwilę, próbując przywołać go siłą umysłu, ale Paweł pozostał obojętny na jej wysiłki.

Musiała jak najszybciej znaleźć miejsce do narysowania magicznego kręgu, inaczej niechybnie skończy z Bartkiem Wiśniarkiem nad kawałkiem bezowego ciasta. Godzinami będzie słuchać na przemian: jego propozycji, że ma rozkładane fotele w samochodzie, lub zachwytów matki, jak pięknie wyglądałoby na ślubnym kobiercu. Walcia wzdrygnęła się na tę myśl.

– Krąg, koniecznie krąg – warczała, idąc po księgę.

Jeśli nie miała dość miejsca w domu, musiała go poszukać na zewnątrz, choćby przyszło przewędrować pół miasta!

Wrzuciła do torebki śmietanę, paczkę cynamonu i butelkę keczupu, spojrzała jeszcze raz na kartkę i zaklęła cicho. Zupełnie zapomniała o reszcie. Zawróciła do kuchni, przetrząsając po kolei szafki. W końcu znalazła czerwoną wstążkę, z której odcięła odpowiednią długość, aby wyrysować magiczny krąg, i opakowanie podgrzewaczy o zapachu pomarańczy i goździków.

– Święto nie święto, ważne, że świece są – wymruczała zrezygnowana, pakując ostatnie materiały.

Zamknęła starannie mieszkanie i ruszyła w dół. Przy odrobinie szczęścia może znajdzie jakiś opuszczony plac w pobliżu. Wyszła na ulicę, wzdrygając się pod wpływem chłodnego powiewu. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Walcia skręciła w górę ulicy. Nie uszła do końca budynku, a jej oczom ukazała się pusta parcela sąsiadująca z domem. Wystarczająco duża, aby zmieścić magiczny krąg. Walcia przekroczyła niewielki murek oddzielający dziki parking, za jaki służyła działka od chodnika. Nie kłopotowała się obejściem go, uznając, że to za daleko. Rozejrzała się krytycznie. Na starych chodnikowych płytach czas wyżłobił głębokie bruzdy pełne błota i zbutwiałych liści. Dalej parkował stary

ford, którego nie kojarzyła, ale prócz tych drobnych mankamentów miejsce wydawało się wspaniałe. Natychmiast porzuciła ciężką od przyborów torbę pod ścianą, odgarnęła resztki roślin na odpowiedniej przestrzeni i zabrała się do pracy. Znalazła patyk, przywiązała do niego wstążkę, wyznaczyła piękny krąg i zaczęła odwzorowywać rysunek, nie zważając na otoczenie.

4

Piotr Szczurko wychynął z pizzerii, zabierając ze sobą odrobinę ciepła i zapach sera mozzarella. Przystanął na chodniku i rozejrzał się odrobinę nieprzytomnie. Ostatnie trzy godziny spędził w towarzystwie chłopaków, którzy sądząc po tematach rozmowy, próbowali go albo pocieszyć, albo wyswatać, albo przekonać, że bycie singlem to najlepszy wybór życiowy, jakiego dokonał, odkąd w zerówce udało mu się namówić matkę na koszulkę z gokartem zamiast z piłkarzami. Po dłuższym czasie jedzenia pizzy i odmawiania kolejnych numerów telefonów dziewczyn, z którymi chodzili już inni, poczuł, że jeśli za chwilę nie wyjdzie, to wybuchnie. Wymówił się ważną pracą i opuścił przyjaciół. Znalazł się na zewnątrz, gdzie owiało go rześkie powietrze lutowego wczesnego wieczoru.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to dzisiejsze święto. Piotrek spojrzął w prawo, a jego wzrok spoczął na rozstawionych na chodniku pojemnikach z kwiatami. Ubrana w kolorowy fartuch dziewczyna wymachiwała od niechcienia miotłą, udając, że zamiata. Rozglądała się jednak czujnie. Obserwowała mężczyznę, który zmierzał w jej kierunku z dużym kartonem. Gdy zbliżył się na dostateczną odległość, delikatnym ruchem miotły przesunęła najdalej wysunięty pojemnik z kwiatami. Przechodzień dzierżący przed sobą znacznych rozmiarów pudło nie miał szans dostrzec tego manewru. Potknął się i – próbując zachować równowagę – odchylił do tyłu. Uczynił kilka nieporadnych kroków i wdepnął w wiadro z pomarańczowymi frezjami. Wymachiwał kartonem, starając się odwrócić tak, aby zorientować się w swojej – coraz trudniejszej – sytuacji, ale na amen utknął nogą w wiadrze. Kwiaciarka rzuciła mu się na ratunek. Na szczęście była zwinna i w ostatniej chwili uchyliła się przed pakunkiem. Dziewczyna próbowała złapać pojemnik, aby wyciągnąć nogę mężczyzny, a jednocześnie nie dostać kartonem w głowę. W końcu udało jej się uwolnić klienta z pojemnika. Z ociekającą wodą nogawką spodni przeproszał ją nieustannie za

zamieszanie. Piotrek obserwował tę scenę z zaintrygowaniem. Wreszcie uznał mężczyznę z kartonem za klasycznego przedstawiciela tak zwanego gatunku łosia, któremu przy odpowiednim marketingu można wcisnąć wszystko.

Ruszył do samochodu zaparkowanego na pobliskim dzikim parkingu. Na wszelki wypadek szerokim łukiem ominął felerną kwiaciarnię. Przeszedł w tym celu na drugą stronę ulicy i tam zamarł, wpatrzony osłupiałym wzrokiem w wystawę sklepową. Odsunął się o krok, by upewnić się, że to, co widzi, naprawdę istnieje. W witrynie sklepu żelaznego zwisały pluszowe nietoperze ubrane w sukienki z jednorazowych chusteczek i – jak harpie gotowe do ataku – obserwowały parę obrażonych na siebie ludzików wykonanych z półcalówek.

Gdyby zobaczył taką wystawę w Halloween, uznałby ją może za zabawną, ale w obliczu walentynek wydawała mu się co najmniej nie na miejscu. Choć deszcz z łańcuchów przyozdobionych krwawymi kroplami oddawał doskonale jego stosunek do tego święta. Poczuł, jak go ściska w dołku. Z trudem oderwał wzrok. Nie sądził, że wybranie się tego dnia na miasto tak bardzo popsuje mu humor. Wszędzie atakowały go czerwone serduszka i wizerunki zakochanych par. Kartki okolicznościowe, laurki, maskotki, nawet prele dziś go denerwowały, przez co musiał wyjść z piekarni bez porannego pieczywa.

Po czterech miesiącach od zerwania nadal alergicznie reagował na wszelkie przejawy okazywania sobie wzajemnej adoracji. Koledzy za to coraz częściej przypuszczali mniej lub bardziej zorganizowany atak, twierdząc, że nie może tak długo być sam. Nie rozumieli, że w jego wypadku nie było to takie proste. Nigdy w życiu nie zakochał się w dziewczynie, którą spotkał ot tak. Jego miłość musiała uderzyć, a najlepiej powalić na kolana, i to w całkiem dosłowny sposób. Z Aldoną był półtora roku i było im w sumie dobrze. Spotkał ją na korcie tenisowym, kiedy zarobił piłką po klasycznym, nieudanym bekhendzie. Najpierw zobaczył gwiazdy, a później Aldonkę... i zakochał się na zabój. Pomimo jej dość ekscentrycznej natury i pracy w roli astrolożki w planach miał ślub, a później może także dzieci. Niestety pewnego dnia dziewczyna oznajmiła mu, że jej księżyc zawędrował do domu Raka, a on jest Skorpionem,

w związku z czym nie mogą ze sobą być. Zanim Piotrek pojął, o co w ogóle chodzi, Aldonka zdążyła już zgarnąć swoją ogromną kwiecistą walizkę i ulotnić się w sobie tylko znanym kierunku, mknąc w przestworza za swoim księżycem. Piotr próbował otrząsnąć się z żalu po niej. Obecnie tkwił gdzieś pomiędzy złością a akceptacją, w zależności od dnia, który akurat nastąpił. W walentynki zdecydowanie bardziej skłaniał się ku złości.

Przeszedł szybkim krokiem wzdłuż kamienicy i skręcił na dziki parking na terenie pustej parceli, gdzie stał jego wysłużony granatowy ford. Przeskoczył przez niski murek, skracając sobie drogę. Kątem oka spostrzegł dziewczynę o burzy ognistych loków. Skojarzyła mu się z pewną bajką pokazywaną w telewizji kilka lat temu. Odwrócił się w jej stronę z zaciekawionym. Nagle poczuł, jak prawa stopa ślizga się na czymś i traci równowagę. Całe jego ciało zawisło na ułamek sekundy w powietrzu z nogami powyżej głowy, po czym wokół na chwilę rozbłysła jasność, a potem zapadła zupełna ciemność.

5

Walcia wytrzeszczyła oczy i przerwała inkantację. Jeszcze przed chwilą spokojnie i w skupieniu kończyła rysowanie magicznego kręgu. W czterech szczytach stycznej zrobiła kleksy z keczupu i jeden – nie bez trudu – na samym środku. Usypała też kopczyk z cynamonu w miejscu przeznaczonym na ambrozję. Rozłożyła pięknie świece, a następnie je zapaliła i przez moment kontemplowała całkiem przyjemny widok. Jak na pierwszy magiczny krąg w życiu wyszło jej bardzo ładnie – oceniła w duchu. Do tego wokół intensywnie pachniało pomarańczami, goździkami i cynamonem. Przygotowała sobie torebkę z włosami Pawełka i położyła ją obok siebie. Żal jej było pozbywać się artefaktu, ale stanowiło to niezbędną część rytuału. Włosy miała wrzucić do kręgu, gdy ten rozbłyśnie po tym, jak zaklęcie zacznie działać. Walcia przysiadła w kucki i zaczęła czytać. Szło jej opornie. Słowa wypisane ręcznie atramentem były trudne do rozszyfrowania i brzmiały obco. Na dokładkę umazała stronę śmietaną w sprayu, co dramatycznie wpłynęło na czytelność niektórych ustępów. Nie poddała się jednak. Dukając, czytała dalej. Gdzieś przed nią, na krawędzi magicznego kręgu, zerwał się wiatr, śmietanowe znaki zaczęły robić się jakby jaśniejsze. Walcia z bijącym sercem starała się czytać coraz szybciej, skupiając się na słowach. Wreszcie dotarła do momentu, w którym miała wrzucić do kręgu pukiel włosów. Poszukała strunowej torebki. Chwyciła ją w ostatniej chwili, gdy kolejny podmuch wiatru przetoczył ją po ziemi. Odwróciła się w stronę kręgu i zamarła z ręką w górze. Na jej ciężko wykaligrafowany rysunek właśnie nadepnął jakiś młody mężczyzna idący w stronę forda. Dolne kończyny rozjechały mu się na śmietanie niczym małemu pajacykowi na sznurkach. Zrobił coś w rodzaju półszpagatu, później do pierwszej nogi dołączyła druga i facet dosłownie nakrył się kończynami. Jego upadek przysłonił wybuch światła, od którego Walcia musiała zamknąć na chwilę oczy. Gdy je otworzyła, w śmietanowym kręgu nie było już mężczyzny. Zamiast dorosłego

człowieka na ziemi siedział buldożek francuski w czekoladowym kolorze. Piesek przechylił łepkę, patrząc na Walcię z ciekawością. Prychnął, wstał, odwrócił się wokół własnej osi i ponownie przysiadł. Tym razem jego zadek wylądował w bitej śmietanie. Piesek podskoczył i zerknął podejrzliwie na swój tył. Przez chwilę kręcił się wokół własnej osi, próbując powąchać białe kleksy przy ogonie.

– Co jest? – Walcia poczuła, że musi powiedzieć cokolwiek, aby upewnić się, że jest tu i teraz. Podniosła się powoli, nie spuszczać z oczu niecodziennego zjawiska. Psina uspokoiła się i przysiadła ponownie, uważając, aby nie wpaść w kolejną śmietanową pułapkę. Dziewczyna miała chwilę na rozejrzenie się, ale mężczyzny nie było nigdzie widać.

– Proszę pana? – zawołała nieśmiało, licząc, że może ruchem posuwistym wylądował za samochodem i po prostu go nie widzi.

– Hau! – szczechnął piesek.

Walcia zakryła dłonią usta. Przecież to było niemożliwe.

– To pan? – zapytała.

– Hau! Hau! Hau! – rozszczękał się zwierzak. Jego uwagę przykuł rowerzysta przemykający ulicą z wielką zieloną torbą na plecach. Pies zerwał się na równe nogi i pognał za dostawcą, zanim Walcia zdążyła zareagować.

– Proszę zaczekać! – Wybiegła za nim na chodnik, ale po psie zostały tylko niewyraźne ślady ze śmietany i keczupu na chodniku.

Wyłuskała z kieszeni komórkę i wybrała numer Nastki.

– Zrobiłam psa! – zawołała do telefonu, gdy tylko przyjaciółka odebrała połączenie.

– Słucham?

– Facet zamienił się w buldożka!

– Walcia, co ty piłaś w samotności? – spytała sceptycznie Nastka.

– Nic, zupełnie! Czarowałam z tych twoich kręgów. Facet wszedł w śmietanę, wywinął orła i teraz jest buldożkiem francuskim.

– Miałaś rzucić urok miłosny, nie zwierzęcy.

– Rzucałam!

– To co, mówisz metaforą?

– Żadną metaforą, prozą najczystsza. Był facet, a jest jakiś kundel z pyskiem jak po bliskim spotkaniu z doniczką – jęknęła załamana dziewczyna.

– Walcia, a przynajmniej dobrego trafiło?
– No właśnie nie...
– Nie stosowałaś się do instrukcji – zawyrokowała Nastka. – Tak to jest, jak się amatorzy zabierają za czary, i to w walentynki.
– Nastka, przylatuj do mnie szybko, bo ja oszaleję!
– Teraz nie mogę, jestem na randce – tłumaczyła łagodnie przyjaciółka.
– Zabieraj swój chudy tyłek i chodź tu, bo powiem twojemu narzeczonemu, gdzie się podziała jego konsola! – Walcia postawiła sprawę na ostrzu noża.
– Nie odważysz się – syknęła Nastka.
– Jestem w desperacji, pod ścianą!
Po drugiej stronie linii na moment zapadła cisza.
– No dobra, jesteś w domu? – odezwała się w końcu Nastka. Głos miała rzeczowy i spokojny, bez cienia żalu za szantaż.
– Pod domem, na podwórku.
– Psa masz?
– Nie... – przyznała Walcia. – Uciekł, jak zobaczył dostawcę żarcia.
– To leć za nim, bo jak go nie znajdziesz, to nie odczynisz uroku. Masz czas tylko do północy!
– Dlaczego do północy?!
– Bo my, czarownice, jesteśmy bardzo przesądne – odparła cierpliwie przyjaciółka. – Widziałaś, gdzie pobiegł?
– Mniej więcej...
– To zaiwianiaj za nim, ja przyjadę, jak tylko będę mogła. Spotkamy się pod twoim domem.
– Ale będziesz szybko? – spytała z nadzieją Walcia. – Bo ja mam rodzinną kolację niedługo, a Paweł...
– Ty masz teraz większy kłopot... w pewnym sensie... niegabarytowym, Walentynko. Musisz znaleźć tego psa!
– No dobra...
– To jesteśmy w kontakcie. Zadzwoń, jak będę na miejscu, pa!
Walcia rozejrzała się bezradnie. Nad miastem zapadał zmierzch. Magiczny krąg ze śmietany był coraz słabiej widoczny w ciemności. Prawie wszystkie podgrzewacze wypaliły się już do połowy, a dwa zgasły zupełnie. Okolica straciła swój czar, za to robiła się powoli

coraz bardziej zwyczajna, a nawet upiorna. Dziewczyna spojrzała w kierunku, w którym ostatni raz widziała buldożka. Jak miała go teraz znaleźć? Gdyby chociaż wiedziała, z jakim zamówieniem jechał dostawca, a tak?

– Jak, na bogów słowiańskich, mam znaleźć w takim dużym mieście, w dodatku w ciemności, czekoladowego buldożka francuskiego umazanego śmietaną? – mruknęła do siebie.

Zgarnęła torebkę, wpakowała w nią *Wielką księgę zaklęć* i ruszyła na poszukiwanie psa.

Na przeczesywaniu bliższych i dalszych zakamarków swojej okolicy spędziła dobrą godzinę. Z początku robiła to na piechotę, ale gdy spostrzegła przystanek rowerowy, postanowiła skorzystać z udogodnienia. Wybrała rower z koszykiem, aby włożyć tam torbę, a później być może poszukiwanego. Ruszyła w dalszą drogę, powoli pedałując. Kilkakrotnie próbowała zasięgnąć języka u napotkanych osób, ale szybko zrezygnowała. Na pytanie, czy nie widzieli czekoladowego psa w śmietanie, uprzejmie odsyłali ją do pobliskiej cukierni, słynącej raczej z pączków w kilkunastu odstonach niż z wyrobów czekoladowych o niecodziennych kształtach. Walcia uznała, że tłumaczenie nieścisłości za każdym razem jest ponad jej siły, więc zdała się na swój wzrok i słuch. Nie omieszkała też, mijając cukiernię po raz trzeci, wstąpić do niej i zaopatrzyć się w zapas świeżych pączków. Była już przeraźliwie głodna po uganianiu się najpierw za składnikami na magiczny krąg, a później za zwierzakiem. Wybrała kilka rodzajów słodkich rarytasów.

Gdy wyszła, z satysfakcją popatrzyła na sporych rozmiarów pudełko kryjące pączki z powidłami, czekoladą, budyniem i ajerkoniakiem. Wpakowała karton do koszyka przy kierownicy i skierowała się w stronę nadrzecznych bulwarów. Były trochę dalej od jej miejsca zamieszkania, ale tam jeszcze nie szukała, więc liczyła na szczęście.

Pedałowała samotnie rowerową ścieżką, zajadając pączka z powidłami i bacznie obserwując okoliczne krzaki w poszukiwaniu jakiegoś ruchu lub znajomego kształtu.

– Panie Psie?! – zawołała konfidencjonalnym szeptem, upewniwszy się wcześniej, że w najbliższej okolicy nie ma żadnego

człowieka, który mógłby ją usłyszeć. – Panie Psie? Niech pan wyjdzie!

Na wołanie Walci odpowiedział cichy szelest w pobliskich krzewach tawuły. Dziewczyna zatrzymała się i zaczęła uważnie nasłuchiwać.

– Panie Psie? – spytała ponownie.

– Tak, ze mnie jest niezły pies na baby – usłyszała zachrypnięty głos zza krzewów. Zarośla zatrzęły się w półmroku i wychynęła z nich zgarbiona postać.

– Przepraszam – pisnęła Walcia uprzejmie, naciskając na pedały.

– Hola, panienko! – Mężczyzna chwycił rower za kierownicę i unieruchomił ją w miejscu. Szarpnęła na próbę, ale przeciwnik okazał się o wiele silniejszy. Poczowała, jak ze strachu pączek podchodzi jej do gardła.

– Proszę puścić – powiedziała błagalnie.

– Ale to panienka mnie obudziła i jeszcze od psów wyzywa! – zastrzegł jegomość.

– Wcale nie, ja naprawdę szukam psa... buldożka, takiego... płaskiego. – Przyłożyła otwartą dłoń do twarzy.

Mężczyzna przechylił zaniepokojony głowę, jakby oceniał, czy stojąca przed nim dziewczyna mówi prawdę. W końcu zbliżył się do niej i wyszczerzył zęby w dziurawym uśmiechu.

– Ja mogę być i buldożerkiem, i po francusku też umiem!

– Tylko że ja nie chcę. – Szarpnęła rower, starając się odchylić od nieznanego na tyle, aby nie wdychać stęchłego powietrza z jego ust. – Proszę zostawić, bo będę krzyczeć.

– Po co zaraz tak ostro? Panienka szuka, ja pomogę, coś tam w krzakach wcześniej widziałem, może piesek był. Pójdzie panienka ze mną, to sprawdzimy. – Wyciągnął do niej rękę.

– Nie ma mowy! Pomocy! – wydarła się Walcia na pustej ścieżce rowerowej.

– No chodź...

– Nie. – Odepchnęła obdartusa, ale i tak nie puścił roweru. – Pomocy!

Nagle żywopłot obok nich ożył. Zatrząsł się wściekle i przy samej ziemi z ciemności wypadł mały pocisk. Dосkoczył do agresora, wbił się w nogawkę, szarpnął i odskoczył. Natarcie było błyskawiczne

i zanim mężczyzna się obejrzał, wojownicze stworzenie przypuściło atak z drugiej strony.

– A gdzie, ty diable! – zawył bezdomny, puszczając rower i próbując jednocześnie strzepnąć zwierzaka z nogawki.

Piesek nie dawał za wygraną. Zaatakował jeszcze raz, po czym odskoczył na bezpieczną odległość i zaczął ujadać z taką intensywnością, że aż się cały trząsał. Z jego małego gardła wydobywało się basowe szczekanie, roznosząc się po okolicy. Daleko w parku kilka osób odwróciło się w poszukiwaniu źródła hałasu.

– Cholerne francuskie maskotki – warknął na odchodne mężczyzna, trzymając się przezornie z dala od psa i dziewczyny. Zrezygnowany machnął dłonią i odwrócił się na pięcie, po czym ruszył w stronę linii brzegowej. – A następnym razem trzymać na smyczy, bo zawiadomię policję!

Walcia patrzyła za odchodzącym bez żalu. Buldożek w tym czasie uspokoił się, przysiadł na ścieżce i tylko powarkiwiał cicho.

– Dziękuję, Panie Psie – odezwała się wesoło Walcia.

Buldożek łypnął na nią, przechylając łeppek, jakby chciał powiedzieć „nie ma sprawy”.

– Pójdzie pan ze mną?

Wyciągnęła w jego stronę rękę, ale odskoczył natychmiast, zatrzymał się kilka koków dalej i nastawił uszu. Jego oczy błyszczały w świetle miejskich lamp.

– Proszę – powiedziała prawie czule. – Nastka pana odczaruje i będzie pan znów człowiekiem.

Walcia przypomniała sobie mężczyznę, który nakrył się nogami na dzikim parkingu. Nie zdążyła mu się dokładnie przyjrzeć, ale zdawało jej się, że był może dwa lata starszy od niej i całkiem przystojny. Zdecydowanie przystojniejszy od swojej obecnej formy, choć musiała przyznać, że w tej chwili prezentował się uroczo i z każdą chwilą pałała do niego coraz większą sympatią.

Pies prychnął, szczeknął i znów odsunął się o kilka kroków. Walcia zaczęła obawiać się, że ucieknie i będzie musiała go ponownie szukać. Zupełnie nie miała na to czasu. Zsiadła z roweru, wyciągnęła z pudełka paczka i pokazała pieskowi.

– Nie bój się – przeszła na bardziej bezpośrednią formę, choć czuła wewnętrzny opór. Dla niej nadal był obcym mężczyzną, którego zamieniła w psa. – Mam coś dla ciebie. Coś bardzo smacznego.

Zwierzak dreptał w miejscu, ale widok pączka wyraźnie powstrzymywał go przed ucieczką. Walci udało się zbliżyć na tyle, aby położyć słodkości tuż przed jego pyszczkiem. Powąchał i z przyjemnością zabrał się za przysmak, kompletnie tracąc zainteresowanie niedoszlą czarownicą. W tym czasie dziewczyna odnalazła w kieszeni kawałek czerwonej wstążki, którą wyznaczała magiczny krąg. Ostrożnie, by nie spłoszyć jedzącego psa, zawiązała mu jeden koniec na szyi jak obrożę. Oczekała, aż buldożek spałaszuje pączka do końca, i wtedy dopiero pociągnęła go lekko w stronę roweru. Poszedł bez oporu, co uznała za dobry znak.

Krytycznie oceniła wypełniony torebką i kartonem pączków koszyk roweru.

– Będziesz musiał iść o własnych siłach – stwierdziła, zwracając się w stronę pieska.

Maszerowała powoli, a czekoladowy buldożek dreptał spokojnie za nią.

Pod dom wróciła po kilkunastu minutach. Już z daleka dostrzegła czekającą na nią Nastkę i jej chłopaka Norberta. Ruszyli na spotkanie Walci, ale gdy zobaczyli dziewczynę z kartonem słodkości, ciągnącą na czerwonej wstążce buldożka francuskiego, oboje przystanęli zdziwieni.

– Przyznam, że do końca nie wierzyłam w to, co mówiłaś – odezwała się wreszcie Nastka, a w jej głosie zadźwięczała nuta uznania.

– Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że cię widzę! – zawołała szczerze Walcia.

– I jak udało ci się go znaleźć?

– Jakiś żul napadł mnie na promenadzie nad rzeką – poskarżyła się dziewczyna. – Ale Pan Pies wyskoczył z zarośli i mnie obronił. Skusił się też na pączka.

Poklepała trzymane w ręce pudełko.

– Prawdziwy pies obronny. – Uśmiechnął się Norbert, pochylając się nad buldożkiem, ale zwierzak wycofał się poza zasięg jego ręki.

– Pan Pies? Skąd ta nazwa? – Nastka przechyliła lekko głowę, nie zważając na zachowanie partnera.

– Nie wiem, jak się nazywa, więc wyszedł Pan Pies...

– Podziwiam, nie osądzam – odparła enigmatycznie przyjaciółka, po czym westchnęła. – No to mów, jak dokładnie się to stało? Jak zrobiłaś z kołosa psa i do tego takie płaskie monstrum?

– To wszystko przez tę twoją książkę – poskarżyła się Walcia i wyciągnęła z niemałym trudem wolumin z torby, w czym znacznie przeszkadzało jej pudełko pączków i wstążka z psem na końcu. Norbert usłużnie zaoferował się z pomocą, chwytając karton. Już po chwili łakomie zaglądał do środka, podczas gdy dziewczyny zajęły się omawianiem nieszczęśliwego wypadku. – Narysowałam krąg tak, jak było, o tu.

Walcia wskazała palcem na podwórko. Po magicznym kręgu nie pozostało nawet wspomnienie. Obok starego forda zdążyła zaparkować jeszcze skoda, znacząc głębokie bruzdy w resztkach błota na placu. Pomiedzy dwa większe auta wpasował się skromnych rozmiarów smart. Cała trójka przypominała rodzinę na spacerze.

– Dlaczego tutaj to rysowałaś?

– Bo w mieszkaniu nie było tyle miejsca. – Postukała palcem w linię pod rysunkiem. – Stoi jak byk, że ma mieć ponad sześć metrów!

– To nie wymiar – skrzywiła się Nastka, próbując dojrzeć zapisy w nikłym świetle ulicznej lampy. – To jest oznaczenie numeryczne z innej książki, z katalogu... Zresztą nieważne – westchnęła, podnosząc wzrok.

Walcia powędrowała za jej spojrzeniem. W narożniku placu, na jedynym skrawku porośniętym lichą trawą, starszy mężczyzna wyprowadzał małego psa łudzaco podobnego do tego, którego Walcia trzymała na czerwonej wstążce.

– O, mamy też wyjaśnienie, dlaczego wyszedł ci buldożek francuski. Pewnie pełno jego sierści jest na placu. Facet musiał wejść w krąg w nieodpowiednim momencie i zaklęcie zamiast w szaleńczo zakochanego zmieniło go w psa. – Wskazała w tamtym kierunku.

Nowy zwierzak głośno wciągał powietrze, szukając tropu. Zaciekawiony wędrował od resztek podgrzewacza, wzdłuż pozostałości śmietany, do następnego podgrzewacza. W końcu prychnął, podniósł płaski pysk i zamerdał krzywym ogonem na widok Walci.

– Dzień dobry, panie Stasiu. – Dziewczyna ukloniła się w stronę starszego jegomościa.

– Dzień dobry, panno Walentyno. – Uchylił kaszkietu w pozdrowieniu. – Wszystkiego najlepszego!

– Dziękuję.

Piesek sąsiada ruszył ochoczo w stronę Pana Psa.

– Ziutka, spokój! – zawołał pan Stasiu. – Widzisz, że kawaler nie ma ochoty na amory.

Istotnie, czekoladowy buldożek wycofał się za Walcią i z bezpiecznej odległości obserwował niepewnie suczkę oraz jej właściciela.

– Widziała pani, jak nabałaganione? Pewnie znowu dzieciaki się bawiły, wszystko lepi się i klei, będzie trzeba umyć Ziutce łapki.

Walcia przytaknęła niemrawo, szczęśliwa, że dzięki słabemu oświetleniu nie widać, jak jej twarz zalewa rumieniec.

– Przepraszam, ale my już musimy lecieć – wtrąciła Nastka, ciągnąc przyjaciółkę za rękaw.

– Dobrego dnia, panno Walentyno, i pani przyjaciółom również. – Mężczyzna znów uchylił kaszkietu.

– Dobrego dnia, panie Stasiu – zawołała Walcia, dając się prowadzić do klatki.

Norbert, rozbawiony sytuacją, stał z boku z pudełkiem paczków. Dopiero po chwili oprzytomniał, skłonił się starszemu sąsiadowi, po czym pobiegł za dziewczynami.

Weszli na piętro kamienicy i wreszcie znaleźli się w mieszkaniu. Walcia puściła wstążkę, a Pan Pies ruszył na rekonesans pokoju i kuchni. Nastka, nie zdejmując płaszcza, zagłębiła się w lekturę *Wielkiej księgi zaklęć*. Dopiero teraz, w świetle korytarzowej lampy, dostrzegła zniszczenia na kartkach.

– Co tu się tak lepi? – zdziwiła się, dotykając powierzchni i rozcierając resztki mazi w palcach.

– Bitą śmietaną – przyznała się Walcia. Zdjęła kurtkę i usiadła na dywanie. Buldożek natychmiast do niej podbiegł.

– Jaka bita śmietana?!

– W sprayu. – Pokazała wyciągnięty z torby dozownik.

– I co nią robiłaś? – drążyła pełna podejrzeń przyjaciółka, siadając obok.

– Narysowałam magiczny krąg. W sklepie nie mieli rytualnej kredy... Właściwie żadnej nie mieli...

– Na wszystkie runy, Walentynko, mówiłam, żebyś trzymała się ściśle instrukcji!

– To nie moja wina, nie było ani kredy, ani krwi sarny... Ratowałam się tym, co znalazłam.

Walcia wzruszyła ramionami i przeczesła palcami rude loki. Drugą ręką głaskała psa, który ochoczo nadstawiał się do pieszczot. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Z całego planu nic nie wyszło. Było późno i nie miała już szans na rzucenie uroku na Pawełka. Przystojny sportowiec pozostał tylko marzeniem z naprzeciwka. Wkrótce będzie musiała zebrać się na odwagę i pójść do rodziców, żeby spędzić cały walentynkowy wieczór, słuchając, jak to powinna wyjść za mąż i jakim przystojnym chłopakiem jest Bartuś. Wzdrygnęła się na samą myśl o niedalekiej przyszłości. Poczula, że ma ochotę płakać. Żeby Nastka nie widziała, co się z nią dzieje, chwyciła pieska i zatopiła twarz w fałdkach na jego grzbiecie. Krótkie włoski były gładkie jak aksamit, a skóra ciepła i przyjemna. Gdyby mogła tak zostać na zawsze, nie przejmując się Bartkiem Wiśniarkiem, walentynkami czy nawet Pawełkiem...

– Nie możemy go tak zostawić? – zapytała z nadzieją, unosząc głowę.

– Powiedz, że żartujesz.

Nastka przerwała rysowanie kręgu za pomocą przyniesionej przez siebie kredy i przysiadła na piętach, mierzając przyjaciółkę karcącym spojrzeniem.

– Tak tylko pytam...

– Przecież to człowiek. Ma rodzinę, życie, może nawet dziewczynę albo żonę i dzieci, a ty go zamieniłaś w psa. W dodatku w walentynki!

– Przecież to niechcący – jęknęła Walcia, bliska płaczu.

– Ja wiem. – Nastka przysunęła się bliżej i przytuliła rudowłosą. – Tak nie można, nie wiesz, czy nie czeka na niego jakaś kobieta...

– A jak nie czeka?

– Walentynko... – Odsunęła się i pogłaskała ją po twarzy, ocierając samotną łzę. Piesek siedzący na kolanach dziewczyny podniósł płaski pyszczek, łapiąc intensywnie powietrze i co jakiś czas wyciągając czubek różowego języka, jakby chciał zlizać łzy. – Wiem, że masz złamane serce. Obiecuję, że jutro znajdziemy jakiś sposób, żebyś mogła bliżej poznać tego chłopaka z naprzeciwka, ale psa nie możesz zatrzymać.

– Nie chcę Pawełka – odparła odrobinę naburmuszonym tonem i ukryła twarz za zdeorientowanym zwierzęciem.

Zrezygnowana Nastka westchnęła i wróciła do malowania kredą na niewielkim skrawku podłogi pomiędzy kanapą a komodą. Kilka ostatnich pociągnięć i wreszcie mogła ocenić swoje dzieło z daleka. Wyszło całkiem niezłe, biorąc pod uwagę czas, jaki mu poświęciła. Zdjęła z szyi kamień księżycowy i położyła w najdalszej części.

– Daj psa – zażądała od Walci.

Dziewczyna opierała się przez chwilę, ale w końcu się poddała. Wypuściła buldożka i przykucnęła na krawędzi magicznego kręgu.

– Jest mniejszy niż mój – stwierdziła.

– Pies jest mały, więc do odczyniania uroku nie jest potrzebny większy.

Nastka posadziła zwierzę na środku rysunku, przymrużyła oczy i wypowiedziała zaklęcie. Pokój zalało znajome białe światło, niczym silny wybuch magnezji w starej fotografii. Wszyscy zamknęli na moment oczy. Walcia odrobinę bała się je otworzyć. Co jeśli piesek nie zniknie? – zastanawiała się. Albo jeśli mężczyzna będzie miał do niej pretensje i zacznie krzyczeć?

– Aua...

Walcia otworzyła szybko powieki. W kręgu leżał na plecach całkiem przystojny mężczyzna i trzymał się za głowę.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się, pochylając się nad nim z troską.

Piotr spojrział na nią odrobinę zaskoczony. Szare oczy dziewczyny przywiodły mu na myśl kamienie w górskim potoku. Z trudem skupił

się na odpowiedzi.

– Nie wiem... Co się stało? – jęknął, rozcierając ogromnego guza z tyłu głowy.

– Nie pamięta pan? Upadł pan na podwórku i stracił przytomność – wtrąciła natychmiast Nastka, wyćwiczona latami praktyki w tłumaczeniu podejrzanych sytuacji. – Coś pana boli?

– Głowa, chyba nabiłem sobie guza.

– To przejdzie – zawyrokowała Nastka, uspokojona obrotem sprawy. Odwróciła się w stronę Norberta i dopiero teraz spostrzegła, że zdążył zjeść połowę zawartości kartonu z pączkami. Na niewinny uśmiech narzeczonego pokręciła tylko z rezygnacją głową i ponownie skupiła uwagę na Piotrze.

– Zadzwoń po dziewczynę, żeby pana odebrała? – spytała, przejmując inicjatywę.

– Nie mam dziewczyny – odparł Nastce mężczyzna, nie spuszczać oczu z rudowłosej. – W ogóle to Piotr jestem... Piotr Szczurko. – Wyciągnął do niej dłoń.

– Walentyna Pączek – odparła nieśmiało.

– A ma pan czas? Na przykład dziś wieczorem? – drażyła ostrożnie przyjaciółka Walci.

– Dziś?... Dziś właściwie to mam...

– A głodny pan jest?

– Trochę? – Piotr wreszcie zdołał oderwać wzrok od rudowłosej i przeniósł go na Nastkę, nie rozumiejąc, czemu mają służyć te dziwne pytania.

– To może pójdzie pan na kolację z Walentynką. – Nastka wskazała przyjaciółkę.

– Z przyjemnością – odparł natychmiast, odrobinę zaskoczony obrotem sprawy.

– Ale kolacja jest u rodziców – wtrąciła Walcia.

– Trudno.

Piotr czuł, że serce bije mu jak oszalone, a w głowie kręci się nie tylko od uderzenia, ale też od nadmiaru emocji. Tak. To zdecydowanie było to. Miłość znów uderzyła go i oszołomiła, ogłaszając natychmiastowe zwycięstwo przez nokaut. Był gotów iść z Walentyną choćby na kolację do prezydenta miasta, byle tylko móc wpatrywać się w jej oczy i gubić w ognistych lokach.

– To może chodźmy, bo już późno – zaproponowała dziewczyna i uśmiechnęła się łagodnie.

Piotr zerwał się z podłogi i podążył za nią. Przepuścił ją w drzwiach.

– Mam nadzieję, że jesteś głodny – zagaiła, zamykając drzwi, gdy z mieszkania wyszli też Nastka i Norbert.

– Oczywiście! – zawołał, czując, jak z nieznanych przyczyn odbija mu się pączkami z czekoladą.

6

– Czy ty aby nie histeryzujesz? – spytała przyjaciółka, podając Walci kubek zielonej herbaty.

Dziewczyna siedziała w gąszczu ubrań walających się po podłodze i niewidzącym wzrokiem wodziła po kawałku pustej ściany.

– A co, jeśli miałam rację?

– A co, jeśli nie miałaś? Właściwie nie masz pojęcia, co widziałaś.

– Doskonale wiem, co widziałam! – Walcia odwróciła się w jej stronę i zmarszczyła brwi.

– No co? – Nastka wzruszyła ramionami.

– No właśnie to!

– Ja się pytam, co widziałaś? Potrafisz mi to opisać?

– Widziałam Piotrusia z... – zająknęła się, jakby te słowa nie chciały przejść jej przez usta. – Z jakąś Flądram!

– To znaczy, że ryby kupował?

Gdyby wzrok potrafił zabijać, Nastka z pewnością musiałaby zmienić się w kupkę popiołów i rozwiać na nieistniejącym wietrze. Tak się jednak nie stało. Przyjaciółka wydawała się niewzruszona albo – co gorsza – doskonale bawiła się nieszczęściem Walentyny.

– Jak możesz?

– Walentynko... – Nastka przysiadła na kanapie, podwijając fałdy szerokiej, czarnej spódnicy. – Wiesz dobrze, że Piotruś nie jest taki.

Zielone oczy dziewczyny zaszklily się łzami.

– O nie! Walentyno Pączek, nie będziesz mi się tu rozklejać! Nie ma mowy. – Nastka uniosła się gwałtownie i stanęła nad przyjaciółką. – Wstawaj natychmiast!

– Ale...

– Nie alleluj mi tu, tylko wstawaj! – powtórzyła z naciskiem.

Chwyła ją za nadgarstek i pociągnęła w górę. Chcąc nie chcąc, Walcia niechętnie wyprostowała się. Pośród góry rozrzuconych ubrań – w przydługiej, dresowej sukience i miękkich skarpetkach w króliczki, z rozwichrzonymi rudymi lokami – wyglądała jak zagubione dziecko Nibylandii.

– Jutro idziesz na randkę z Piotrusiem i nie waż mi się go o nic podejrzewać! – oznajmiła Nastka tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Może to była jego koleżanka z pracy albo siostra? Nie możesz tracić zaufania do faceta tylko dlatego, że widziałaś go idącego ulicą z jakąś kobietą. To zakrawa na paranoję.

Czarownica rozejrzała się po pobojuwisku. Jej wprawne oko poszukiwało odpowiedniego stroju, w którym Walcia mogłaby zrobić na swoim ukochanym wrażenie nie tyle piorunujące – to właściwie zapewniała już jej fryzura – ile powalające w stopniu seksualnym. Wreszcie wypatrzyła odpowiedni ciuch. Zanurkowała pod nogi dziewczyny i wyciągnęła dzianinową sukienkę w kolorze butelkowej zieleni.

– To założysz i czółenka, nie waż się zakładać ani tenisówek, ani co gorsza, tych trepów!

– Głanów.

– Ani się waż!

– Ale... Ale ja...

– Nie alleluj mi tu, już ci mówiłam. Chcesz na nim zrobić odpowiednie wrażenie, to musisz trochę się nagiąć. To jest randka, rozumiesz? R-A-N-D-K-A!

– No dobrze – odparła tamta niemrawo.

– A teraz pomogę ci to wszystko posprzątać, zanim zaginiesz w tym bałaganie.

Nastka zabrała się za porządkowanie ubrań. Choć wyjęcie ich z szafy zajęło Walci zaledwie kilka chwil, to już ich powtórne upchnięcie na półkach wymagało o wiele więcej czasu i logistycznego myślenia. Wyszła w końcu od przyjaciółki późno w nocy, dopiero gdy uporowała się ze wszystkim i upewniła, że dziewczyna nie ma więcej głupich pomysłów. Wtedy pozwoliła przyjechać po siebie Norbertowi. Walcia w końcu została sama. Przysięgała, że nie będzie więcej myśleć o tym, co widziała tego popołudnia. Doskonale jej szło, aż nie położyła się do łóżka. Niestety, choć czuła napierające na powieki zmęczenie, nie potrafiła zasnąć. Przewracała się w pościeli z boku na bok i myślała o Piotrusiu.

Byli parą od prawie trzech miesięcy. To statystycznie oznaczało pierwszy poważny kryzys w związku. Tak czytała Walcia na jakimś

popularnym portalu, którego nazwy nie była sobie w stanie teraz przypomnieć. Próbowła pocieszyć się, że ich związek nie jest statystyczny. Piotrusia poznała w walentynki, kiedy postanowiła użyć czarów. Była zdesperowana, bo jej mama usiłowała ją wyswatać. Nadciągająca katastrofa zmobilizowała Walcię do działań niestandardowych, na których znała się mniej więcej tak samo jak na naprawianiu lodówki. Piotruś stał się niezamierzoną ofiarą nieudanego zaklęcia niedoszłej czarownicy i na krótki czas skończył w postaci buldożka francuskiego. Gdyby nie pomoc Nastki, pewnie do dziś Walcia nie miałaby chłopaka, a co najwyżej rasowego czworonoga w domu.

Piotruś okazał się nie tylko miłym, ale też inteligentnym młodym mężczyzną. Do tego uległ naturalnemu urokowi dziewczyny i postanowił się z nią związać. Co prawda sam nie zdawał sobie sprawy, że przez jakiś czas przebywał pod postacią psa. Uznał jedynie, że przypadkowa znajoma bardzo mu się podoba i chętnie spędzi z nią więcej czasu. Im więcej go spędzał, tym bardziej się do niej przywiązywał i jego uczucie rosło. Przynajmniej tak do tej pory wydawało się Walci. Teraz już nie miała tej pewności.

7

W sobotnie przedpołudnie Walcia obudziła się z okropnym bólem głowy. Przez chwilę mroczki przelatywały jej przed oczami z niewyspania, póki nie przypomniała sobie, jaki jest dzień tygodnia i co czeka ją później – spotkanie z Piotrusiem. Nagle łóżko zaczęło ją parzyć. Wyskoczyła z niego i ogarnęła się w pół godziny. Włożyła dres i adidas, a potem w przelocie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nawet nie kwapiła się, żeby podnieść ze stolika szczotkę do włosów. Przypominające lwią grzywę rude, drobne loki okalały jej puciołowatą twarz niczym ognista kula i z doświadczenia Walcia wiedziała, że tego morza czerwieni nie da się okiełznać w kilka minut, a jej zależało na czasie. Piotruś miał dziś dodatkowe zajęcia na uczelni i musiała się spieszyć, jeśli chciała go tam złapać. W zasadzie nie planowała spotkania twarzą w twarz. Zamierzała go śledzić i potwierdzić swoje wcześniejsze przypuszczenia lub im zaprzeczyć. Woląa myśleć, że idzie upewnić się co do drugiej opcji.

Zgarnęła torebkę, wyciągnęła z chlebaka lekko przyschniętą bułkę i ruszyła do drzwi. Chciała zjeść ją po drodze i w ten sposób zaoszczędzić czas potrzebny na śniadanie.

Na zewnątrz panował przyjemny, chłodny poranek. Walcia skierowała się na przystanek tramwajowy. Do uczelni miała cztery przystanki. Wskoczyła w nadjeżdżającą jedenastkę i rozsiadła się wygodnie w prawie pustym wagonie. Sobotni poranek, choć słoneczny, nie wyciągnął jeszcze z domów większości mieszkańców Poznania, Walcia mogła więc cieszyć się spokojem i wygodą cichego transportu publicznego. To było coś, czego nie doświadczyła już od dawna! Wtuliła twarz w wysoki kołnierz bluzy i zapatrzyła się w przestrzeń za oknem, powoli przeżuując suche pieczywo.

Im bliżej uczelni, tym na chodnikach pojawiało się więcej młodych ludzi. Część z nich szła w stronę centrum, bo skończyli zaoczne zajęcia. Inni zmierzali w przeciwnym kierunku, mając przed sobą perspektywę kilku godzin spędzonych w chłodnych murach, podczas których będą sobie wbijali do głowy w równym stopniu wiedzę

przekazywaną przez wykładowców, jak i najnowsze plotki rozsiewane przez współcierpiących kolegów na zajęciach.

Nagle serce dziewczyny podskoczyło do gardła wraz z kawałkiem kajzerki. Na przejściu dla pieszych stał Piotruś z Flądrami! Walcia wyprostowała się gwałtownie i obejrzała za siebie, bo tramwaj minął przejście i pomknął do wypełnionej studentami platformy przystanku. Ruszyła do wyjścia, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z Piotrusia. Pojazd zatrzymał się, a ona miała wrażenie, że zanim drzwi zaczęły się otwierać, minęła cała wieczność. W tym czasie światła na przejściu dla pieszych zmieniły się i tłum wraz z jej ukochanym ruszył, oddalając się od przerażonej dziewczyny.

– Szybciej! – zawołała sfrustrowana.

– To nic nie da. Drzwi się nie otworzą, jeśli tramwaj nie zatrzyma się do końca – odezwał się ktoś za nią. – O, już.

Jak na magiczne hasło, pojazd stanął, a składane skrzydła drzwi powoli zaczęły się rozsuwać.

Walcia zeskoczyła ze schodów i uderzyła w napierający na nią tłum. W innej sytuacji z pewnością przepuściłaby płonących żądzą ucieczki od uczelnianych obowiązków studentów, po czym spokojnie wyszła, jednak teraz każda sekunda miała znaczenie. Piotruś jej uciekał, znikał w tłumie raz po raz i niewiele brakowało, żeby straciła go z oczu zupełnie.

– Nie pchaj się, dziunia! – zawołał młody gniewny w czarnej bluzie z logo heavymetalowego zespołu na piersi.

– Sam się nie pchaj! – odwarknęła wściekła.

Podniosła ręce do góry, próbując jeszcze silniej naprzec na tłum. Dzwonek tramwaju zabrzączał głucho, a w studentów jakby wstąpiła nowa siła. Rzucili się do drzwi, by jeszcze zdążyć przed odjazdem.

– Suń się, ruda! Zawadzasz!

– Nie stój jak słup! – wołał ktoś obok.

– Aua, kajzerka!

– Chyba frajerka!

– Nie – jęknęła jakaś dziewczyna. – Kajzerkę wsadziła mi do oka.

– Dalej, do góry!

Walcia poczuła, jak ktoś uderza ją w ramię, potem następna osoba w plecy. Zanim się obejrzała, tłum zafalował, obrócił ją kilka razy i wypluł ją jak pestkę po wiśni. Zatrzymała się na barierkach

chroniących platformę przystanku od jezdni. W tym czasie tramwaj zawył dzwonkiem ponownie i motorniczy zatrzasnął drzwi. Zamknął gniewną masę studentów i powiózł w stronę centrum.

Odetchnęła głęboko. Nigdy by nie pomyślała, że jazda tramwajem w sobotę może być niebezpieczna. Czy wszyscy studenci tak reagowali, czy tylko ci weekendowi byli tacy nerwowi? Raz przyszła tu z Piotrusiem, ale wtedy ci ludzie nie wydawali się jakoś specjalnie groźni...

– Piotruś! – Walcia podniosła gwałtownie głowę i rozejrzała się. Na przystanku został tylko młody chłopak wyglądający jak licealista, który z fascynacją w oczach i bez skrępowania patrzył na burzę rudych loków, uśmiechając się przy tym szeroko. Gdy ich spojrzenia się spotkały, rozpromienił się niczym słońeczko na wiosennym niebie.

– Jestem Tomasz, ale od biedy możesz mi mówić Piotruś, moja ty Merido. – Wyszczrzył się, przestępując z nogi na nogę.

Walcia zmarszczyła brwi. Czy ten młokos właśnie ją podrywał?! Ją? Teraz? Otrząsnęła się z oszołomienia i ruszyła w stronę przejścia. Nie zamierzała reagować na zaczepki Tomasza, który jeszcze raz próbował zwrócić jej uwagę. Szybko jednak zrezygnował. Nie było mowy, żeby odpuściła w takim momencie. Musiała na własne oczy zobaczyć, co robi Piotruś z Fladrą.

Przebiegła na czerwonym świetle i dopadła wejścia do niewielkiego parku. To był jedyny kierunek, jaki mógł obrać jej ukochany, żeby w tak szybkim tempie zniknąć jej z oczu.

Park w majową sobotę wyciągnął z domów głównie zdesperowanych rodziców z młodymi pociechami. Teraz ci pierwsi biegali po alejkach w pogoni za nadpobudliwymi latoroślami, próbując zapobiec wyjedzeniu całego piasku z piaskownicy albo wykorzystaniu huśtawki w roli śmiertcionośnej broni kosząco-neutralizującej. Wyglądali przy tym, jakby właśnie obmyślali, jak nie dopuścić do zwiększenia przyrostu naturalnego w najbliższych dekadach. Walcia szerokim łukiem ominęła wydzierającą się hałastrę, która działała jej na nerwy, i rozejrzała się za znajomą sylwetką swojego chłopaka. W końcu go spostrzegła. Stał przy ławce pod szerokim kasztanem i rozmawiał o czymś z Fladrą. Musiała przyznać, że dziewczyna była bardzo ładna. Szatynka

o jasnej skórze i drobnej budowie. W szarej garsonce i ołówkowej spódnicy do kolan wyglądała dojrzała i prezentowała się o wiele poważniej od niej, co sama Walcia przyznała z niechęcią. Gdyby stanęły obok siebie, rudowłosa wyglądałaby jak peerelowska wersja bogini Ateny, po tym jak zaliczyła krótkie spięcie z Zeusem, natomiast Flądra jawiła się niczym „Wenus z wody” Botticellego. Zaciśnęła usta, czując, jak zalewa ją fala frustracji.

Chłopak uśmiechnął się przepaszająco do swojej rozmówczyni i wskazał w kierunku wyjścia z parku.

Walcia podążyła za nimi w bezpiecznej odległości.

Piotruś i Flądra wyszli przeciwną bramą, dzięki czemu dziewczyna na razie pozostawała niezauważona. Tylko raz chłopak odwrócił się, by sprawdzić, czy nic nie nadjeżdża, gdy zbliżali się do kolejnego przejścia dla pieszych. Serce Walci zamarło. Jednym susem schowała się za najbliższym zaparkowanym pojazdem. Był nim niewielki różowy smart. Odczekała chwilę i uniosła się wyżej. Chciała przez szyby samochodu sprawdzić, gdzie znajduje się śledzona przez nią para, ale gdy w nie spojrzała, ujrzała tylko wściekłe szare oczy i puciołowatą twarz okoloną burzą rudych loków. Smart miał przyciemniane okna. Walcia przeraziła się, uświadamiając sobie jeden istotny fakt. Świeciła niczym pochodnia! Charakterystyczne rude włosy dekonspirowały ją natychmiast. Jeśli Piotruś odwróciłby się w jej stronę, od razu by ją poznał.

Z trudem zebrała włosy w dłonie, zawinęła wokół siebie i wepchnęła pod kaptur. Zrobiło jej się ciasno i niewygodnie, ale udało jej się odrobinę wtopić w otoczenie.

Wyszła z samochodu i rozejrzała się. W samą porę, by ujrzeć, jak chłopak przytrzymuje drzwi Flądrze i zapraszającym gestem zachęca ją do wejścia do kawiarni. Znów ścisnęło jej się serce. Jak on tak może?! Co prawda Piotruś z równą estymą traktował wszystkie kobiety, bo otwierał drzwi także przed Walcią, a raz zdarzyła się nawet okazja, że otworzył drzwi Nastce, ale to co innego. Nastka była jej przyjaciółką i miała swojego osobistego partnera, natomiast Flądrze – w opinii Walci – takie względy się nie należały!

Zakradła się bliżej, przeszła przez ulicę i stanęła przy betonowym kwietniku. Obserwowała chłopaka odsuwającego krzesło zgrabnej

szatynce i siadającego naprzeciw niej z nieśmiałym uśmiechem. Walcia czuła, jak dech zapiera jej z wściekłości.

– A to zdrajca – mamrotała pod nosem. Złość buzowała w niej coraz mocniej. Żeby tak z Flądrą w środku dnia? Przy ludziach? Nie boi się, ten... ten... Szukała odpowiedniego określenia, które najtrafniej opisałoby Piotrusia w jej oczach i choć trochę ulżyło w cierpieniu. – Ten niecnik jeden! – warknęła.

– Nie mam – usłyszała bełkot tuż przy swoim kolanie.

Zerknęła w dół. Pod betonowym kwietnikiem, na równie betonowym chodniku, umościł się pan w stanie mocno wskazującym. Wewnętrzny radar Walci wskazywał dość znaczący wynik w promilach, a poziom sponiewierania wydawał się mniej więcej proporcjonalny do wypitego alkoholu. Najwyraźniej mężczyzna leżakujący pod kwietnikiem zaczął weekend co najmniej poprzedniego wieczoru i nie planował skończyć go przed nadejściem kolejnego. Walcia uskoczyła w bok.

– Co proszę?

– Mówię, że nie mam.

– Czego... Czego pan nie ma? – Natychmiast pomyślała, że chciałby pieniądze na klina, ale nie do końca kontekst wypowiedzi jej się zgadzał.

– Nocnika nie mam.

– To może zdąży pan do toalety? – zaproponowała Walcia, choć w duchu powątpiewała w możliwość podniesienia się pijanego w sztok jegomościa.

Mężczyzna zmarszczył brwi, wyraźnie próbując uruchomić w głowie procesy niedostępne dla niego w obecnym stanie.

– Ja?

– Pan – odparła zdecydowanie.

– Jak to ja?

– Ja, ja, a co, ja?! – wydarła się podminowana. Pijak odciągał jej uwagę od ważnych problemów natury egzystencjalno-emocjonalnej, zmuszając ją do skupienia na o wiele mniej ważnych w oczach Walci kwestiach fizjologiczno-cieleśnych. – Co pan, niemieckiego piwa się opił?!

– Piwa? – odpowiedział powoli mężczyzna, czując, jak od skomplikowanych myśli kręci mu się w głowie coraz bardziej. Czy to

on nic nie rozumiał z tej rozmowy, czy coś było nie tak z tą dziewczyną? A może to najwyższy czas, aby przestać zalewać robaka w weekendy? Właściwie po co mu to było? Żona w domu, fakt, że może i wściekła, ale przynajmniej z komunikacją z nią nie miał właściwie problemów. Czasem ponarzekła, zawsze udawało mu się jednak odgadnąć, o co w danym momencie chodziło, a tu? Nic a nic nie rozumiał. Westchnął ciężko. Tak, świat po alkoholu staje się zbyt skomplikowany. Kiedyś to było inaczej, wszystko wydawało się o wiele prostsze, a teraz? Teraz to już lepiej na trzeźwo. Tak! – postanowił w końcu. Czas z tym skończyć.

Tymczasem nieświadomy rozgrywających się na zewnątrz dramatów egzystencjalnych Piotruś usiadł naprzeciw dziewczyny. Co tam dziewczyny, to była kobieta. Prawdziwa, dorosła, w końcu odrobinę starsza od niego – i do tego jaka zaradna! Towarzyszka podniosła na niego wesołe, brązowe oczęta. Uśmiechnął się do niej przepraszająco. Chciał porozmawiać w parku, na świeżym powietrzu, żeby zażyła trochę słońeczka, w końcu dla niego wyskoczyła z biura, choć podobno miała urwanie głowy. Niestety, hałas, jaki robiła dzieciarnia cwałująca z krzykiem na ustach parkowymi alejkami, błyskawicznie mu uświadomił, że to był kiepski pomysł. Z ledwością słyszał własne myśli, a co dopiero swoją rozmówczynię.

– Bardzo ładny lokal – pochwaliła i rozejrzała się z ciekawością wokół.

– Cieszę się, że tak uważasz. Nie znam ich zbyt wiele, a ten jest blisko uczelni.

– Studiujesz? – zapytała, mrużąc oczy.

– I tak, i nie – przyznał. – Dostałem propozycję prowadzenia zajęć w weekendy i pomyślałem, że właściwie to mogę przy okazji załatwić doktorat.

– Ale fajnie! – Klasnęła w dłonie z radości. – Nie myślałam, że faceci potrafią być tacy ambitni.

– Dlaczego? – zaciekawiał się.

– A nie, przepraszam – zreflektowała się. – Na twoim kierunku to normalne? Takie robienie doktoratu?

– Jak na każdym. – Piotruś uśmiechnął się krzywo. – Zależy, komu potrzebne.

– A tobie potrzebne?

– Może się przyda, jeszcze nie wiem. – Zaczął wiercić się na krześle. Rozejrzał się i zauważył kelnerkę, która łapiąc jego spojrzenie, natychmiast ruszyła w ich kierunku. Ucieszył się, że może zmienić temat. – Kawy?

– Herbaty, najlepiej czarnej, z plasterkiem cytryny i imbirem. I poproszę kawałek ciasta, może być z kremem – wymieniała.

– Mamy tylko szarlotkę albo pączki czekoladowe – powiedziała grzecznie kelnerka.

Piotruś spojrzał wyczekująco na towarzyszkę. Szatynka wydeła zabawnie usta, zastanawiając się nad odpowiedzią, jakby wybierała najważniejszą rzecz tego dnia.

– Niech będzie szarlotka – odparła w końcu.

– A dla pana?

– Też szarlotka – odpowiedział natychmiast. – I kawa.

Pączki czekoladowe niebezpiecznie przypomniały mu o Walentynce i nagle poczuł się jak zdrajca. Nic jej nie wspominał o spotkaniu, a miał nieodparte wrażenie, że taka decyzja ściągnie mu na głowę tylko kłopoty. No nic, kakao się rozlało, teraz trzeba brnąć dalej. Może Walcia mu wybaczy i nie będzie zła, jak już się wszystkiego dowie?

Na myśl o dziewczynie z burzą rudych loków zrobiło mu się jakoś tak błogo na duszy. Poznał ją raptem trzy miesiące temu, w walentynki, i od razu zapalał miłością wręcz psiego kalibru. Nie do końca sam rozumiał swoje uczucia, bo do tej pory żadna dziewczyna nie zrobiła na nim takiego wrażenia, ale akceptował to w pełni. A Walcia od samego początku wywarła na nim piorunujące wrażenie, nie tylko dlatego, że zjawiała się w jego życiu w efektowny, wręcz paranormalny sposób, ale też z powodu swojej żywiołowej i roztrzepanej osobowości.

– To jak? – Pytanie towarzyszki wyrwało go z rozmarzenia.

– Co jak?

– To jak będzie?

Piotruś popatrzył na siedzącą naprzeciw niego kobietę jak ciele w malowane wrota.

– O naszą sprawę pytam – uściśliła odrobinę zniecierpliwiona. – Zgodziłam się na kawę, ale nie mam za wiele czasu, więc może od

razu przejdziemy do rzeczy?

– A tak, właśnie! – Piotruś już całkowicie wrócił do rzeczywistości i zamienił się w słuch. Siedział i patrzył bez słowa, aż szatynka zupełnie straciła cierpliwość.

– No tak to my nie pogadamy! – fuknęła.

– Ale... jak?

– To ty zaproponowałeś spotkanie, więc to ty musisz powiedzieć, o co chodzi!

– A, rozumiem. – Posłał jej przepaszający uśmiech. W końcu miała rację, to był jego pomysł. – No to sprawa wygląda tak...

Przerwał, bo do stolika podeszła kelnerka z tacą zastawioną słodkościami i napojami. Piotruś czekał cierpliwie, aż wszystko zostanie rozłożone, czekał i czekał...

8

Walcia wróciła do domu zrozpaczona. Zatrzasnęła drzwi, rzuciła się na kanapę i rozbeczała na głos. Nie wytrzymała do końca. Uciekła stamtąd, gdy kelnerka przyniosła zamówienie. Tego było już za wiele. Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę przystanku. Widziała wystarczająco dużo. Jej Piotruś ją zdradzał. JEJ! JA! Jak on mógł? Jak mógł z ich związku zrobić statystyczny związek? Zaledwie trzy miesiące, a on już zaczął spotykać się z innymi i do tego nic jej nie powiedział! Walcia beczała, obficie mocząc kolorową poduszkę w azteckie wzory.

– J-ja-jak on m-mógł? – łkała, przetykając gorzkie łzy. – Co ja mu z-zrobiłam? Ten... ten niecnik jeden, ten zdrajca!

Poderwała się gwałtownie. Nagle poczuła, że natychmiast musi zadzwonić do Nastki. Zerwała się z kanapy i dopadła do torebki porzuconej w korytarzu. Z przepastnych czeluści wyciągnęła komórkę i wcisnęła szybkie wybieranie. Zdawało jej się, że trwało to wieczność, nim po czterech sygnałach Nastka wreszcie odebrała.

– Co? – rzuciła przyjaciółka zachrypniętym głosem.

– Nastka? Przyjeżdżaj natychmiast!

– Ugh... – padło w odpowiedzi. Przez chwilę po drugiej stronie linii słyhać było tylko szelesty i trzaski, zanim wszystko się uspokoiło, a Nastka osiągnęła względny pion i przytomność umysłu. – Co się stało?

– Przyjeżdżaj, potrzebuję cię! – zawołała dziewczyna w rozpacz.

– Dobrze, tylko powiedz mi, co się dzieje, bo się zdenerwowałam, jest... jedenasta? – Nastka jakby odrobinę zwątpiła. Jej głos uciekł gdzieś dalej od głośnika, ale był nadal rozpoznawalny. – Ty też masz jedenastą?

– No raczej – dotarł z oddali głos Norberta.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś wcześniej?

– A miałem?

– Mogłeś spytać...

– Wiesz, słonko, co innego miałem na głowie wczoraj w nocy niż pytanie cię, czy chcesz wstać dziś wcześniej. Poza tym myślisz, że było mi to na rękę? – odpowiedział, podczas gdy Walcia resztką siły woli próbowała powstrzymać się od przeklinania. Rozumiała, że obudziła przyjaciółkę, a ta nigdy nie była rannym ptaszkiem i jeszcze teraz musiała wejść na najwyższe obroty, ale tu się rozgrywały dramaty!

– No na rękę na pewno nie – przyznała Nastka i wreszcie raczyła wrócić do rozmowy. – To co się stało?

– On mnie zdradza! I mam na to dowody!

Na krótką chwilę zapadła głucha cisza. Walcia nie miała pewności, czy przyjaciółka przetrawia informację, czy może – znając jej wybuchowy charakter – szlag jasny ją trafił.

– Będę za dziesięć minut... Nie, za dwanaście. Czekaj na mnie – rzuciła czarownica i rozłączyła się natychmiast.

Walcia odetchnęła z ulgą.

Nastka podniosła się z łóżka.

– Co się stało? – Norbert wysunął głowę spod skotłowanej pościeli i spojrzał sennie na swoją partnerkę.

– Faceci – wycedziła wściekła dziewczyna. – Nasienie przekłete.

– Nastka, pamiętaj, że ja też do nich należę – zauważył trzeźwo.

– No to masz dziś przesrane – odwarknęła.

– Za tę pobudkę? – zdziwił się szczerze, ale nie protestował.

Z doświadczenia wiedział, że w chwilach wściekłości Nastka potrafiła rzucać nie tylko obelgami, ale też – mniej lub bardziej świadomie – magicznymi zaklęciami. Lepiej wtedy było pokornie stać z boku, niż pchać się na linię strzału.

– Nie, za całokształt.

Nastka włożyła bieliznę i czarną dzianinową sukienkę. Długie, kruczoczarne włosy zebrała jednym ruchem i związała w wysoki koński ogon. Najwyraźniej szykowała się do wyjścia. Norbert w milczeniu obserwował każdy jej ruch niczym kot śledzący swoją zdobycz. Smukła postać dziewczyny budziła teraz w nim dobrze skrywane na co dzień instynkty.

– Jedziesz do Walentyny?

Kiwnęła głową i zabrała się za pospieszny makijaż.

– Zawiozę cię – stwierdził, odrzucając kołdrę i ostatecznie rezygnując ze swojego pierwotnego planu, w którym razem z czarownicą większość soboty spędzają na wylegiwaniu się w łóżku i wyskakują z niego tylko na chwilę, aby odebrać paczkę z jedzeniem od kuriera.

Ponownie kiwnęła głową na znak zgody. Kilka minut później byli już w samochodzie. Norbert prowadził pewnie i szybko, nie odzywając się ani słowem. Nastka z założonymi na piersi rękoma i brwiami nastroszonymi pod grzywką wpatrywała się w przestrzeń przed sobą.

Dojechali w dwanaście minut od telefonu Walci. Dziewczyna wysiadła i trzasnęła drzwiami.

– Mam zaczekać? – Norbert wysiadł za nią, ale zatrzymał się przy samochodzie.

– Co?

– Czy zaczekać? – powtórzył.

– A... – Nastka, zupełnie wybita z toru myśli, zawiesiła się. Stała na środku ulicy i zaczęła się zastanawiać. Chłopak reagował szybciej. Natychmiast ściągnął ją z drogi na chodnik, zanimby jakiś weekendowy kierowca postanowił potraktować dziewczynę jak element zbędnego wystroju i rozjechał w czasie jazdy.

– Dobra, słonko, idź do niej, a ja skoczę do sklepu i kupię coś na śniadanie. Ani ty, ani ja nie mieliśmy okazji nic zjeść. Wygląda na to, że na szybkie zakończenie sprawy się nie zanosি – westchnął, cmoknął ją w grzywkę i popchnął lekko w stronę bramy do kamienicy Walci. – No, dalej.

Nastka jakby odrobinę oprzytomniała. Kiwnęła odruchowo głową i ruszyła do drzwi. Norbert upewnił się, że weszła do środka, i odetchnął głęboko. Zanosiło się na bardzo długie sobotnie popołudnie, z bardzo trudnymi sprawami do omówienia w kobiecym gronie. Jego zadanie właściwie ograniczało się do zdobycia czegoś do jedzenia. Rozejrzył się w poszukiwaniu odpowiedniego sklepu.

Jego wzrok padł na cukiernię.

– No tak, co jest lepszego na kobiece rozterki od słodkiej eklerki? – zamruczał zadowolony ze swojego konceptu i ruszył w kierunku witryny przyozdobionej preclami, ciastkami i torcikami obsypanymi kolorowymi różyczkami.

Nastka wspięła się wysokimi schodami na drugie piętro i zapukała do mieszkania. Natychmiast usłyszała chrobot i drzwi uchyliły się nieznacznie. Ostrożnie weszła do środka, nie wiedząc, co tam zastanie. Z pewnością nie spodziewała się Walci siedzącej na podłodze w korytarzu, zaryczanej jak dziecko przy ząbkowaniu i kompletnie niezdolnej do wyartykułowania logicznej myśli.

– Chodź, kochana. – Nastka wzięła ją pod pachy i z trudem pociągnęła w górę. Dziewczyna posłusznie podniosła się i pozwoliła zaprowadzić na kanapę. Tam klapnęła głucho tyłkiem i zaczęła chlipać.

Czarownica podsunęła jej pudełko chusteczek i odczekała, aż tamta się odrobinę uspokoi.

– No dobra, to teraz opowiadaj – odetchnęła, gdy już osiągnęły względną równowagę.

– On mnie zdradza.

– Ten kawałek już przerabialiśmy, powiedz mi, co cię tak rozstroiło?

Walcia chlipnęła, czknęła i otarła łzy wierzchem dłoni. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Przyjaciółka patrzyła na nią dłuższą chwilę, w końcu sama się domyśliła.

– Śledziłaś go – stwierdziła, siadając obok na kanapie. – Co widziałaś?

– On... on... o-oon... – dukąła Walcia, nie mogąc powstrzymać nagłego napadu czkawki.

– Gdzie go widziałaś?

– Pod u-uczelnią.

– Był z kimś? – Pytania Nastki były łagodne i pomocne. Walcia kiwnęła głową, więc mówiła dalej. – Z kobietą?

– T-tak.

– I co robili? – Tu już Nastka nie mogła jej naprowadzić, w końcu sama nie była na miejscu i nie miała pojęcia, co się stało. Nie chciała też, aby przez jej pytania dziewczyna wyciągnęła mylne wnioski.

– Poszli do parku, a później do kawiarni. – Walcia odetchnęła. – Pili kawę i jedli ciasto.

– I?

Rudowłosa popatrzyła na nią zdziwionym wzrokiem.

– Co robili?

– Rozmawiali? – odparła Walcia również pytaniem.

– Kochana, ta cała afera to chyba nie dlatego, że Piotruś umówił się na kawę z koleżanką z uczelni? – upewniła się Nastka.

– Myślisz? – zawahała się dziewczyna, odrobinę pocieszona takim postawieniem sprawy. – Myślisz, że to tylko koleżanka z pracy? Ale on jej otwierał drzwi i... i odsunął krzesło.

– Odsunąłby krzesło i staruszce, której nie zna – zauważyła kąśliwie czarnowłosa. – Taki już z niego typ. Jeśli będziesz histeryzować za każdym razem, gdy będzie to robił, marny los waszego związku, a ja z tobą po prostu nie wytrzymam.

Walcia popadła w otępienie, zastanawiając się nad słowami przyjaciółki.

W mieszkaniu rozległ się brzęczyk oznajmiający, że ktoś stoi pod drzwiami. Nastka zerwała się z kanapy i poszła otworzyć. W progu zobaczyła Norberta z wielkim pudłem z logo pobliskiej cukierni. Uśmiechnęła się do niego promiennie i wpuściła go do środka.

Chłopak bez ceregieli wszedł do saloniku i rozejrzał się. Zobaczył Walcię na kanapie i brwi powędrowały mu w górę.

– Wow, poważna sprawa – stwierdził, odwracając się do swojej partnerki. – Jest aż tak źle? Wiesz, jakby co, zawsze mogę dać mu w pysk – zaoferował się.

– Chyba nie jest aż tak źle, jak na to wygląda – rzuciła posępnie Nastka, siadając na powrót przy kupce rudego nieszczęścia. – Raczej obejdzie się bez twojej interwencji.

– Trudno.

– Nie lubisz Piotrusia? – Walcia gwałtownie podniosła głowę.

– Nie lubię zdrajców... I ludzi w ogólności – odparł Norbert po chwilowym zastanowieniu. – Sam Piotruś, jak go nazywasz, dynda mi i powiewa.

– Co on ci zrobił? To dobry człowiek! – natarła na niego Walcia, zupełnie zmieniając dotychczasowe nastawienie do kwestii wierności swojego chłopaka.

– Nic mi nie zrobił – przyznał.

– Walcia, to nie wina Norberta. Nie złość się. Masz. – Nastka podsunęła jej kolejną chusteczkę.

Dziewczyna skorzystała z niej, wycierając najpierw oczy, a później nos w kakofonii trąbnięć i kichnięć. Zdawała się wreszcie uspokajać.

Łzy przestały płynąć, a wzrok wyostrzył się odrobinę.

– No to skoro nie widziałaś niczego więcej niż rozmowa między dwojgiem dorosłych ludzi, skąd u ciebie ta straszna nieufność do niego?

– Bo to już drugi raz!

– Całowali się? Obejmowali? – Nastka zmarszczyła brwi w zniecierpliwieniu.

– Nie – przyznała rudowłosa.

– A pytałaś go w ogóle, kim ta kobieta jest?

– No... nie.

– No to w pierwszej kolejności o to zapytaj. Jeśli będzie coś kręcił, obiecuję ci, że osobiście przeklnę go do siódmego pokolenia w obu kierunkach.

– Ale aż tak?

– Aż tak. Jak się należy, to po całości. Tylko winę trzeba najpierw udowodnić. Pamiętasz, co ci mówiłam o czarach?

Walcia pamiętała. Pamiętała doskonale, w końcu to właśnie przez jej nieudane czary Piotruś skończył w postaci buldożka francuskiego i o mało nie został w niej na zawsze. Od tamtej pory solennie obiecała sobie nie używać czarów, a już na pewno nie samodzielnie. Nastka była prawdziwą czarownicą i znała się na tych sprawach. Potrafiła rzucać uroki i miała w domu mnóstwo dziwnych, podejrzanych słoików i flaszek oraz całą masę starych książek. Walcia znała się na tym jak kura na budowie maszyn i choć od dawna ją to intrygowało, po pierwszych niesatysfakcjonujących próbach wołała nie ryzykować. Poza tym nie musiała. W końcu miała chłopaka, życie układało jej się w miarę normalnie. Jeśli się nie toczyło, to przynajmniej jako tako turlało do przodu.

Pokiwała twierdząco głową.

– No właśnie. Helena by mnie ukatrupiła, gdyby dowiedziała się, że rzuciłam klątwę na niewinnego człowieka, i to mając tak wątpliwe dowody.

– To co teraz?

– Teraz doprowadzimy cię do porządku i przygotujemy na randkę. – Nastka pogłaskała przyjaciółkę po opuchniętym od płaczu policzku. – A później zobaczymy, co się wydarzy, okej?

– A na razie może coś zjemy? – Norbert postawił na stole okazałe pudełko z cukierni.

Z uśmiechem pełnym dumy – niczym kot nad miseczką śmietanki – otworzył karton. Ich oczom ukazała się góra eklerków, pączków i okazały kawałek szarlotki.

Serce Walci podskoczyło na widok ciasta. Przypomniała sobie o Piotrusiu i Flądrze siedzących w kawiarni i zajadających szarlotkę. Ból i rozpacz zalały ją nową falą, nie mogła już tego znieść. Znow się rozpląkała jak bóbr. Norbert odrobinę zbladł. Jeszcze w życiu nie widział dziewczyny, która nie będąc na diecie, tak żywiołowo reagowałaby na widok ciasta. Gdyby to był ulubiony króliczek, to zrozumiałby, ale eklerki i szarlotka?

– Co się stało? – wydusił z siebie oszołomiony.

– Sz-szaaa-rlotka – zawyła Walcia.

– Ale że nie chce? Czy że ma na nią taką ochotę? – dopytywał, szukając ratunku u swojej dziewczyny.

Nastka tylko kiwnęła ręką, żeby zabrał im sprzed oczu pudełko, zanim Walcia utopi się we własnych łzach. Zrobił to posłusznie. Nie chciał ryzykować katastrofy na większą skalę. Wycofał się do kuchni, gdzie wyłożył eklerki i pączki na osobny talerz. Postawił go przed dziewczynami i wrócił na swój posterunek w kuchni, skąd miał doskonały widok na dwie knujące postacie.

Minęła dobra godzina, podczas której obie – a głównie Walcia – pochłonęły ponad połowę postawionych przed nimi słodkości i w końcu poddały się zbawiennemu działaniu cukru w ilości hurtowej. Atmosfera w mieszkaniu stała się wreszcie spokojniejsza. Norbert stał oparty o kuchenny blat i zajadał kolejny kawałek szarlotki, medytując nad zmiennymi kolejami losów oraz fascynującymi go ostatnio zawiłościami ludzkiej natury. Wreszcie w jego głowie uformowała się jasna myśl, którą postanowił zapamiętać na wszelki wypadek, gdyby kiedyś zdarzyło mu się niechcący znaleźć w podobnej sytuacji, na miejscu nieszczęsnego Piotrusia: dwie głodne czarownice to najniebezpieczniejszy żywioł, jaki ludzkie oko może zobaczyć.

9

Nastka potrzebowała pół dzbanka zielonej herbaty i całej masy zimnych kompresów, żeby doprowadzić Walcię do jako takiego wyglądu. W zetknięciu z burzą rudych loków jej umiejętności okazały się jednak zupełnie bezużyteczne. Godzinę próbowała ułożyć nieokiełznany żywioł we względnie efektowne fale – na próżno. W końcu poddała się i tylko zawiązała satynową, zieloną wstążkę, która utonęła w czerwieni, ale odrobinę odsłoniła twarz dziewczyny. Walcia wbiła się w dzianinową, zieloną sukienkę, którą poprzedniego dnia wybrała dla niej przyjaciółka, i nawet Norbert musiał przyznać, że wyglądała całkiem apetycznie.

– No wreszcie – odetchnęła czarownica, odgarniając strączki grzywki ze spoconego czoła. – Myślałam, że się nie uda.

Walcia podeszła do lustra w korytarzu i krytycznym okiem oceniła swoje odbicie. Rzeczywiście, dzięki wysiłkom Nastki po kilkugodzinnym płaczu nie było ani śladu. Sukienka leżała na niej idealnie, a lwia grzywa otaczająca twarz, pomimo swej krnąbrności i żywiołowego oporu w stosunku do szczotki i grzebienia, wydawała się nawet uczesana.

– Ty chyba użyłaś jakichś czarów? – Zerknęła na czarnowłosą podejrzliwie.

– Nie tym razem – uśmiechnęła się Nastka. – To twój naturalny urok, Walentyńko.

– O której mieliście się spotkać? – Norbert zabrał ze stołu brudne talerzyki po słodkościach i odniósł do kuchni.

– Do zlewu, słońce – rzuciła jego dziewczyna, nie poświęcając mu nawet spojrzenia. Była akurat zajęta poprawianiem własnego makijażu, mocno naruszonego podczas walki z cielesną materią Walci.

Norbert właśnie stawiał naczynia na kuchence. Westchnął teatralnie i jednym płynnym ruchem odstawił je do zlewu.

– Dobra robota – pochwaliła.

– Tresowany? – szepnęła jej na ucho Walcia, zafascynowana widokiem nowej interakcji pomiędzy parą.

– Nieustannie. Faceci są jak dzieci – westchnęła Nastka, zamykając pomadkę. – Niektórzy osiągają poziom rozwoju nastolatka.

– A na jakim poziomie jest twój?

Nastka odwróciła się i zmierzyła badawczo Norberta nieświadomego tematu rozmowy.

– Żadnym. On ma naturę kota.

– To znaczy, że co?

– Że to wieczna walka o czystą kuwetę – odparła przyjaciółka z przekąsem. Norbert nie był już w stanie wytrzymać tych knujących między sobą postaci. Zbliżył się do nich, stanął za czarownicą i otoczył ją szerokimi ramionami.

– To kiedy on ma się zjawić? Możemy już iść? – powtórzył swoje pytanie, po czym wtulił twarz w zagłębienie szyi czarownicy.

Jak nigdy wcześniej, po komentarzu Nastki chłopak wydał się Walci niesamowicie podobny do kota.

– Powinien być o czwartej – odparła, otrząsając się z tego złudnego wrażenia.

– To już za chwilę, zostaniemy i poczekamy z tobą.

Nastka uwolniła się z objęć zawiedzionego Norberta, chwyciła rudowłosa za dłonie i ścisnęła je mocno.

– Pamiętaj, nie osądzaj. Porozmawiaj z nim, bądź otwarta. Może wszystko ma jasne i proste wytłumaczenie?

Walcia kiwnęła głową. W mieszkaniu zabręczał dzwonek oznajmiający, że ktoś stoi pod bramą na dole. Dziewczyna podbiegła do okna i wyjrzała.

– To on – stwierdziła bez większego entuzjazmu.

– Punktualny – docenił Norbert, wkładając buty. – Idziemy.

Cała trójka błyskawicznie się ubrała i skierowała do drzwi.

Piotrusia odrobinę zaskoczył widok tak licznej grupy wychodzącej z klatki.

– Cześć! – Norbert zbliżył się do niego w dwóch krokach i ucisnął dłoń chłopaka. – Co nowego?

– Wszystko po staremu – odparł tamten zdawkowo.

– Świetnie! To opiekuj się dobrze naszą Walentynką. Na razie!

To mówiąc, popchnął dziewczynę w objęcia Piotrusia, sam wrócił do Nastki i pociągnął ją w stronę samochodu. Czarownica wsiadła do auta i zapięła pasy, czekając, aż jej towarzysz usadowi się i uruchomi silnik. Szybko jednak straciła cierpliwość. Intuicja podpowiadała jej, że wylewne zachowanie Norberta miało zgoła inny cel.

– No i co?

– Z czym? – udał niewiedzę.

– Oj, dobrze wiesz, z czym! Ty się tak nie witasz nawet z Heleną – odparła zniecierpliwiona Nastka. Helena była jej ciotką i mentorką. Nauczyła dziewczynę wszystkiego, co ta wiedziała o magii, więc jeśli Norbert miał być dla kogoś miły i wylewny, to była to osoba o wiele bardziej zasługująca na takie zachowanie.

– Helena jest jak teściowa. – Skrzywił się na myśl o uzdrowicielce.

Nastka nie odpowiedziała. Utkwiła w nim ciemne spojrzenie migdałowych oczu i przewiercała go nim tak długo, aż się nie poddał.

– Na pewno nie przyszedł tu od tamtej dziewczyny.

– Skąd wiesz? – Zaskoczyło ją to stwierdzenie. Brwi powędrowały pod czarną grzywkę.

– On mi to mówi – wyjaśnił, dotykając czubka swojego nosa i uśmiechając się szelmowsko.

– Co nie znaczy, że nie zdradzał Walci rano albo wcześniej.

– To prawda.

– Martwię się o nią – westchnęła, patrząc za oddalającą się parą. – Bardzo cieszyła się, że wreszcie znalazła kogoś dobrego. Mnie też się on wydawał porządny.

– Nigdy nie wiesz, co w człowieku siedzi.

– Ty to mówisz?

– Zobaczymy, czego Walentyna dowie się po dzisiejszym spotkaniu – odparł. – A czy teraz możemy wrócić do domu?

10

Piotruś, nieświadom ani podejrzeń, ani testów, jakim został poddany, zabrał dziewczynę na długi spacer wzdłuż nadwarciańskich wałów. Jej małomówność odrobinę go zdziwiła. Zwykle Walcia robiła zaledwie krótkie przerwy, by mógł jej przytaknąć lub coś dopowiedzieć, ale usta jej się nie zamykały. Opowiadała mu o wszystkim, co się działo, kiedy się nie widzieli, i często pytała o zdanie w różnych kwestiach.

Zamyślenie, jakie teraz malowało się na jej twarzy, zaniepokoiło go, ale nie wiedział, jak podejść do tematu. Jeśli miała z czymś problem, nawet najbardziej błahy, to do tej pory dzieliła się nim, pytając o opinię. Tym razem najwyraźniej postanowiła tego nie robić, dlatego Piotruś wystraszył się, że jest to problem bardzo poważny lub – co gorsza – że dotyczy jego. Wolał więc na wszelki wypadek nie pytać, licząc na to, że w ten sposób nie będzie musiał stawać z dylematem twarzą w twarz.

– Co dziś porabiałaś? – zagał rozmowę, zadając najbardziej neutralne pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

– Rano byłem w mieście – rzuciła Walcia bez troski i wzruszyła ramionami.

– Na zakupach? – podchwycił konwersację. – Trzeba było powiedzieć, pomógłbym ci. Może coś trzeba było dźwigać?

– Nie pojechałam na zakupy – odparła. – Podjechałam do ciebie na uczelnię, ale... – zawahała się nieznacznie – nie spotkałam cię, tylko tłum pierwszorzoczniaków.

Właściwie nie kłamała. Powiedziała prawdę, co w jakimś stopniu poprawiło jej humor. Uśmiechnęła się do siebie.

– Na uczelnię?! – Głos Piotrusia lekko się podniósł, wpadając w wyższe rejestry, i wprawne ucho Walci wyłapało podenerwowanie. – To pewnie się minęliśmy, szkoda.

– Tak, pewnie się minęliśmy – wymamrotała w zamyśleniu. – A ty co porabiałaś?

Odwróciła się i utkwiała w swoim chłopaku szare, czujne spojrzenie. Pod jego wpływem Piotruś poczuł, że ściska mu się serce, podskakuje do gardła i już tam zostaje. Powtarzał sobie w myślach, że jest dorosłym mężczyzną i potrafi na ten naprawdę krótki czas utrzymać tajemnicę nawet przed własną dziewczyną, ale wzrok Walci skutecznie odbierał mu pewność siebie, zwłaszcza taki... zawiedziony? Piotruś przeniósł spojrzenie na katedrę górującą nad zabudową Ostrowa Tumskiego i wielki betonowy klocek muzeum na brzegu rzeki.

– Może nadrobimy to jutro? – zaproponował, siląc się na swobodny ton.

– Nie wiem, mogę być zajęta – odparła szybko. Nie umknął jej fakt, że zupełnie zignorował jej pytanie.

Chłopak spojrzał na nią z zaskoczeniem. Walcia rzadko była zajęta w niedzielę. Wyjątek stanowiły sprawy związane z Nastką, wtedy przyjaciółka była priorytetem. Wygrywała nawet z rodziną, z którą Walcia utrzymywała umiarkowane kontakty, ponieważ ta miała niebywały talent wyprowadzania jej z równowagi. Tak przynajmniej twierdziła dziewczyna.

– No to może później? W ostateczności w przyszłym tygodniu...

– Nie wiem, pewnie będę zajęta – powtórzyła.

Serce podeszło Piotrusiowi do gardła, mało nie zemdlał. Jak to będzie zajęta?! Za tydzień?!

– Ale za tydzień to chyba nie? – spytał z lekkim przerażeniem. Wtedy wypadała ich trzecia miesięcznica, a to, jak słyszał, bardzo ważna data w związkach. Nie po to zbierał się w sobie i trzymał całą odwagę, żeby teraz okazało się, że Walcia o tym zupełnie zapomniała.

– Jeszcze nie wiem – powiedziała spokojnie.

– Walentyńko, słońce, co się dzieje? – Piotruś zmarszczył brwi. Wolałby, żeby przestała być taka tajemnicza. Wolał zdecydowanie tę otwartą i swobodną dziewczynę, przy której może się trochę denerwował, ale przynajmniej wiedział doskonale, co chodzi jej po głowie. No może z wyjątkiem tych chwil, kiedy wpadała na szalone pomysły.

Walcia odwróciła się w jego stronę, spojrzała w oczy, otworzyła usta i... tak została. Przez krótką chwilę nie ruszała się, jakby

walczyła ze sobą. Piotruś stał i czekał, aż uświadomił sobie, że wstrzymał oddech i zaczyna mu brakować powietrza. Twarz zrobiła mu się purpurowa, ale bardzo chciał, by się odezwała. Walcia jednak zamknęła usta i ruszyła dalej ścieżką.

– Czekaj. – Pociągnął ją za rękę. – Nigdzie nie pójdziemy, zanim nie powiesz, co cię trapi. Bo coś cię trapi, to widać jak na dłoni.

– Po prostu jestem już głodna – odparła w końcu. – I tyle?

Kiwnęła głową. Nie mógł nic na to poradzić. Nie chciał trzymać jej nad rzeką przez całą noc, i to na głodnego, tylko dlatego, że nie zamierzała powiedzieć nic więcej. Westchnął ciężko i skierował się w stronę restauracji, którą wybrał na dzisiejszy wieczór.

– Na uczelni powiedzieli, że wyszedłeś z jakąś dziewczyną – odezwała się.

Piotruś potrzebował chwili, żeby dotarło do niego, że Walcia zaczęła mówić.

– Co powiedziałaś?

– Na uczelni, kiedy cię nie znalazłam, podobno byłeś z jakąś dziewczyną – powtórzyła.

Piotruś poczuł, jak kręci mu się w głowie. Z jednej strony cieszył się, że wreszcie coś powiedziała, z drugiej – kwestia, którą poruszyła, była mu wybitnie nie na rękę. Nie mógł przecież powiedzieć prawdy o Milence, kim była i dlaczego się z nią spotykał. Teraz było zdecydowanie za wcześnie. Więc co, ma Walcię oszukiwać? – rozważał w głowie, zastanawiając się, jak z tego wybrnąć.

– Nie chcesz powiedzieć – stwierdziła kwaśno.

– To nie tak – zapewnił natychmiast. – To nie tak, że nie chcę czegoś czy coś – zaplątał się w słowach. – Po prostu mnie zaskoczyłaś. Bo nie sądziłem, że... że... To była Milena, ona jest... jest... znajomą rodziny, córką... moich rodziców, znaczy... nie ich córką, tylko córką kolegi moich rodziców.

Odetchnął głęboko, a ramiona opadły mu nisko.

– A spotkałeś się z nią, bo? – Walcia zmrużyła oczy. Pod naciskiem tego spojrzenia Piotruś zaczął się pocić. Brnął w wyjaśnienia tak nieudolnie, że sam sobie nie chciał uwierzyć.

– Bo... bo miała sprawę uczelnianą – odparł w panice. – Tak, właśnie, uczelnianą, ale to nie było nic ważnego, więc nie musisz się

przejmować, to naprawdę nic ważnego. Martwiłaś się o nią? Naprawdę nie ma o co – mówił szybko.

W końcu nie wytrzymał. Przyciągnął Walcię do siebie i przytulił mocno. Poczuł zapach cynamonu i cytrusów, który zawsze otaczał burzę rudych loków. W końcu uciekł od pełnego czujności spojrzenia dziewczyny, ale wcale nie zrobiło mu się od tego lepiej, tak jak przypuszczał. Walcia w jego ramionach zeszywniała, jakby przytulała ją stara ciotka, której nawet się nie lubi. Trwał jednak w tym uścisku, póki ona sama nie uwolniła się od niego.

– W porządku? Nie musisz się niczym przejmować – zapewnił raz jeszcze. – Okej?

– Rozumiem – odparła Walcia cichym głosem.

– To dobrze, w takim razie chodźmy coś zjeść. Już prawie jesteśmy. – Wskazał palcem neon restauracji, w której zamówił stolik i do której przez cały czas zmierzał.

Walcia uśmiechnęła się lekko na widok przybytku. Lubiła to miejsce. Piotruś po raz kolejny trafił bezbłędnie w jej gust, ale to nie poprawiło jej humoru. Ciężki kamień zalegał na jej piersi i – choć jednocześnie czuła też uścisk ciepłej dłoni chłopaka – to wszystko nagle przestało mieć znaczenie. Piotruś nie odpowiedział na jej pytanie, a to mogło oznaczać tylko jedno. Miał coś przed nią do ukrycia.

11

– Jestem – rzuciła Nastka, gdy tylko przyjaciółka otworzyła jej drzwi swojego mieszkania. – Wszystko w porządku? Wyglądasz jakoś tak... bez życia.

Czarownica weszła do środka i rozejrzała się. Nigdzie nie dostrzegła śladów załamania czy rozpacz, które kazałyby Walci rzucać przedmiotami lub objadać się nadmiernie. O to ostatnie martwiła się najbardziej, bo figura rudowłosej już dawno przestała pretendować do miana zgrabnej i płynnie przechodziła w kanony puszystości na podobieństwo pluszowego króliczka. Jak na razie próby namówienia jej do zrzucenia wagi spełzły na niczym.

Walcia klapnęła na kanapę zgarbiona. Nastce zdawało się nawet, że odkąd ją widziała po raz ostatni, dziewczyna postarzała się o kilka lat. Spokój, jaki tamta reprezentowała, trochę ją zaniepokoił.

– Walentynko?

Komórka w kieszeni lekkiego płaszczka zabrzęczała piskliwym dzwonkiem. Nastka wyciągnęła ją i odczytała wiadomość.

Długo to potrwa?

– Odpisz mu, że dzisiaj nocujesz u mnie – rzuciła Walcia wypranym z emocji głosem.

Przyjaciółka wykonała polecenie. Nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza i usiąść, gdy przyszedł kolejny esemes.

Nie ma mowy, dziś nocujesz w domu.

To poważna sprawa, nie wiem, ile potrwa, nie czekaj.

Czekam w samochodzie.

Westchnęła odrobinę zniecierpliwiona i odpisała:

Może pojedziesz do domu i zadzwonię, jak będę wychodzić, to przyjedziesz po mnie?

Czekam w samochodzie.

– Mogłabyś odpuścić te słodkie tête-à-tête przy mnie, gdy jestem w takiej sytuacji? – mruknęła Walcia z wyrzutem.

– Przepraszam cię.

Nastka wyciszyła telefon i schowała go do kieszeni płaszcza. Okrycie powiesiła na wieszaku przy wejściu i po chwili namysłu ruszyła do kuchni. Z szafki na alkohole, którą Walcia w sumie rzadko otwierała, wyciągnęła wino, chwyciła dwa kieliszki i ruszyła w stronę przyjaciółki. W połowie drogi zmieniła zdanie, cofnęła się i zabrała jeszcze whisky oraz wódkę. Jeśli miała się pospieszyć, musiała Walcię błyskawicznie upić, wyciągnąć z niej informacje i znaleźć rozwiązanie, a to wszystko zanim Norbert – zniecierpliwiony czekaniem – postanowi siłą wdrzeć się na górę i zabrać ją do domu, czy to się komuś podobało, czy nie.

Półtora kieliszka później i po przebrnięciu wstępnych rozmów o niczym Walcia wreszcie zaczęła się otwierać.

– Wiesz, Piotruś zabrał mnie dzisiaj do takiej przyjemnej restauracji na Ostrowie. Powinnaś tam pójść z Norbertem. Mają wiosenne menu.

– Pytałaś go, co robił rano? – podchwyciła Nastka, odstawiając kieliszek.

– Pytałam.

– I co powiedział?

– Kręcił się w zeznaniach jak zając w potrzasku.

– Ale dokładniej?

– Najpierw powiedział, że to koleżanka, że ktoś tam kogoś z rodziny, a później...

Walcia wstrzymała oddech, jakby kolejne słowa nie chciały przejść jej przez usta. Skrzywiła się z niesmakiem, zakręciła resztką wina i opróżniła kieliszek jednym haustem. Nastka, pomna własnych postanowień, otworzyła whisky i wlała trochę do pustego szkła. Walcia zawahała się i ponownie chwyciła za kieliszek.

– Co powiedział później?

– Że to nikt ważny. – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

Nastka poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Jak mógł? Takie słowa tak bez wyjaśnienia?! Przecież każda kobieta wie, że tekst „nikt ważny” zawsze oznacza kogoś, kto przynosi kłopoty. Jeśli mówi

to chłopak o dziewczynie innej niż jego własna, oznaczać to może tylko była, obecną lub przyszłą partnerkę. No, ewentualnie nieznaną mu jeszcze siostrę, którą rodzice oddali w młodości do adopcji, po tym jak „zaszli” niekontrolowanie po trzydniowym maratonie koncertów heavymetalowych. Z tym że taki przypadek jak ten ostatni Nastka знаła tylko jeden, natomiast pozostałe trzy opcje – w dowolnej konfiguracji – występowały w ilościach hurtowych.

Ale czy coś takiego mógł zrobić Piotrek? Ten zakochany po uszy szary człowiek, jeszcze niedawno wpatrzony w Walcię jak – nie przymierzając – pies w swoją panią? Poza tym z tego, co się orientowała, on sam ciężko przeżył zdradę swojej wcześniejszej dziewczyny. Nastce nie mieściło się w głowie, że mógłby w podobny sposób potraktować jej przyjaciółkę.

– Jesteś pewna, że o to chodziło?

– Chciałabym wierzyć, że nie, ale jego zachowanie mówiło samo za siebie. Wyglądał, jakby było mu głupio. Dostawał na przemian słowotoku albo się jąkał. Od razu widziałam, że łągał jak pies.

– Przykro mi, kochana – powiedziała Nastka smutno. – Myślałam, że jest wierniejszy.

– Wierniejszy?! Ha! – Walcia poruszyła się gwałtownie, wylewając trochę alkoholu na siebie. Starła go z bluzy wierzchem dłoni, jej oczy zaszyły łzami. – Też tak myślałam, że jest wierny... jak... jak pies wierny... A on jest pies na baby!

– Pamiętaj, że to jednak człowiek. – przypomniała jej przyjaciółka, nawiązując do pierwszego spotkania Walci i Piotra.

– Myślisz, że to przez tamto zaklęcie? – Rudowłosa przełknęła whisky i podniosła gwałtownie głowę. – Może wtedy czar działał, a teraz przestał i on... On przestał mnie przez to kochać?

Usta Walci ułożyły się w podkówkę jak u małego dziecka. Nastka doskoczyła do niej i otoczyła ramionami, nie chciała, aby dziewczyna znów się rozplakała.

– Nie, to nie wina zaklęcia. To był przypadek, ale jego uczucia były szczerze – zapewniła.

– Skąd wiesz? Masz pewność?

Nie miała, ale w tej chwili to było bez znaczenia.

– Wiem, bo jestem czarownicą. Takie rzeczy widzę od razu.

– To co teraz? Mam się odkochać? Jest na to jakiś sposób?

– Takie czary to nie dla ciebie, Walentynko. – Nastka pogłaskała ją po głowie i odgarnęła burzę rudych loków spadających na twarz dziewczyny.

– Czyli co? Mam się tak czuć przez cały czas? I patrzeć, jak on spotyka się z inną?

– To minie, daj sobie trochę czasu.

– Nie chcę!

Nastka westchnęła. Nie miała w zanadrzu nic, co ukołoby ból przyjaciółki, no może z wyjątkiem alkoholu, dlatego dołała szciodrze do kieliszka i dalej głaskała ją po włosach. Na moment zatopiła się w myślach. Gdyby nie pożyczyła jej księgi zaklęć w walentynki i nie pozwoliła uprawiać magii bez nadzoru, Walcia nie spotkałaby Piotrka, nie zamieniła go w buldożka francuskiego i nie zakochała się w nim. (Nastka nadal podejrzewała, że uczucia dziewczyny rozbudziła najpierw psia postać Piotra, a dopiero później ta ludzka). Od tego wszystko się zaczęło i to powodowało, że miała w tej chwili wyrzuty sumienia, jakby to ona ich sobie przedstawiła na pierwszym spotkaniu.

– Przepraszam... – wyszeptała.

– Za co?

– Za to, że go spotkałaś.

– To nie twoja wina. To... to moja wina, że się zakochałam.

Walcia po raz kolejny rozbeczała się na dobre. Nastka tuliła ją, czekając, aż fala żalu ustąpi zmęczeniu i spokojowi. W końcu rudowłosa opanowała się. Wychyliła resztkę trunku z kieliszka, otarła usta wierzchem dłoni i odetchnęła głęboko. W jej spojrzeniu i gestach widać było silne upojenie, tylko minuty dzieliły ją od odpłynięcia w niebyt alkoholowej mgły.

– Powinien za to zapłacić. Ten... ten pies na baby – warknęła Walcia. W jej oczach zabłyśnął gniew.

– Zapłacić? Chcesz się zemścić?

– Tak. – Kiwnęła głową z taką siłą, że zachwiała się niebezpiecznie i Nastka odruchowo wyciągnęła dłonie, by w razie czego łapać przyjaciółkę. – Taki pies... nie pies, to nie pies, tylko pies na baby, powinien dostać nauczkę i... – Walcia zawahała się, próbując sobie coś przypomnieć. – I odszczekać, co o mnie mówił.

– O tobie?

– No, że jestem piękna i że mnie kocha, i że Flądra to „nikt ważny”!

– Dobrze, Walentyńko, zapłaci za to – obiecała Nastka.

Dziewczyna utkwiała w niej lekko rozbiegane spojrzenie, jakby szukała potwierdzenia słów, które usłyszała.

– Ale nie zrobisz mu krzywdy? – zapytała nagle. – Bo wiesz, on nie jest taki straszny, tylko taki... na baby.

– Dobrze, nie zrobię mu dużej krzywdy.

– Nie! Nie! – Walcia zawyła i schowała twarz w dłoniach. – Nie możesz mu nic zrobić, bo będziesz miała kłopoty, a on... on... hik!

Nastka aż podskoczyła ze strachu, w pierwszym momencie nie wiedziała, co się stało.

– Hik! – Rudowłosa uniosła się w górę i opadła jak na wielkiej fali. – Hik!

– Czkałka! – Czarownica roześmiała się. – Czekał, przyniosę ci wody.

Podeszła do zlewu, zabrała szklankę z ociekacza i napełniła ją wodą z dzbanka filtrującego. Podała ją Walci i usiadła obok. Patrzyła, jak przyjaciółka pije łapczywie.

– I pomyśleć, że wystarczyłoby jedenaście magicznych słów.

– Do czego? – Walcia odstawiła szklankę i oparła się wygodniej, podkładając sobie poduszkę pod plecy.

– Można by rzucić na niego zaklęcie i już by się w innej nie zakochał. Miałby nauczkę. Żadna by go nie chciała.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – przytaknęła Nastka zdecydowanie.

– A byłam pewna, że to ten właściwy – wymruczała pod nosem Walcia.

– Wiem, też tak myślałam. Nie martw się, pokażemy mu jeszcze.

Głaskanie przyniosło skutek i po kilku minutach rudowłosa zaczęła głęboko oddychać, zatopiona w regenerującym śnie pijaka. Czarownica odetchnęła. W głowie miała już alkoholową mgłę, przed oczami zdewastowaną przyjaciółkę, a całe ciało bolało ją od sztywnych mięśni, ale osiągnęła zamierzony na tę chwilę cel. Walcia spała spokojnie. Teraz musiała zweryfikować wszystko sama, zanim podejmie jakiegokolwiek działania. Po ostatniej aferze z rzucaniem zaklęcia na niewinnego człowieka w wydaniu Walci wołała nie

ryzykować problemów w Rodzinie. Najpierw zatem zamierzała poobserwować Piotrusia, sprawdzić, na ile poważny jest związek z Flądą i jak chłopak zachowa się wobec swojej obecnej dziewczyny. Z wyjaśnień Walci wynikało, że nie zerwał z nią, a jedynie zwodził odpowiedziami. Właściwie wołała, by z nią zerwał. Wtedy sprawa byłaby jasna i zakończona. Tymczasem Piotruś okazał się zdrajcą, a to najgorszy typ mężczyzny, którego należało plewić jak chwasty.

Poczuła przyływ złości i jej umysł odrobinę się oczyścił.

Nastka wstała, znalazła koc i przykryła przyjaciółkę troskliwie. Upewniła się, że w nocy Walcia nie spadnie z kanapy, i wreszcie zabrała kieliszki i butelki, usuwając ślady ich małej libacji. Rozejrzała się uważnie. Właściwie w tej chwili dziewczyna nie potrzebowała już jej pomocy, nie wyglądało też na to, aby w środku nocy stało się coś, co wymagałoby natychmiastowej interwencji czarownicy.

– Zatem mogę iść – oceniła cicho. Spojrzała na ścienny zegar i skrzywiła się. Dochodziła druga w nocy.

Nastka wyszła z klatki schodowej i natychmiast uderzył ją podmuch wiatru. Wtuliła twarz w kołnierz płaszcza. Pomimo późnej wiosny noce nadal były bardzo chłodne. Samochód Norberta stał zaparkowany na pustej parceli obok budynku. Podeszła bliżej i pochyliła się, ostrożnie zaglądając przez szybę. Chłopak siedział w środku, głowę miał opartą na zagłówku i wyglądał, jakby spał. Otworzyła drzwi. Norbert podniósł leniwie powieki i spojrzał na nią.

– Już? – zapytał, ale w jego głosie nie było cienia zniecierpliwienia.

– Zasnęła – poinformowała go zdawkowo, zajmując miejsce pasażera.

– Możesz powiedzieć, co się stało?

Oczy chłopaka czujnie błądziły po zmęczonej twarzy Nastki. Rozszerzone źrenice zdawały się pochłaniać ciemność wokół.

– Piotr coś kręci. Chyba naprawdę flirtuje z inną dziewczyną.

– On? – Norbert uniósł brwi. Mało brakowało, a prychnąłby z lekceważeniem.

– A dlaczego nie?

– Już to sprawdzaliśmy – odparł. – Nie było na nim zapachu innej, poza tym nie jest typem, który miałby odwagę chodzić z dwiema

dziewczynami naraz.

– A kto jest takiego typu? Jak to rozpoznajesz?

Wydał usta w zamyśleniu. Właśnie uświadomił sobie, że wpakował się w bardzo niewygodną sytuację. Drażnienie tematu mogło tylko doprowadzić między nimi do kłótni, a na to nie miał ochoty w środku nocy. Zdecydowanie bardziej wolałby położyć się obok niej w łóżku i wreszcie zasnąć spokojnie.

– Masz rację. Nie znam go tak dobrze – odparł pojednawczo.

– Pytałam, jak rozpoznajesz zdrajców – naciskała.

– Nastka, proszę... – zaczął, ale jej zacięte spojrzenie powiedziało mu, że łatwo nie odpuści. – Znam takich, to chyba szósty zmysł, po prostu widzę ich sumienie w mowie ciała – tłumaczył.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, przez chwilę coś rozważała, w końcu rozluźniła się, oparła wygodniej i odwróciła głowę w stronę szyby. Nie mógł z profilu odczytać jej wyrazu twarzy, ale wydawała się zrezygnowana, jakby było jej wszystko jedno.

– Wracamy?

– Tak.

Norbert włączył silnik. Samochód zamruczał cicho jak kot. Ruszyli opustoszałymi uliczkami. Za późno było na imprezowiczów i za wcześnie na ludzi pracy, dlatego do mieszkania dotarli błyskawicznie. Nastka czuła, że nie zdążyła się jeszcze uspokoić i pewnie długo nie zaśnie. Buzowała w niej wściekłość na Piotrusia, na Flandrę i na cały rodzaj ludzki w ogólności, tak dla równowagi. Po co było się wiązać, jeśli nie potrafili zostać przy jednej osobie? Wsiadła z samochodu w jeszcze gorszym humorze. Norbert bez słowa podążył za nią.

– A ty? – spytała nagle, zatrzymując się na klatce w połowie schodów i odwracając do chłopaka.

– Co ja? – Popatrzył na nią z dołu spokojnym wzrokiem.

– Ty też tak robisz? Masz inne, kiedy jesteś ze mną?

– Od kiedy jestem z tobą, nigdy – odparł bez wahania.

– Serio? – Nastka zmarszczyła brwi. Nie była pewna, czy mu nie wierzy, czy się cieszy z jego odpowiedzi.

– Śmiertelnie serio.

– A wcześniej?

– Wcześniej to różnie bywało. – Norbert spuścił wzrok.

Tego właśnie nie chciał jej mówić. Nie chciał, żeby myślała o jego przeszłości, żeby zastanawiała się, jaki był i czy nie wróci do złych zwyczajów. Nie zamierzał jej martwić ani – co równie ważne – nie chciał źle wypaść w jej oczach.

– Różnie? – drażyła.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć? Wdawać się w szczegóły z przeszłości, które nie mają teraz znaczenia?

– Kiedyś mi powiedziałeś, że ty się nie zmienisz, że taka twoja natura.

– To... było kiedyś – odparł w końcu. Szczerze żałował tamtych słów sprzed pięciu lat, kiedy ich związek dopiero się zaczynał i jego duma nie pozwalała mu ustąpić ani na jotę w kwestiach, które teraz wydawały mu się śmieszne i kompletnie trywialne.

Nastka powoli kiwnęła głową, jakby godziła się z tym stanem, i ruszyła w górę.

Dotarli do mieszkania w milczeniu. Norbert czuł wręcz fizycznie ciężką atmosferę. Dziewczyna zamknęła się natychmiast w łazience, zdążył zobaczyć tylko jej plecy. Zdjął więc buty i kurtkę, a następnie położył się na łóżku w sypialni. W ciszy uśpionego bloku wsłuchiwał się w dźwięk płynącej w łazience wody. Nie zauważył nawet, kiedy zasnął. Obudził się nagle z szybkim biciem serca. Nie pamiętał, co mu się śniło, ale z pewnością nie było to nic przyjemnego.

Nastka spała obok. Odwrócona do niego plecami, zdawała mu się drobna i krucha, ale biło od niej przyjemne ciepło. Przysunął się ostrożnie bliżej, tak żeby jej nie obudzić, i powoli wsunął dłoń w zagłębienie pomiędzy talią a ręką. Poruszyła się przebudzona. Norbert zamarł na chwilę, jak kot czatujący na mysz. Dziewczyna znów zapadła w sen, więc kontynuował swoje podchody. W końcu otoczył ją ramieniem i przylgnął do niej. Była miękka, pachnąca i rozgrzana snem. Odetchnął tym wszystkim głęboko. Poczował, jak jego własny oddech wyrównał się, a do umysłu zawitał spokój. Zanim zasnął, obiecał sobie, że rozliczy się z tym całym Piotrusiem z powodu strat i nerwów, jakie sam musiał przez niego ponieść. Wszystko, co działo się z Walcią, miało swój oddźwięk w nastroju Nastki, a to, co działo się z Nastką, bezpośrednio dotyczyło jego. Niech mu się tylko napatoczy ten zdrajca męskiego plemienia, a nie

zostawi na nim skrawka nieobitego ciała. Z tym postanowieniem usnął, wtulony w czarownicę.

12

Walcia obudziła się z potwornym bólem głowy. Każdy mięsień w ciele zdawał się krzyczeć, a w ustach miała Pustynię Błędowską, i to chyba z połową piasku, jaki się tam znajdował. Otworzyła oczy i stwierdziła, że leży na kanapie w bardzo dziwnej pozycji, która prawdopodobnie potęgowała dokuczliwe doznania w obrębie górnych partii ciała. Delikatnie się poruszyła i potoczyła półprzytomnym spojrzeniem po pomieszczeniu. Była pewna, że wczoraj przyszła do niej Nastka i siedziała tak długo, dopóki Walcia nie zasnęła, ale brak przyjaciółki w pobliżu sugerował, że nie spędziły razem tej nocy. Czy Norbert po nią przyjechał? Nie pamiętała, by widziała chłopaka, ale równie dobrze Nastka mogła zejść na dół i tam się z nim przywitać. Ona widocznie spała już ubzdryngolona jak dziecię po zjedzeniu całego tortu czekoladowego. Gdyby tylko przypomniała sobie, o czym rozmawiały. Przez to całe picie słabo pamiętała nawet spotkanie z Piotrusiem po południu, a co dopiero szczegóły wizyty przyjaciółki.

– Mogłaś mi darować – wyszeptała, pewna, że to właśnie przyjaciółka pomogła jej doprowadzić się do takiego stanu.

Walcia próbowała podnieść się z kanapy, ale szybko zrezygnowała. Każda próba kończyła się nieznośną falą mdłości i wirowaniem świata. Leżała więc dalej, wpatrzona w jeden punkt na ścianie, i pozwoliła myślom krążyć swobodnie w nadziei na to, że przypomni sobie coś więcej. Miała nieodparte wrażenie, że zapomniała o czymś ważnym, o czymś, co znacznie poprawiłoby jej samopoczucie. Nie miała tylko pojęcia, co to mogło być. Czy Nastka znalazła rozwiązanie na jej problem z Piotrusiem? Czy może obiecała pomóc? Tylko w jaki sposób chciała to zrobić? Walcia nie potrafiła sobie nic przypomnieć.

Zamiast tego wspomnienia powędrowały w stronę Piotrusia i ich wspólnej kolacji. Te obrazy były wyraźniejsze, chociaż Walcia wolałaby się teraz na nich nie skupiać.

– Pies na baby – warknęła cicho, by nie drażnić zmysłu słuchu ponad obecny, już i tak nadwyrężony stan.

No tak. Teraz pamiętała więcej. To, jak nazwała wczoraj Piotrusia w rozmowie z Nastką. Żaliła się jej i – tak jak podejrzewała – przyjaciółka obiecała pomóc. Tylko jeszcze raz: co ona mówiła o czarach? Że jest jakiś czar na to, żeby Piotruś nie zakochał się w innej...?

Pokój wypełnił dźwięk dzwonka telefonu. Walcia zachłysnęła się powietrzem z powodu bólu, jaki nawiedził jej umęczoną głowę. Odruchowo schowała się pod najbliższą poduszkę, ale nawet tam dzwonek docierał z siłą uderzenia gromu. Do tego ktoś za nic nie zamierzał odpuścić. Dziewczyna, chcąc nie chcąc, zmusiła się do podniesienia z kanapy i odszukania komórki. Ta zdążyła już nawet umilknąć, ale natychmiast ponownie rozpoczęła swój dziki jazgot. Walcia zerknęła na wyświetlacz i westchnęła ciężko. Odebrała.

– Co tak długo, kochanie? Wszystko w porządku? – rozległo się po drugiej stronie.

– Tak, w porządku, mamó – odparła ochryłym głosem.

– Przeziębłaś się? Musisz pić więcej witaminy C. Nie lekceważ zdrowia tylko dlatego, że już jest prawie lato, teraz właśnie najłatwiej się przeziębic, wiesz, jakie są statystyki?

– Nie jestem przeziębiona – wyrzęziła Walcia. Powoli doczłapała do kuchni, nałala sobie szklankę wody, którą natychmiast wypila duszkiem, i wróciła na kanapę. W głowie dzwoniło jej od głosu rodzicielki, a oczy bolały niemiłosiernie. Do tego mdliło ją pierwszorzędnie. Tak, zdecydowanie wszystko było w normie.

– Jak chcesz. – Mama zdawała się lekko urażona, szybko jednak jej przeszło ku rozpaczycy Walci. – Dawno się nie odzywałaś. Przyjdiesz wreszcie na niedzielny obiad? To już miesiąc, jak się nie pokazałaś. Najlepiej, żebyś zabrała ze sobą tego Piotrusia.

Dziewczyna poczuła, jak oblewa ją zimny pot, a gardło ściska rozpacz. Czy naprawdę świat w postaci zrzędzającej matki postanowił wbić jej kolejną szpilę, kiedy jeszcze nie pozbierała się po zdradzie? Co ona teraz powie rodzicielce, której nadrzędnym celem życiowym było wydanie córki za męża, najlepiej już dwie dekady temu, choć oznaczałoby to związek trzylatki?!

– Mamo, to chyba nie najlepszy moment. – Walci załamał się lekko głos, ale kobieta nie zauważyła albo wołała to zignorować.

– Nie może być tak, że ciągle unikasz naszego spotkania. Wstydzisz się nas? No przecież nie masz czego. Ojciec dyrektor w dużej firmie, matka nauczycielka, siostra po studiach i nawet Adaś chce teraz założyć firmę, czego się wstydzisz? Jesteśmy porządną rodziną.

Walcia nie wstydziała się swojej rodziny, już bardziej bała się jej przytłaczającego istnienia. Zarówno rodzice, jak i brat cechowali się wrodzoną, bardzo upierdliwą umiejętnością permanentnego zaznaczania swojej obecności w życiu innych, a zwłaszcza Walci. Dziewczyna nie chciała, aby Piotruś za bardzo się do nich zbliżał, bo mógłby zostać natychmiast przytłoczony ich dominującą osobowością. Obawiała się, że jego normalna – jakby nie było – psychika może tego nie wytrzymać i chłopak ucieknie z krzykiem jak najdalej od niej. Choć teraz nie miało to już znaczenia.

Nie potrafiła jednak wyznać matce, w jakim znalazła się położeniu. Kobieta pewnie by tego nie zaakceptowała, tak jak nie akceptowała jej wcześniejszego stanu singielki. Jeszcze bardziej przerażająca była myśl, że mama, kierując się dobrymi chęciami, natychmiast zaproponuje jej spotkanie z Bartoszem Wiśniarkiem, kolegą z dzieciństwa, którego Walcia nie znosiła, ale według jej rodziców był to dobry kandydat na męża, choćby dlatego, że stały. Bartosz nie potrafił znaleźć sobie dziewczyny – a raczej żadna nie wytrzymywała starcia z jego wielkim ego, o wiele większym niż rozum.

– Nikogo się nie wstydzę, ale to nie jest dobry moment. Wiesz, mamo... Praca, studia...

– Czy ty już nie miałaś zaliczeń? – zauważyła matka, przyprawiając Walcię o kolejny ból głowy. – Nic nie mówisz. Przecież to koniec roku, czerwiec lada chwila, kiedy przyjedziesz na wakacje?

– Na pewno nie teraz.

– Nie możesz nas unikać. Ja wiem, że chłopak i w ogóle, ale żeby aż tak? – zaperzyła się mama.

– To nie tak, tylko... – Walcia nie miała już pomysłu, co dalej.

Zastanawiała się przez chwilę. To prawda, odkąd chodziła z Piotrusiem, tylko raz – i to na chwilę – pokazała go rodzinie, potem za każdym razem wymawiała się a to jego pracą, a to swoimi

studiami, wycieczką za miasto czy zmęczeniem. Opcje powoli jej się wyczerpywały, tak jak cierpliwość matki.

– A może to my mamy wpaść do was? – zaproponowała nagle.

Walcia aż się zapowietrzyła. Rodzice w jej mieszkaniu, omiatający czujnym spojrzeniem każdy kąt? Musiałyby sprzątnąć szafkę z alkoholem! Choć chyba po wczorajszym wieczorze niewiele tam zostało. A poza tym umyć okna, sprzątnąć, pranie zrobić... Właściwie to ostatnie i tak musiała zrobić.

– Walentyno Pączek, czy ty mnie słuchasz?!

– Tak, słucham cię, mamo – otrząsnęła się – ale teraz naprawdę nie damy rady. My... My mamy rocznicę.

– Jaką rocznicę?

– No... trzy miesiące chodzimy ze sobą – wyjaśniła Walcia zadowolona, że wreszcie znalazła dobry powód. – Wiesz, mamo, o związek trzeba dbać i my chcemy zrobić taką rocznicę, no wiesz, będą świece, czekoladki, kwiaty... Pewnie kolacja i może kino – rozkręcała się, snując kolejne wizje wymarzonego wieczoru z ukochanym.

– Rocznicą na trzy miesiące? Kto to widział, żeby takie święto obchodzić?

– No tak teraz jest, wiesz – westchnęła. – Związki krótkie, to i rocznice się intensyfikuje. Statystycznie rzadko związki przetrwają rok...

– I dlatego musicie świętować, że już ze sobą jesteście trzy miesiące?

– No... tak.

– Walentynko... – Walcia oczami wyobraźni zobaczyła, jak matka kręci z rezygnacją głową. – My z ojcem jesteśmy już dwadzieścia siedem lat i takich hocków-klocków nie wyczyniamy. Rozumiem rok, pięć, dekadę, ale żeby kwartał? Cóż... Jakie czasy, taka młodzież. Żebyś ty tylko dotrwała do następnego kwartału. To ja ci nie będę przeszkadzała w tym świętowaniu, córeczko.

– Dzięki, mamo.

Walcia odetchnęła, niebezpieczeństwo na jakiś czas zostało zażegnane.

– Ale w następny weekend to już obowiązkowo musicie przyjechać, bo jak nie, to my wybierzemy się do was. To pa.

Rozległ się sygnał zerwanego połączenia. Walcia jeszcze przez dłuższy czas nie ruszyła się z miejsca, oszołomiona matczyną deklaracją. Skąd ona znowu wytrzyma faceta na dwa tygodnie?!

Tego było za dużo. Odłożyła telefon i ruszyła do kuchni. Tam odnalazła schowaną przez Nastkę butelkę wódki. Nalała sobie do kieliszka i wypita porządny łyk. Gardło ją zapiekło, oczy otworzyły się szerzej, ale podziałało. Po chwili już czuła, jak ciało zaczyna wracać do równowagi. Wyrównała płyny drugą szklanką przefiltrowanej wody i dopiero wtedy była w stanie zmierzyć się ze światem, który najwyraźniej postanowił podłożyć jej obie nogi naraz.

– To na czym stoimy? – mówiła do siebie głośno, żeby lepiej zebrać myśli. – Piotrusiowi najwyraźniej znudził się nasz związek i mnie zdradza, pies na baby – fuknęła. – Flądra, jak on na nią mówił?

Próbowała przypomnieć sobie, jakie imię wymienił wczoraj, gdy wspominał o drobnej szatynce, ale nic jej się nie kojarzyło. Wtedy nie przywiązywała do tego wagi, a szkoda, bo mogłaby spróbować ją teraz wyszukać w internecie. Trudno.

– Niech zostanie Flądra – postanowiła Walcia. – Z nią mnie zdradza. Ładna, zgrabna, drobna, ciemnowłosa, zupełnie nie to co ja... – oceniła krytycznie. – Jeśli zmienił mu się gust, to umarł w butach, chyba tylko czary by pomogły, tak jak wtedy.

Tylko czy to było bezpieczne? Czary w jej wydaniu okazały się katastrofą. Co jeśli tym razem zmieniałaby Piotrusia w coś gorszego niż buldożek francuski, na przykład w kozę? Psa jeszcze mogła trzymać w domu, jakoś by się udało, ale kozę? Co by sąsiedzi powiedzieli? A jakby tupiała w nocy racicami, to co? Ma tłumaczyć sąsiadom, że tak już jest, czy zrobić jej bambosze na szydełku?

Potrząsnęła głową, odrzucając myśl o zamienieniu Piotrusia w kozę. W końcu było to mało prawdopodobne. Jaka jest możliwość, że dwa razy z rzędu nie wyjdzie jej czarowanie? Gdyby tym razem restrykcyjnie trzymała się przepisu i zaklęcia, wszystko powinno pójść dobrze. Tylko czy używanie czarów, żeby zatrzymać przy sobie chłopaka, było słuszne? Walcia zawahała się. Sumienie podpowiadało jej, że nie. Takie rozwiązanie nie było fair wobec Piotrusia, zwłaszcza jeśli zakochał się już w innej. Tylko że ona była pierwsza i bardzo, ale to bardzo kochała tego chłopaka. Jak nigdy

wcześniej żadnego innego. Oczy zaszyły jej łzami. Wizja, że musiałaby go pożegnać i odejść, powodowała bolesne ściskanie serca.

Nie, to jest sprawiedliwe. Piotruś ją kochał i ona kochała Piotrusia, a miłość uświęca sierotki czy jakoś tak. Walcia czuła się teraz jak porzucona sierotka, więc mogła spokojnie użyć magii, żeby na nowo wzniecić w nim pożądanie do siebie. W końcu była pierwsza, miała do niego większe prawa!

Musiała tylko znaleźć odpowiednie zaklęcie. Takie, które sprawi, że on się w niej ponownie zakocha. Chwyliła komórkę, żeby zadzwonić natychmiast do Nastki i zażądać podania odpowiedniego zaklęcia.

Na wyświetlaczu ujrzała powiadomienie o dwóch wiadomościach. Pierwsza z nich pochodziła od Piotrusia:

Dzień dobry, kochanie. Nie śpisz już? Miłego dnia! :)

Esemes wywołał w dziewczynie ponowny ucisk w okolicach klatki piersiowej. Nadal trochę bardziej niż zdrada Piotrusia bolało ją, że nie chciał się do tego przyznać. Mógłby okazać się mężczyzną! Tylko czy ona tego chciała? Nie – odpowiedziała sobie od razu. Gdyby się przyznał, to oznaczałoby zerwanie, a na razie trwali w dziwnym stanie zawieszenia i Walcia nadal mogła myśleć, że jest jego dziewczyną. Przez to czuła się odrobinę lepiej.

Otworzyła drugą wiadomość. Nastka wysłała ją godzinę temu – czyli bardzo wcześnie jak na nią i ich wczorajsze wycyny.

Cześć, w porządku? Powiedz tylko słowo, a odpłacę mu za Ciebie. Sama nie rób nic głupiego.

Zatrzymała się na chwilę. Jej myśli zaczęły wędrować odrobinę rozsądniejszymi ścieżkami. Wiedziała, że przyjaciółka podchodzi sceptycznie do używania czarów przez osoby niewtajemniczone i nieprzeszkolone, a taką osobą była Walcia. Już pierwszy pomysł rzucania uroku w walentynki uznała za szaleństwo. Gdy magia wymknęła się spod kontroli, to Nastka poniosła konsekwencje pożyczania Walci *Wielkiej księgi zaklęć*. Nie miała pewności, co dokładnie się stało, ale sprawa musiała być poważna. Gdyby do uszu przełożonych dotarła informacja o drugiej próbie czarowania

przez amatora, raczej nie poprawiłoby to sytuacji. Co gdyby uznali takie działanie za recydywę i wyrzucili Nastkę ze swojej organizacji? Walcia nie wybaczyłaby sobie narobienia takich kłopotów przyjaciółce. Sprawa zdawała się przesądzona, ale czy na pewno taka była?

Nalała sobie jeszcze jedną szklankę wody i wróciła na kanapę. Co mogła zrobić, żeby nie wpakować czarownicy w tarapaty, a jednocześnie dopiąć swego i rozbudzić w Piotrusiu zapomniane uczucia?

Może powinna sama zająć się tym zaklęciem? Tylko nie wiedziała, jak ono brzmi. Pamiętała, że przyjaciółka coś o nim mówiła. Walcia zmarszczyła brwi, próbując przywołać zamglone wspomnienia z pijackiej rozmowy. Jeśli tylko dobrze pomyśli...

– A wystarczyłoby... – mruzczała pod nosem słowa Nastki. – A wystarczyłoby jedenaście sów...

Walcia podniosła gwałtownie głowę, rozejrzała się w poszukiwaniu kartki papieru i długopisu. W pobliżu znalazła tylko zielony flamaster i karteczki w kształcie jednorożca, który zarzucał tęczową grzywą we frywolnym geście. Zanotowała słowa i przyjrzała się im krytycznie.

– Jedenaście sów... Co to znaczy?

Wątpiła, żeby chodziło o prawdziwe sowy. Trudno byłoby jej znaleźć choćby jedną, a co dopiero gdyby miała poświęcić ich jedenaście na ołtarzu miłości. Musiała być to zatem metafora albo coś podobnego.

Chwyciła komórkę i otworzyła wyszukiwarkę, po czym wpisała w nią słowo „sowa”. Prócz opisu ptaka wyświetliły jej się jeszcze takie nazwy, jak: cukiernia Sowa, taśmy Sowa i Przyjaciele, afera taśmowa, kubek w kształcie sowy. Przeglądała tytuły stron, próbując w jakikolwiek sposób dopasować je do swoich potrzeb. Niestety niewiele jej z tego wychodziło. Podejrzewała, że autor zaklęcia nie miał na myśli ani ciastek w kształcie rzeźbionego ptaka, ani nawet jedenastu kubków przedstawiających sowy w całości i portretowo, przed kawą i po kawie, z inspirującymi napisami. Im dalej przewijała, tym bardziej oddalała się od sowy jako ptaka, a bliżej była politycznych afer. Kiedy w nagłówkach sowę zastąpiły ośmiorniczki, zrezygnowała. Cofnęła się do początku i spojrzała na propozycje graficzne. Zdjęcia puchatych ptaków zalały ekran ilością masową.

Nie było wątpliwości, że to piękne stworzenia, ale nadal nie miała pojęcia, jaką rolę mają odgrywać w zaklęciu.

W końcu musiała się na coś zdecydować, bo czas mijał, a możliwości było tylko więcej.

Znowu otworzyła wyszukiwarkę z ostatnimi wyświetleniami i wtedy to zobaczyła. Zdjęcie kamiennej sowy ze szczytu budynku. Tajemnicze zwierzę wydawało się wpatrywać w nią z ekranu telefonu. Tak! O takie magiczne sowy musiało chodzić Nastce – pomyślała. Kliknęła odnośnik i przebiegła wzrokiem artykuł. Mówił o pięknie detalu architektonicznego Poznania i jego różnorodności. Walcia zdziwiła się, gdy przeczytała, że setki kamienic mają nienaruszone od czasów ich wybudowania elementy zdobnicze, które dzieli się na kilka rodzajów w zależności od okresu ich powstania i motywu. Właściwie nie powinna się dziwić, co prawda jej kamienica nie miała żadnego elementu wyróżniającego, nie licząc niewielkiego, prostego gzymsu, oddzielającego piętro od wysokiego parteru, oraz bardzo wymyślnych malunków, które były dziełem współczesnych graficiarzy. Kamienica naprzeciw odznaczała się już o wiele piękniejszą elewacją. Na parterze była przyozdobiona wzorem udającym duże kamienie o równych kształtach, zwane boniowaniem, jak głosił artykuł. Na pierwszym piętrze rzucały się w oczy zwieńczenia nad oknami w kształcie girland z liści i kwiatów, spięte na środku prostokątnym elementem zwanym kartuszem. Pomiędzy nimi, nad wejściem, dodano płaskie kolumny odstające od ściany, czyli pilastry. Drugie piętro, o mniejszych oknach, miało skromniejsze zdobienia w postaci prostych, geometrycznych nadproży nad oknami i gładkie panele między nimi. Dach, choć płaski, wystawał z elewacji i od dołu było widać drewniane wałeczki, rzędy prostokątnych ząbków i niewielkie wsporniki w kształcie wijących się loków, które autor tekstu nazwał ślimacznicami.

Zachwycona opisami Walcia zagłębiła się w tekst. Po kilku minutach odetchnęła, dobrnąwszy do końca. Przesunęła palcem w dół i ku swojemu zdziwieniu odkryła, że na pasku wyświetla się mapa miasta z zaznaczonymi różnymi symbolami. Przeczytała legendę i serce podskoczyło jej do gardła. Mapa zawierała adresy wybranych kamienic i budynków z podziałem na typy ozdobnych elementów znajdujących się na ich elewacjach. To znaczyło, że

Walcia wreszcie miała jakiś punkt odniesienia. Na mapie zaznaczone były drzewka, ludziki, postać jelenia z wielkim porożem oraz fikuśny ślimak. Po kliknięciu w kilka z nich połapała się, że każdy symbol odnosił się do typu zdobień. Ją w takim razie interesowały jelenie – co prawda to nie sowy, ale też zwierzęta. Jeleni w mieście wyświetlało się na oko kilkadziesiąt, więc czekało Walcię sporo szukania.

Pomimo bólu głowy i ogólnego zmęczenia spowodowanego nocnym picciem w dziewczynę wstąpiło nowe życie. Odnajdzie jedenaście magicznych, kamiennych sów na murach miasta i przygotowuje się do rzucenia zaklęcia. Gdy już będzie je miała, namówi Nastkę na pomoc i razem – w bezpieczny i poprawny sposób – rzucą zaklęcie na Piotrusia, który znów ją pokocha, lub przynajmniej sprawią, że żadna inna nie pokocha jego, co dla Walci było równoważne.

W kilka minut doprowadziła się do porządku, zrzuciła stare ciuchy, wzięła prysznic i wciągnęła na siebie dżinsy oraz bluzę z wielkim jęzorem na piersi, a następnie z komórką w ręce ruszyła w miasto.

13

Piotruś nie mógł spać przez większość nocy. Myślał i myślał, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Zachowanie Walci sugerowało, że jest na niego zła, tylko nie chce powiedzieć, z jakiego powodu. Chwilami podejrzewał, że może dziewczyna domyśla się wszystkiego, ale przecież nie mógł jej spytać wprost, a ona do tej wiedzy się nie przyznawała. Pozostawało mu czekać na rozwój sytuacji. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że ten rozwój wcale nie musi mu się spodobać. Zmęczony kotłowaniną i zawilością procesów myślowych, w końcu zasnął, gdy niebo zaczynało się już rozjaśniać pierwszymi promieniami słońca. Efektem tego było zaspanie na zajęcia. Z pieśnią chwającą zwierzęta produkujące jaja wyskoczył z łóżka i w dzikim szale zaczął się szycować.

W ostatniej chwili, jeszcze przed wyjściem, przypomniał sobie o ważnej sprawie. Wyciągnął telefon i wystukał esemesa do Walci. Może choć to odrobinę poprawi jej humor.

Wybiegł z klatki i skręcił w lewo, na przystanek tramwajowy. Drogę przeciął mu czarny kot. Był tak wielki i gruby, że spokojnie przerastał spaniela. Poruszał się jednak bardzo szybko i zdążył umknąć między zaparkowane przy ulicy samochody. Piotruś pomyślał, jakie to szczęście, że dziś nie wypadł piątek trzynastego, bo mogłoby to zwiastować prawdziwego pecha – i wtedy wokół zapadła ciemność.

14

Walcia wyszła na dwór od strony podwórka. Do jej kamienicy przynależała niewielka, ciasna przestrzeń z tyłu budynku, w której mieściły się rozpadające się budy, pełniące funkcję schowków na różne szpargały. Z początku dziewczyna planowała poruszać się po mieście rowerem, aby przyspieszyć poszukiwania. Jednak gdy dotarła do szopy, gdzie trzymała swój jednoślad, okazało się, że jedna z opon nie ma powietrza. Westchnęła zawiedziona.

– Dzień dobry, panno Walentyo – usłyszała za sobą dźwięczny głos sąsiada. Odwróciła się. Pan Stanisław właśnie szedł do śmietnika z wiaderkiem. Towarzyszyła mu nieodłączna Ziotka, buldożek francuski o ciemnym pyszczku, który za każdym razem kojarzył jej się z bardzo bliskim i bolesnym spotkaniem ze ścianą i podłogą... Właściwie kilkukrotnym spotkaniem. Piesek rzucał głośno, próbując nadażyć za żywotnym staruszkiem.

– Dzień dobry, panie Stasiu – przywitała się grzecznie Walcia.

– Wybiera się pani na rower? Piękna pogoda na podróż. – Staruszek, jakby na dowód swoich słów, spojrział w błękitne niebo.

– Tak myślałam, ale niestety w oponie nie ma powietrza, za to znalazłam to. – Dziewczyna podniosła do góry sprawcę całego zamieszania, kawałek grubego drutu.

Pan Stanisław podszedł bliżej i odstawił wiaderko. Obejrzał dokładnie znalezisko.

– Oj, poważna sprawa – zamruczał pod nosem i pokręcił głową.

– No właśnie...

– Niech pani pokaże. – Mężczyzna podał Walci smycz Ziotki i nachylił się nad rowerem. Przez chwilę okręcał koło, oglądał dokładnie z każdej strony, cmokając przy tym i mrużąc coś niezrozumiałego. W końcu podniósł się z lekkim wysiłkiem. – To raczej nie do naprawy, łątko nie wystarczy, zaraz pani pęknie i znów rower będzie nie do użytku – zawyrokował. – Ale powinienem mieć w piwnicy taką dętkę, to pani założę. Proszę zostawić rower tu, przy drzwiach, za chwilę się tym zajmę.

– To bardzo miłe – odparła, lekko zawstydzona i zaskoczona – ale nie mogę pana fatygować...

– To żadna fatyga, a ja mam kilka dętek, bo u mnie jest taki sam rozmiar kół w rowerze.

– Na pewno? Ja mogę oddać do punktu...

– Niech pani nie żartuje, dla mnie to przyjemność, że mogę się na coś przydać – uśmiechnął się do niej.

Walcia nie miała serca mu odmawiać.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziała wreszcie przez zaciśnięte gardło. Choć wiedziała, że sama była w stanie wymienić dętkę, to z pewnością zajęłoby jej to o wiele więcej czasu, a tego dziś nie miała. Musiała znaleźć magiczne artefakty. Właśnie! Przypomniała sobie, po co właściwie wyszła na podwórko. – Czy ja mogę panu zostawić klucze do szopy i pan wstawi rower z powrotem? Ja muszę gdzieś się wybrać i chyba w tej sytuacji nie dam rady rowerem.

– Nie ma problemu. A może pożyczyć pani mój?

– Nie, dziękuję. To nie jest daleko, pójdę na piechotę.

– To życzę powodzenia. – Ponownie uśmiechnął się do niej, odbierając smycz i klucze do składowiska.

– Jeszcze raz dziękuję!

Walcia wróciła do budynku i przez klatkę schodową wyszła na ulicę. Tam otworzyła mapę i sprawdziła, gdzie znajduje się najbliższy znaczek motywu zwierzęcego na elewacji kamienicy. Kierując się tymi wskazaniem, ruszyła pieszo. Po kilku chwilach uświadomiła sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu szła przez miasto, obserwując uważnie ulicę i swoje otoczenie. Zwykle poruszała się od punktu A do punktu B bez zastanawiania się nad tym, co jest wokół niej i jak wygląda miasto. Był sklep, przystanek, klatka schodowa, mieszkanie, ale wszystko w jej umyśle ograniczało się do konkretnych drzwi, przez które musiała przejść, lub liczby światła. Dopiero dziś uświadomiła sobie, że nie wie na przykład, jak właściwie wygląda budynek, w którym znajdował się najbliższy sklep spożywczy. Wiedziała, gdzie jest i jak wygląda wejście do niego, ale gdyby ktoś spytał ją o kolor elewacji czy liczbę pięter, nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Zrobiło jej się głupio, że tak mało zwracała uwagę na otoczenie, a przecież to, co każdego dnia mijala, w jakiś sposób też na nią wpływało.

Pierwszy cel mieścił się niedaleko jej domu. Walcia skręciła w następną uliczkę, o wiele bardziej ruchliwą niż jej własna, później przeszła przez pasy i pokonała jeszcze jedną przecznicę. Sprawdziła na internetowej mapie. Znajdowała się dokładnie w miejscu znacznika. Zadarła więc głowę i rozejrzała się uważnie. Elewacja po prawej nie odznaczała się żadnymi detalami. Wyglądało na to, że straciła je jeszcze za czasów wojny, a resztki trzymającego się na słowo honoru tynku pokrywały mniej niż połowę ścian. Po lewej stronie pomiędzy kamienicami wcisnęła się nowa plomba z chromowanymi balustradami szklanych balkonów i lustrzaną elewacją odbijającą budynek naprzeciwko. Dziewczyna przyjrzała się odbiciu. Zobaczyła girlandy kwiatów i dwa lwie łby po dwóch stronach pięknej drewnianej bramy. A więc pierwsze zwierzęta, jakie spotkałam, to lwy – pomyślała odrobinę zawiedziona. Odwróciła się w stronę budynku i przestudiowała widok. Nic więcej. Zerknęła na wyświetlacz komórki. Następny znacznik znajdował się dwie kamienice dalej. Ruszyła w tamtym kierunku.

Tu miała więc szczęścia. Na zdobnym balkonie pierwszego piętra w skromnym jajowatym panelu siedziała niewielka sowa o rozłożonych skrzydłach.

Walcia przyglądała się jej przez chwilę. No to co teraz? Przecież jej nie zedrze z elewacji i nie zabierze ze sobą. Przechyliła głowę. Nastka opowiadała jej kiedyś, jak poszła do lasu szukać magicznego źródła. To była jedna z prób na czarownicę i przyjaciółka bała się, że zgubi drogę. Zaznaczała na każdym większym drzewie znak, gdy dotarła do miejsca przeznaczenia, odprawiła rytuał, a wracając, rzuciła zaklęcie. Wszystkie zaznaczone drzewa połączyła świecąca nić, która wskazała jej drogę do domu. W ten sposób się nie zgubiła. Może też w tym wypadku połączenie wszystkich jedenastu sów wystarczy, żeby rzucić zaklęcie.

Walcia przeszła na drugą stronę ulicy i rozejrzała się. Z tej kamienicy również odpadał tynk i kilka kawałków leżało nawet na ziemi. Chwyliła jeden. Zaprawa murarska była dość miękka i piaszczysta. Kiedy poskrobała ją palcem, z łatwością się rozpadała, ale do jej celów mogła wystarczyć. Na pustym kawałku ściany na wysokości swojej twarzy narysowała gwiazdę jedną ciągłą linią. Nastka mówiła, że gwiazda to najsilniejszy z prostych symboli

magicznych. Innych nie chciała jej nauczyć, dlatego Walcia musiała zaufać temu, co wiedziała. Zadowolona z efektu, znów zajrzała do internetowej mapy. Następny znacznik był tuż obok, a zaraz za zakrętem kolejne dwa. W okolicy aż się od nich roilo. Naszła ją myśl, że przy takim ich nagromadzeniu spędzi na poszukiwaniach kilka dni, a przecież jej się spieszyło!

Szybko przypomniała sobie, że nie ma innego wyjścia. Jeśli chciała rzucić zaklęcie, potrzebowała tych sów, a nikt przecież jej nie wyręczy. Schowała kawałek tynku do kieszeni bluzy i ruszyła dalej, rozglądając się uważnie. Mijający ją ludzie spoglądali z zaciekawieniem na dziewczynę wpatrzoną w elewacje budynków to po jednej, to po drugiej stronie ulicy – musiała wyglądać jak turystka z zachwytem oglądająca miasto. Niektórzy nawet się uśmiechali, inni oglądali się za nią z pobłażliwością.

Walcia wędrowała starą częścią miasta, gdzie znajdowało się najwięcej kamienic o zdobnych elewacjach. Mijała gipsowe girlandy i geometryczne wzorki. Na dłużej zatrzymywała się tylko przy bardziej skomplikowanych płaskorzeźbach ze zwierzętami. Dwa razy trafiła na krowę i lwa, raz na jelenia i coś, co z powodu lat i naturalnej degradacji nie było możliwe do odczytania. W końcu dopisało jej szczęście i na jednej kamienicy znalazła aż dwie sowy. Przysiadły po dwóch stronach kutek balkonów, obie na gałęziach dębu, zwrócone do siebie w lustrzanym odbiciu, jakby w odwiecznym poszukiwaniu tej drugiej połówki. Walcia wykonała na murze znak pod każdą z nich. Miała zatem trzy sowy i powoli zaczynała odczuwać głód spowodowany brakiem śniadania. Rozejrzała się za odpowiednim sklepem. W pobliżu pysznił się zielony szyld popularnej sieciówki. Walcia bez namysłu udała się do tej ostoji mniej lub bardziej zdrowej żywności.

Od progu została powitana przez gwizdzącego na nią świstaka, wesołą muzyczkę sączącą się z głośników, a także niesamowicie kuszący zapach kawy i pieczywa. Natychmiast poczuła, jak ślinka napływa jej do ust. Trzeba przyznać, że umieli zwabić klienta. Rudowłosa zapaściła się pomiędzy regały w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby nadać się na śniadanie. Z żalem minęła półki ze słodyczami – doskonale zdawała sobie sprawę, że już od jakiegoś czasu balansuje na granicy swoich możliwości. Zauważyła to, gdy

ulubiona sukienka przestała pasować tak dobrze jak kiedyś. Wtedy Walcia obiecała sobie ograniczyć wszelkiego rodzaju umilacze życia na rzecz bardziej zdrowych posiłków. W końcu wybrała kanapkę z jajkiem i sałatą, po czym zawróciła do kasy. Tam zamówiła jeszcze kawę i zadowolona z siebie wyszła na ulicę. Rozejrzała się. Dzień robił się coraz ładniejszy. Błękitne niebo zasnuwały tylko pojedyncze chmury, więc słońce miało pole do popisu. Wiosna wreszcie przeradzała się w lato, co Walcia zaczęła odczuwać przy podnoszącej się temperaturze. Szukała miejsca, gdzie mogłaby na chwilę przysiąść, ale wąskie chodniki były zastawione samochodami i nigdzie nie zauważyła żadnej ławeczki.

Nagle po drugiej stronie ulicy jej uwagę przykuł jakiś dziwny cień. Przymrużyła powieki, wyężając wzrok. Cień przypominał długie uszy jak u królika. Mignął dosłownie przez ułamek sekundy i zniknął. Po chwili znów się pojawił. Dziewczyna ruszyła zaintrygowana w tamtym kierunku. Cień przerodził się w prawdziwe zwierzę, ale jakoś dziwnie wyglądało. Zdawało się, że jest omotane w poliestrowy materiał. Z tej odległości nie była jednak w stanie powiedzieć jaki. Zaczęła obawiać się, że ktoś wyrzucił królika na ulicę, bo mu się znudził, i biedne zwierzę zaplątało się w śmieci. Jeśli był to worek albo coś podobnego, mógł się udusić.

– Co za ludzie! – fuknęła oburzona.

Znalazła się po drugiej stronie, choć nie było to łatwe – musiała lawirować między zaparkowanymi autami. Tymczasem królik przemknął wzdłuż cokołu kamienicy i czmychnął w półotwartą bramę. Walcia ruszyła bez namysłu za nim, zapominając, że dzierży w dłoniach napoczętą kanapkę i stygnącą kawę.

Brama prowadziła w przyjemnie chłodny i dość mroczny podcień. Posadzka była wyłożona płytkami we wzór karo, które pamiętały pewnie jeszcze czasy budowy i łączyły się płynnie z pięknymi, całkiem dobrze zachowanymi płytkami na ścianach, sięgającymi wysokością oczu. Dziewczyna rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła śladu królika. Za to po drugiej stronie podcienia znajdowała się oaza zieleni i kusila ładną metalową ławeczką, stojącą pod rozłożystą wierzbą. Walcia weszła na podwórko i aż wytrzeszczyła oczy. Słyszała kiedyś, że mieszkańcy sami urządzali tak zwane studnie znajdujące się między budynkami, aby poprawić

swoje otoczenie i jakoś je upiększyć. Niektórzy nawet startowali w konkursach organizowanych przez miasto, ale czegoś takiego się nie spodziewała. Podwórko nie było duże i prawdopodobnie przez większość roku słońce w ogóle tu nie zaglądało, a jednak ktoś postarał się stworzyć w tym miejscu zakątek jak z bajki.

W ogromnych, przypominających wanny donicach stały rośliny o liściach wielkości Walci ręki, a do tego tak wysokie, że spokojnie mogłyby się pod nimi skryć. Przycięte starannie krzewy zdawały się wyrastać wprost z wąskiego chodnika, a ich kolorowe kwiaty zwieszały się nad ścieżką, tworząc baldachim. Ktokolwiek pielęgnował to cudo, włożył w nie niesamowicie dużo pracy. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu królika. Może tu mieszkał? Może ktoś tu hodował króliki i zauważy gdzieś otwartą klatkę? Jeśli z niej uciekł, mogłaby spróbować go złapać i wsadzić bezpiecznie z powrotem. Nic jednak takiego nie dostrzegła. Przysiadła na ławce i odgryzła kawałek kanapki, a potem popiła go kawą. W pobliżu usłyszała szelest. W krzakach wyraźnie coś się czaiło, ale na razie nie widziała nic w gąszczu zieleni. Nie chciała spłoszyć zwierzęcia, dlatego czekała, zjadając powoli kanapkę.

Kilka minut później krzewy szeleściły za nią już stale, to z lewej, to z prawej strony, ale ani razu na tyle blisko, żeby mogła bez odwracania się odnaleźć wzrokiem sprawcę. Wreszcie po dziesięciu minutach powolnego przeżuwania bagietki i czekania udało się. Za wielką wazą z liśćmi przypominającymi do złudzenia rabarbar dostrzegła końcówki długich uszu.

Jest! – pomyślała i prawie podskoczyła z radości. – Tylko jak go teraz zawołać? Kici, kici? To nie kot... Cip, cip? Też nie... Jak się woła na króliki? – zastanawiała się w panice.

– Hej, króliczku – powiedziała w końcu łagodnie. Uszy poruszyły się niespokojnie i zastygły w oczekiwaniu. Walcia, zachęcona tą reakcją, kontynuowała: – No, mały, przyjdiesz do mnie? Dam ci kawałek sałaty.

Zwierzę za doniczką przesunęło się trochę, a uszy zniknęły za wielkimi liśćmi.

– No, nie bój się – uspokajała. Na dowód swoich słów odstawiła kubek z kawą na ławkę i wyciągnęła z resztki kanapki nadwiędły liść sałaty. – Chodź, króliczku.

– Królika chyba na oczy nie widziałaś, kobieto! – rozległ się męski głos.

Walcia poderwała się do góry zaskoczona i rozejrzała się za jego właścicielem. Na podwórku nie było nikogo, więc zaczęła szukać otwartego okna w którejś kamienicy, ale nic nie dostrzegła. Może częściowo dlatego, że rozłożyste konary drzewa wszystko zasłaniały. Wychyliła się ze swego miejsca, by mieć lepszy widok.

– Tu, idiotko! – zawołał głos jakby bardziej z dołu.

Walcia opuściła wzrok. Jej oczom ukazał się największy królik, jakiego w życiu widziała. Przysiadł na skokach. Miał na sobie szary, męski prochowiec, sięgający teraz ziemi, i niewielki kapelutek pomiędzy uszami, przypominający te, które widywała w starych filmach z Humphreym Bogartem. Przysięgłaby też, że królik podparł się pod boki. Dziewczyna patrzyła na niego oniemiała, ściskając mocniej w dłoni liść sałaty.

– Do ciebie mówię – warknęło zwierzę w prochowcu.

– Słucham? – wydukała Walcia.

Resztki zdrowego rozsądku podpowiadały jej, że tak, rozmawia z królikiem w dziwnym wdzianku, ale zapewne jest to efekt porannego klina lub – w ostateczności – nieświeżej sałaty z kanapki. Zerknęła kątem oka na dzierzony w garści zielony liść, jakby to on był sprawcą halucynacji. Liść jednak nie wyglądał, jakby przyznawał się do winy.

– Za lotna to ty nie jesteś – stwierdził z niesmakiem zwierzak, po czym powtórzył: – Chyba królika na oczy nie widziałaś. Ja jestem zajęcem! Antoni Zając, jak już mam tę wątpliwą przyjemność. – Skłonił się lekko i unióśł na tylnych łapkach.

– A-ha.

Walcia rozejrzała się wokół, szukając kogoś normalnego. Najlepiej na dwóch nogach i bez futra oraz długich uszu, za to doskonale bawiącego się podczas wkręcania jej w jakiś dziwny kawał. Nikogo w pobliżu nie było. Jak to możliwe, że zając gada i do tego właśnie się jej przedstawił? Bo się przedstawił, prawda? – pomyślała.

Zwierzak tymczasem przestąpił z nogi na nogę, a jego długa lewa łapa zaczęła wybijać niespokojny rytm o płyty chodnikowe.

– Hej, ty! – zawołał zniecierpliwiony. – Chyba wypada też się przedstawić.

– Ach, przepraszam, panie króli... znaczy zającu. Ja nazywam się Walentyna Pączek... Miło mi? – dodała bez przekonania.

– No dobra, jak już mamy konwenanse za sobą... Co tu robisz, dziewczyno?

Walcia spojrzała na rozbrojoną kanapkę, a potem na liść sałaty.

– Śniadanie jem – odparła zgodnie z prawdą.

– To sam widzę, ale co robisz tutaj?! – Antoni potoczył miękką łapką wokół siebie.

– Też... jem śniadanie. – Skonfundowana Walcia próbowała za wszelką cenę uruchomić procesy myślowe, ale kac i omamy wzrokowe skutecznie ją blokowały. No bo jak inaczej wyjaśnić rozmowę z króli... tfu, zającem, i to w szarym prochowcu? Jak nic zatrucie alkoholem. Co prawda nigdy jej się to nie zdarzyło w przeszłości, a miała okazję wypić więcej niż zeszłego wieczoru, ale może to ta wódka rano? Tylko dlaczego zając? Czy to nie powinny być białe myszki? Jedna, dwie, ewentualnie tuzin, ale białe, małe i takie myszowate? Raz czytała gdzieś, że zwidy mogą objawić się jako różowe słonie, no ale zając?! I to w prochowcu? Gdyby jeszcze taki zwykły, goły... Zaraz, zaraz, czy zając bez prochowca faktycznie byłby „goły”? W końcu ma futro, więc chyba nie...

– Ty zawsze taka powolna jesteś? – spytał Antoni, spoglądając na nią z ukosa wielkim brązowym ślepiem.

– Zwykle nie – odpowiedziała dziewczyna, wyrwana ze swego małego świata dywagacji.

– To może przyspiesz, bo się tu zestarzejemy. To jak?

– No... – zaczęła Walcia, próbując sklecić zdanie. – Ja tu przyszedłam, bo zobaczyłam króli... znaczy ciebie. Więc myślałam, że komuś uciekło zwierzę, i chciałam pomóc.

Łapka skokowa zmieniła lekko rytm wystukiwany głucho o chodnik.

– A wcześniej? – zapytał i pochylił się odrobinę do przodu, jakby z podejrzliwością.

– A wcześniej to chodziłam i szukałam sów.

– Czego, przepraszam?

– No, sów.

– W mieście nie ma sów – odparł trzeźwo Antoni.

– Magicznych sów, takich do rzucenia zaklęcia.

– A więc czarownica! – zakrzyknął zając, jego uszy wyprostowały się gwałtownie i nagle jakby urósł o kilka centymetrów.

– Nie, raczej nie.

– Jak to nie, skoro szukasz magicznych artefaktów?

Antoni przechylił lekko głowę.

– No bo... bo ja jestem tylko człowiekiem...

– Ja też! – wykrzyknął uradowany, rozkładając łapki na boki.

Walcia zamrugła i otworzyła usta. Jak by nie patrzeć, Antoni Zając na człowieka nie wyglądał z żadnej strony, od czubka ruchliwego nosa z wąsami, aż po koniec puchatego ogona wystający z rozcięcia w prochowcu. No może ten prochowiec taki trochę bardziej dla ludzi, ale cała reszta – zupełnie nie.

– Wiesz... ty jesteś... Jak by ci to powiedzieć. Tak nie za bardzo ludzki. Taki raczej... – Walcia nie chciała urazić uczuć wytworu swoich majaków, ale ten zdecydowanie trochę przesadzał z fantazją. – ...zając jesteś.

– Antoni Zając – przytaknął.

– No właśnie, zając Antoni.

– Antoni Zając, czarodziej – odparł zniecierpliwiony.

– Aha... Ale nie człowiek.

– Ty chyba na rozum z grabiami się pozamieniałaś, przyznaj.

– A można jakoś jaśniej? – poprosiła Walcia.

– Że niby jak, po czesku? Czy w staropolszczyźnie jaśnie panienka sobie życzy? – prychnął futrzak.

– Nie no, bo widzisz... Ty wyglądasz jak zając, nie jak człowiek. Dziewczyna zamachała ręką z kanapką w jego stronę. Kawałek jajka upadł na chodnik. Antoni podążył za nim wzrokiem i spojrzał na siebie. Obejrzał swoje skoki, przednie łapy i delikatnie dotknął pyszczka, jakby badał uzębienie.

– A to... – stwierdził, chyba dopiero teraz rozumiejąc konsternację Walci. – To wypadek przy pracy. A właściwie w obronie własnej.

– W obronie własnej zrobiłeś z siebie zająca?

– No... chyba. – Tym razem to Antoni spuścił z tonu, jakby się nad czymś zastanawiał. – Przyznam, że nie bardzo pamiętam...

– A możesz zrobić z siebie znów człowieka? Byłoby wygodniej rozmawiać.

– Tutaj nie dam rady sam. Co innego, gdybym był w swojej pracowni. Ale ty jesteś czarownicą, to możesz mi pomóc!

– Ja nie jestem czarownicą. – Walcia pokręciła głową.

– No jak to? Po co więc szukasz magicznych przedmiotów?

– Bo chcę rzucić zaklęcie, ale tak naprawdę nie jestem czarownicą, nie potrafię cię odmienić. Przykro mi.

Zając westchnął ciężko. Walcia pochyliła się do przodu i kontynuowała:

– Możesz wrócić do swojej pracowni i się odmienić.

– Tak! – ucieszył się Antoni, zaraz jednak spochmurniał. – Nie, nie pamiętam, gdzie jest moja pracownia. W ogóle niewiele pamiętam. Cholerne zwierzę! – Chwycił się łapkami za głowę, aż mu się kapelusik przechylił. – Ma za mały mózg, wszystko mi się kręci i zapominam. A najgorsze – mówił sfrustrowany – że ciągle myślę o kapuście! Ile można! Kapusta, kapusta... – wyliczał na wyimaginowanych palcach prawej łapki. – Kapusta kwaszona, kapusta świeża, kapusta z pieca! Oszaleć można z tym zajęczym menu!

Spojrzał na Walcię z błyskiem szaleństwa w oczach. Dziewczyna przeniosła spojrzenie na swoją dłoń, w której nadal tkwił liść sałaty.

– Chcesz? – zaproponowała, licząc, że to podniesie na duchu sfrustrowanego zwierzaka.

– Lepiej daj kawy – odparł zrezygnowany i dotknął czoła.

Walcia przełożyła liść sałaty do dłoni z kanapką, wytarła resztki masła o dżinsy i podała Antoniemu kubek z wystygłym napojem. Chwycił go w obie łapki i przechylił do góry dnem. Czarny płyn zalał falą otwarty pyszczek i zniknął.

– Uf! – westchnął usatysfakcjonowany. Otarł pyszczek wierzchem łapki i odstawił kubek w doniczkę z rabarbarem, zanim rudowłosa zdążyła zaprotestować. – Wreszcie, nie wyobrażasz sobie, jak długo na to czekałem.

– Proszę bardzo.

– No to teraz omówmy nasze interesy. – Potarł łapki, całkiem już ukontentowany.

– Jakie interesy? – Walcia aż się zachłysnęła.

– Musisz mi pomóc wrócić do mojej pracowni.

– A gdzie ona jest?

- Nie mam pojęcia, musimy ją znaleźć.
- Ale ja mam własne sprawy, też muszę coś znaleźć – odparła jękliwie.
- To nie jest takie ważne jak moja sprawa!
- Mam odrębne zdanie na ten temat – odburknęła i wstała.
- Gdzie się wybierasz? – W głosie Antoniego pobrzmiwała lekka obawa, tymczasem Walcia poprawiła bluzę, przełknęła resztki kanapki i ruszyła w stronę wyjścia, oblizując palce.
- Idę szukać moich sów.
- Ale ty mi musisz pomóc!
- Kto tak twierdzi?
- Ja!
- To twój problem. – Wzruszyła ramionami. Miała dość tej dziwnej wizji. Ukradkiem próbowała się uszczypnąć, żeby się obudzić, ale nie podziałało. Czuła teraz tylko, jak piecze ją skóra. – Ja mam swoje problemy, ty swoje. Do widzenia.
- Nie, czekaj! Czekaj... Kapusta! – Ostatnie słowo zabrzmiało jak czknięcie.

Antoni zatkał sobie pysk łapami. Zaskoczona Walcia odwróciła się w jego stronę.

- Słucham?
 - Przepraszam, to przez ten umysł zająca – wyznał zawstydzony. – Zapomniałem: jak się nazywasz?
 - Walentyna, Walcia... – odparła łagodnie, bo zrobiło jej się odrobinę żal zwierzaka w prochowcu.
 - Walentyno, proszę, pomóż mi wrócić do domu – powiedział, patrząc na nią parą wielkich, brązowych ślepi. Poczwała, jak mięknie jej serce. Potrafił grać na uczuciach, musiała to przyznać po raz drugi.
 - Nawet jeśli zgodziłabym się, to nie wiesz, gdzie to jest.
 - Jeśli przejdę się po mieście, na pewno sobie przypomnę – zapewnił gorliwie.
 - A sam nie możesz?
 - W tym stanie? – Wskazał łapami na swój prochowiec.
- Walcia musiała przyznać, że coś w tym było. Ogromny zając łażący po mieście w biały dzień, ubrany w szary prochowiec i kapelusz, z pewnością wzbudziłby niemałe zainteresowanie. Jeśli

udałoby mu się uniknąć potrącenia przez samochód, to przypuszczalnie trafiłby do azylu dla dzikich zwierząt, a stamtąd pewnie już by się nie uwolnił. Do końca życia objadałby się marchewką i kapustą na wybiegu z królikami. Oczywiście przy założeniu, że nie był wizją wywołaną wypiciem wódki nad ranem. Niemniej odrobinę zrobiło jej się smutno.

– To co proponujesz? – spytała.

– Zabierzesz mnie ze sobą i pomożesz znaleźć moją pracownię, a ja w zamian pomogę ci z zaklęciem, które chcesz rzucić.

Walcia zamyśliła się na chwilę. Oferta była kusząca. Z jednej strony nie musiałaby prosić Nastki, żeby narażała się dla niej. Z drugiej – nie obciążałaby sumienia pozostawieniem Antoniego na pastwę losu w tym, co prawda pięknym, ale jednak obcym miejscu.

– No dobrze – westchnęła zrezygnowana.

– Wspaniale!

Zając klasnął w przednie łapki i podskoczył radośnie, po czym wylądował w objęciach Walci. Z ledwością udało jej się utrzymać jego ciężar. Stęknęła z wysiłkiem.

– Co ty...

– Będę udawał twoje domowe zwierzątko, które wyprowadzasz na spacer – wyjaśnił. – Lepiej tak, niż żebym szedł obok ciebie. To wzbudziłoby niepotrzebne zainteresowanie.

– Trochę ciężki jesteś.

– Nie narzekaj, ruszamy!

15

Walcia wyszła z powrotem na ulicę i rozejrzała się odrobinę bezradnie.

– W którą stronę?

Zając wyciągnął pyszczek w górę i poruszył wąsami.

– Na wschód!

– Jesteś pewien?

– Tak.

Wzruszyła ramionami, poprawiła uchwyt, żeby wygodniej było jej nieść włochatego towarzysza, i ruszyła w stronę wylotu ulicy. Nadal rozglądała się za sowami na elewacjach, ale teraz robiła to trochę mniej uważnie. Bardziej zajmowało ją to, aby nie upuścić zająca, który wiercił się niemiłosiernie, przysparzając jej dodatkowego ciężaru. Z ulgą stanęła na przejściu dla pieszych i czekała na zmianę świateł.

– Przestań się wiercić – warknęła na Antoniego.

– Jaki ładny króliczek! I ma sukienkę!

Walcia odwróciła się zaskoczona i spojrzała w dół. Obok stała czteroletnia dziewczynka. Jedną ręką trzymała mamę, drugą wskazywała na zawartość ramion rudowłosej.

– Tak, kochanie – odparła machinalnie rodzicielka.

– Mogę pogłaskać? – Dziecko pociągnęło matkę w stronę zwierzaka i wyciągnęło rozczapierzone dłonie w górę.

– To zając – odparła Walcia, urzeczona małą ciekawską osobką. Przykucnęła z wysiłkiem, przez co uszaty znalazł się w zasięgu rąk dziewczynki.

– Zając?

– Tak, króliki wyglądają... – pospieszyła z wyjaśnieniami Walcia, po czym urwała. Sama nie wiedziała, co powiedzieć. Przecież przed chwilą też pomyliła go z królikiem i tylko słowa czarodzieja wyprowadziły ją z błędu. – Wyglądają inaczej.

– Zające są większe, mają dłuższe uszy i są szarobure, kochanie – wtrąciła matka dziecka.

Walcia uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Nie wiedziałam, że można tak trzymać zająca w mieście. Nie męczy się? – zainteresowała się kobieta.

– Ten jest mieszcuchem od dziecka – odparła Walcia.

Dziewczynka rozłożoną szeroko dłońią głaskała Antoniego po położonych wzdłuż ciała uszach i zafascynowana obserwowała jego reakcję. Zając tymczasem wytrzeszczył oczy i poruszył niespokojnie wąsami. Światło na przejściu zmieniło się i matka pociągnęła swoją córeczkę przez pasy. Walcia stęknęła, podnosząc się do pionu. Zdała sobie sprawę, że przez hałas samochodów nie słyszała, że Antoni szepcze coś nerwowo. Nastawiła ucha.

– Kapusta z pieca, kapusta z pieca, kapusta z pieca – powtarzał gorączkowo.

– Wszystko w porządku?

Zając potrząsnął głową. Długie uszy wydały dźwięk przypominający strzepywanie prześcieradła.

– To nic – odparł.

Walcia zaczęła podejrzewać, że Antoni wpada w zajęczy trans o kapuście za każdym razem, kiedy się zestresuje, wołała zatem go nie przemęczać i od tej pory starannie unikała ciekawskich spojrzeń dzieci. Przeszli tak dobre dwie przecznice, gdy zaczęła lekko dyszeć ze zmęczenia.

– Poznajesz coś? – spytała przy następnym zakręcie.

– Nie.

– To gdzie teraz?

Zając znów wystawił wąsy i wciągnął gwałtownie powietrze. Dziewczyna już zaczęła się obawiać, że się zapowietrzy albo jak nic dostanie raka od miejskiego smogu, kiedy nagle czarodziej wyrwał się z jej objęć i długimi susami ruszył przed siebie. Zaskoczona Walcia zdążyła tylko jęknąć i puściła się biegiem za uciekającą szansą na zaczarowanie Piotrusia.

– Antoni! Antoni! – wołała, ściągając na siebie spojrzenia zaciekawionych przechodniów.

Zając tymczasem skręcił w bramę i zniknął jej z oczu. Wpadła za nim zdyszana. Brama prowadziła wąskim przejściem na otwartą klatkę schodową i na podwórko.

Walcia minęła schody i w dzikim pędzie wyskoczyła na słoneczne klepisko miejskiej studni. W samą porę, żeby zobaczyć w okienku piwnicznym fikające zajęcze nogi i mały, puchaty ogonek. Antoni jednak nie zniknął w dziurze. Podeszła bliżej. Dopiero wtedy zauważyła, że zaklinował się, zaczepiając szlufką prochowca o wystający pręt starej kraty. Chyba tylko cudem nie nadział się na niego i nie skończył jako szaszłyk.

– Zwariowałaś?!

Zając nie odpowiedział, długie skoki fiknęły jeszcze dwa razy i znieruchomiały.

Walcia pochyliła się nad więźniem i chwytając za tylne łapy, odczepiła płaszcz. Pociągnęła go do siebie zdecydowanym ruchem. Z dziury wyłonił się pysk skryty za dwoma miękkimi łapkami i długie uszy.

– Padło ci na głowę? – spytała spokojniej.

– Chyba tak – przyznał. – W tej piwniczce ktoś składa z tonę kapusty.

– I ty tak za tą kapustą?

– Zdecydowanie za długo jestem w tej postaci.

– To znaczy jak długo?

Zając zastanowił się, odsłaniając pyszczek.

– Nie mam do końca pewności – przyznał po chwili – ale co najmniej tydzień.

– I przez cały czas byłeś na tamym podwórku?

– Nie, z początku... z początku... Obudziłem się w zoo, pod ogrodzeniem chyba... Miałem tam jakieś spotkanie i coś się stało. Wspomnienia z tamtego wieczoru są takie niewyraźne. – Pokręcił głową. – Miałem się z kimś spotkać, ale obudziłem się jako zając i niewiele pamiętałem. Ruszyłem do domu, tylko nie bardzo wiedziałem, gdzie ten dom jest. Mam wrażenie, że wtedy coś się stało, coś niebezpiecznego, inaczej nie przyjąłbym tej formy. Jednak to sprawiło, że zapomniałem wiele rzeczy.

– Pamiętasz, z kim miałeś się spotkać?

Antoni zamyślił się przez chwilę. Widać było, że bardzo zależy mu na tym, by sobie wszystko przypomnieć.

– To chyba był mężczyzna. Czegóż ode mnie chciał, ale nie potrafię powiedzieć, co to było. – Pokręcił ponownie głową, odwrócił

się na łapkach i wstał.

– Jeśli spotykałeś się z kimś w nocy w zoo, to raczej nie chcieliście, żeby ktoś was zobaczył – stwierdziła przytomnie Walcia.

– To prawda. Mam wrażenie, że to było coś niebezpiecznego – przyznał.

– Myślisz, że ten, z kim miałeś się spotkać, wie, co się stało? Szuka cię? Może wcale nie powinieneś wracać do swojej pracowni? – wysunęła przypuszczenie dziewczyna. – Tam może być niebezpiecznie.

– Ale jeśli nie zaryzykuję, nie wrócę do swojej oryginalnej postaci. A czuję... Czuję, że jeśli szybko tego nie zrobię, to zapomnę, jak być człowiekiem – wyznał ze smutkiem.

Walcia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Problem czarodzieja okazał się poważniejszy, niż jej się z początku wydawało. Chciała tylko pomóc zagubionemu zwierzęciu wrócić do domu. Sytuacja jednak okazała się dużo bardziej skomplikowana. Ktoś prawdopodobnie zwabił Antoniego na spotkanie w odludne miejsce, a następnie zaatakował. Czy miał zamiar go zabić? Dziewczyna wzdygnęła się na samą myśl. W życiu nie spotkała jeszcze nikogo, kogo chcieliby zabić. Czy powinna zadzwonić do Nastki? – zastanawiała się. Przyjaciółka mogła wiedzieć, kim jest Antoni i gdzie mieszka. Może byłaby w stanie im pomóc? Tylko... czy nie narazi w ten sposób czarownicy na niebezpieczeństwo?

– Chodźmy stąd – mruknął jej towarzysz. – Od tego zapachu aż mi kiszki marsza grają, chyba oszaleję.

Wstali. Walcia nie czuła żadnej szczególnej woni, ale mogła to spokojnie rzucić na karb różnicy pomiędzy zajęczymi i ludzkimi zmysłami.

Przyjrzała się Antoniemu. Wyglądał na podłamanego. Podejrzewała, że uświadomienie sobie niebezpieczeństwa podziało na niego deprymująco. Chciała go pocieszyć, kłopot w tym, że nie miała najmniejszego pomysłu, co mogłaby powiedzieć. Sytuacja wydawała się bez wyjścia – żadne rozwiązanie nie gwarantowało powodzenia. Ruszyli w stronę ulicy. Nie uszli nawet połowy drogi, gdy jedno z wielu starych i obdrapanych drzwi prowadzących na zewnątrz uchyliły się i wyszła z nich tęga kobieta po pięćdziesiątce. Była ubrana w fartuch, a w rękę trzymała starą

miotłę. Zeszła po dwóch stopniach na chodnik. Dostrzegła ruch, spojrzała na dziwną parę i nagle się zatrzymała. Zmarszczyła brwi, jakby nie za dobrze widziała z tej – stosunkowo niewielkiej – odległości.

– Antoni?! – zawołała, czym zwabiła spojrzenia czarodzieja i Walci. – Szalony Szarak! Co ty tu robisz?

Zając w dwóch susach zbliżył się do kobiety. Stanął słupka i przechylił lekko głowę, jakby ją oceniał. Walcia podążyła za nim.

– Mówili, że zniknąłeś z miasta – kontynuowała nieznajoma.

– Wiesz, kim jestem? Kapusta w piecu.

Kobieta jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

– Co z tobą? Znów oszalałeś?

– Ja?

– Czy pani go zna? Stracił pamięć – wtrąciła Walcia szybko, zanim z krótkiej wymiany zdań wywiązała się większa kłótnia.

– Oczywiście, że go znam. W naszych kręgach jest sławny jak mało kto. Nie na darmo nazywają go Szalonym Szarakiem! Przez te jego szarlatańskie doświadczenia padło mu na głowę. Co parę miesiące słyhać o jego wyczynach.

– A co mówili teraz? – zapytała dziewczyna w nadziei, że dowie się czegoś, co mogłoby im pomóc.

– Co mówili? – Nieznajoma spojrzała na rudowłosą podejrzliwie. – A ty kim jesteś?

– Nazywam się Walentyna Pączek. Pomagam Antoniemu.

– Czarownica?

– Nie – przyznała Walcia. – Człowiek.

– Ja nic nie wiem, wynoście się stąd – warknęła nagle kobieta, stawiając przed sobą miotłę, jakby zamierzała ich nią pogonić.

– A może pani nam najpierw...

– Wynocha, ale już! – syknęła groźnie i tupnęła nogą obutą w plastikowe klapki.

– Przepraszamy za kłopot – rzuciła Walcia na pożegnanie. Zgarnęła zająca w objęcia i skierowała się na ulicę.

Miejski tłum znów otoczył ich swoją wrzawą. Dziewczyna stanęła pod murem, tuląc do siebie drżącego ze złości zwierzaka.

– Zostaw mnie! – Próbował się wyrwać, ale Walcia przytrzymała go mocno, aż przestał się miotać.

- Zostań – mruknęła uspokajająco.
- Nie boisz się pokazywać z szaleńcem? – rzucił do niej.
- Nie wydaje mi się, żebyś był bardziej szalony ode mnie – odparła pogodnie. – W końcu to ja rozmawiam z zającem w prochowcu i kapeluszu.

Antoni zachichotał. Szczerze i łagodnie. Walcia po raz pierwszy słyszała, jak się śmieje, i uznała, że ma bardzo ładny, dźwięczny śmiech.

- Punkt dla ciebie – rzekł, kiedy wreszcie się opanował.
- Gdzie teraz?
- Musimy przemyśleć kolejny ruch. Nie wiem, co się działo, kiedy zniknąłem.
- Ktoś rozpuszczał o tobie plotki – zauważyła.
- Tak, szkoda, że nie wiemy kto.
- Może to ten, który cię zaatakował? – zasugerowała Walcia.
- Możliwe, ale nadal nie wiem, kto to.
- Słuchaj. Jeśli i tak nie możesz sobie przypomnieć, gdzie jest twoja pracownia, to może pójdziemy do zoo? – zaproponowała jedyne, co w tej chwili przyszło jej do głowy.
- Gdzie?!
- Do zoo, tam gdzie cię zaatakowali. Może sobie coś przypomnisz?
- To niegłupi pomysł. Sądzisz, że wpuszczą cię do zoo z zającem?
- Coś wymyślimy. Musimy przywrócić ci pamięć, bo inaczej nie dowiemy się, co ci grozi.

Antoni kiwnął kształtnym łebkiem. Koncept z zoo nawet mu się podobał, choć wątpił, żeby wpuszczali tam ludzi ze zwierzętami bardziej lub mniej udomowionymi. Tym mniej wierzył w to, że wpuszczą tam dziewczynę z zającem przebranym w prochowiec. Jednak nie mieli innych opcji. Trudno było mu się przyznać do tego, że jego pamięć szwankowała coraz bardziej. Zapominał powoli słowa. Coraz częściej do głosu dochodził zajęczy instynkt wraz z potrzebą szukania pożywienia oraz schronienia – jak przed chwilą. Kiedy wywęszył świeżą kapustę, jego rozum zasnuła mgła. Wyłowił jej aromat spośród setek innych otaczających go woni, które wciąż drażniły zmysły. Poczował wtedy, że musi się tam dostać za wszelką

cenę. Jego nogi same wyrwały się do przodu. Nie słyszał nic wokół, tylko ta jedna myśl zaprzętała mu umysł. Gdyby nie to, że zaplątał się w kraty zasłaniające okienko piwniczne, pewnie teraz leżałby do góry brzuchem na stercie kapusty, objedzony do granic możliwości, i nic by go nie obchodziło. Przyjemne, ciemne, bezpieczne miejsce z mnóstwem jedzenia. Jak długo będzie jeszcze w stanie opierać się takiemu instynktownemu zachowaniu? To stawało się silniejsze od niego. Gdyby Walcia nie znalazła go na podwórku, prawdopodobnie niedługo zaczęłyby się zachowywać zupełnie jak prawdziwy zając i zapomniałby ludzkiej mowy.

Nigdy nie spodziewał się, że to może się tak skończyć. Uwielbiał eksperymentować z magią. Był jedynym w Poznaniu czarodziejem, który nie będąc człekokształtnym – jak wilkołaki czy kotołaki – potrafił przybrać postać zwierzęcia, i to za pomocą zaklęcia! Najlepiej wychodził mu właśnie zając, choć przy odpowiednich przygotowaniach mógł stać się gołębiem lub kotem. Często zdarzało mu się zmieniać postać dla zabawy, nigdy jednak nie pozostawał w niej tak długo. Może dlatego nie zdawał sobie do tej pory sprawy, jak niebezpieczny jest ten proceder. Magia zmieniała nie tylko ciało, ale też umysł. Wpływała na zachowanie, na sposób myślenia. Im mniejszy mózg miało zwierzę, w które się zmieniał, tym trudniej było się od tego wyzwolić. Teraz powoli osiągał swój limit, dlatego bał się, że zostanie w tej postaci i już nigdy nie będzie w stanie myśleć jak człowiek, a przecież kochał być człowiekiem. Lubił rozmawiać z innymi, poznawać ich i słuchać. To prawda, że uważali go za szaleńca, bo często porywał się na zadania, jakich oni nie ważyliby się wykonać, ale mimo wszystko kochał to. I bardzo, ale to bardzo, chciał wrócić do swojej postaci.

16

Walcia spacerowała ulicami miasta, rozglądając się niespiesznie. Zając dość mocno ciążył jej w ramionach i powoli zaczynały boleć ją ręce, ale nie poddawała się. Miała jeszcze spory kawałek do przejścia, aby dotrzeć do starego zoo zbudowanego w centrum Poznania i otwartego w 1874 roku. Jednego z najstarszych w Europie. Pamiętała, że czytała o nim kiedyś, ale jakoś nigdy nie miała okazji go zwiedzić. A podobno znajdowały się tam nie tylko klatki i woliery ze zwierzętami, lecz także najprawdziwsza grotka skalna, w której można było kiedyś pływać łódką. Ciekawiło ją, czy ta atrakcja jest nadal czynna. Z chęcią by z niej skorzystała, choć w towarzystwie zająca było to raczej niemożliwe. Może kiedyś uda jej się przyjść tam z Piotrusiem?

Serce dziewczyny zabiło mocniej. Piotruś. Przez tę całą sprawę Antoniego zupełnie o nim zapomniała. Czy był teraz z Fladrą w jakiejś restauracji na lunchu? Czy znów zabrał ją do parku? I dlaczego nie chciał powiedzieć, o co chodzi? Westchnęła ciężko.

Wejście do zoo wyglądało jak peerelowska wersja bramy fabrycznej. Proste filary, na których wznosił się dach, oraz duży napis nad głowami gości. Z daleka wyglądało, jakby były trzy wejścia, ale tylko jeden podcień był otwarty. Walcia zatrzymała się w pobliżu, zastanawiając się, co dalej zrobić. Antoni miał rację, nie mogła wejść do zoo z żywym zającem w objęciach. O tym mówiła chociażby wywieszona tablica z licznymi znakami zakazów panujących na terenie obiektu.

– Co teraz? – spytał czarodziej. – Masz jakiś pomysł?

Walcia rozejrzała się wokół. Przy wejściu widziała wycieczkę dzieciaków przedszkolnych. Ruch nie był duży, więc nie miała co liczyć na zniknięcie w tłumie. Kawałek dalej, przy ostatnim podcieniu, sześćioletni chłopiec urządzał własną interpretację egzorcyzmów z udziałem siebie i rodziców, rzucając się w szale przed witryną sklepu z pamiątkami. Matka chłopca – bliska płaczu – próbowała postawić malca na nogi i uciszyć. Ojciec obrał technikę zgoła

odmienną. Stał obok, wpatrując się w ogłoszenie zawieszony na murze sklepu, i udawał, że to nie jest jego rodzina. Niech mu kupią jakąś maskotkę czy figurkę – pomyślała Walcia i wtedy ją olśniło.

– Mam pomysł!

Odstawiła zajaca na ziemię i zaczęła przeszukiwać kieszenie. Z jednej z nich wyciągnęła niewielkie zawiniątko. Z triumfem pokazała je nic nierozumiejącemu towarzyszowi. Westchnęła teatralnie i rozwinęła kawałek tkaniny. W zamkniętym woreczku skrywała się sporych rozmiarów torba zakupowa w kolorowe kwiatuszki.

– Wytłumaczysz mi jaśniej? – poprosił odrobinę zniecierpliwiony Antoni.

– Nie pozwolą nam wejść. W sensie mnie i tobie, żywemu zającowi, ale dlaczego nie miałyby wejść na teren zoo dziewczyna z pamiątkowym pluszakiem w kształcie zająca?

– To ja mam być tym pluszakiem?! – Czarodziej praktycznie wypluł ostatnie słowo śmiertelnie oburzony.

– Oj, tylko na chwilę. Będziesz siedział w torbie i się nie ruszał, może nawet nie zauważą. A jak ktoś sprawdzi, to wystarczy, że będziesz sztywny.

– Że jaki, przepraszam?

– No wiesz, wypchany jak pluszak. Spójrz! – Wskazała w stronę sklepika z pamiątkami, gdzie inscenizacja dramatyczna wchodziła właśnie w kulminacyjną fazę. – Powiem, że cię tam kupiłam.

Zając poruszył niespokojnie wąsami, ale nie kontrargumentował. Nie miał lepszego pomysłu. Nie wyobrażał sobie szukania dziury w płocie, żeby się przedostać do środka.

– Mogę też wziąć cię za uszy i przerzucić przez płot, tylko nie wiem, czy później nie będziesz musiał wychodzić w ten sam sposób – zaproponowała Walcia.

– Nie, to już niech będzie ta rola maskotki – westchnął ciężko, mając przed oczami upokarzającą wizję przerzucania go przez wysokie ogrodzenie zoo.

Dziewczyna podstawiła nisko torbę i Antoni natychmiast do niej wskoczył, położył się na dnie i znieruchomiał. Gdy jednak Walcia uniosła torbę i zarzuciła sobie na ramię, zając zaczął się kręcić.

– Nie wierć się – skarciła go, próbując utrzymać ciężar.

– Niewygodnie mi – jęknął.
– Wytrzymaj, to tylko chwila.
– Sama sobie wytrzymaj!
– Nie narzekaj, chyba że chcesz się zamienić – ostrzegła ostrym tonem.

Zwierzak prychnął z pogardą i wystawił głowę z torby.

– Uf! – odetchnął.
– Czy możesz przez chwilę udawać sztywnego?
– Jak tak mówisz, to zastanawiam się, co tak naprawdę masz na myśli.

Walcia ruszyła w stronę kas.

– Przygotuj się – szepnęła do zająca.

Stała za dwudziestką małych ludzi i ich czterema rozbieganymi opiekunkami tarasującymi wejście. Dzieciaki – ubrane w równe, żółte kaftaniki z odblaskami – wyglądały jak miniaturowa ekipa robót drogowych. Jedna z opiekunek próbowała dogadać się z kobietą pilnującą wejścia i jednocześnie nie zwariować od natłoku pytań, jakie rzucali w jej stronę podopieczni. Walcia słuchała ich z zaciekawieniem, ciesząc się, że nie musi być częścią tego chaosu.

– A będzie słoń? – pytało dziecko.

– Tak, będzie słoń. Dzień dobry – odparła opiekunka, zwracając się najpierw do malca, a potem do kobiety w kurtce z logo zoo i sporym napisem „przewodnik”.

– Dzień dobry. Tu nie ma słońi – odezwała się znudzonym głosem.

– Nie ma słońi? – głos malucha zadrgał na skraju płaczu.

– Jak to nie ma słońi? – zdziwiła się przedszkolanka.

– Jest słońiarnia...

– No właśnie! – podchwyciła natychmiast – więc...

– Nie ma słońi – dokończyła cierpliwie pracownica zoo. – Słońie przenieśliśmy do nowego zoo. To ile osób?

– A będą małpy? Ja lubię małpy! – krzyczała dziewczynka, której dwie małe kitki przypominały Walci Pipi Langstrump.

– Będą małpy, dwadzieścia osób...

– A pająki będą? – zawołał chłopiec w czapce ze Spidermanem.

– A mają jaszczurki? Proszę pani, mają jaszczurki? Takie zielone jaszczurki? – zawołał rudzielec.

Kobieta w uniformie spokojnie spoglądała na trzymaną w dłoni kartkę, sprawdzając coś.

– Dzieci? – upewniła się spokojnie.

– Oczywiście, że to są dzieci.

– Bo ja mam tu napisane, że dzieci ma być piętnaście – wyjaśniła pani przy wejściu.

– Ach, to my mamy...

– Jaszczurki będą? – domagało się uwagi rude dziecko.

– Będą – odparła opiekunka, licząc szybko kolorowe głowy. – Dwójka jest chora...

– A pająki, proszę pani? Pani nie powiedziała: czy będą pająki? – Chłopiec w czapce nie dawał za wygraną, próbując znaleźć się w polu widzenia opiekunki.

– Pająki będą...

– Nie ma pajaków – wtrąciła się przewodniczka.

– A jednorożce? – odezwała się dziewczynka w złotych tenisówkach i największej liczbie kolorowych gumek do włosów, jaką Walcia miała okazję oglądać na jednej głowie.

– Czyli osiemnaście – policzyła pracownica zoo, unosząc lekko brwi i dopisując coś na kartce.

– Tak.

– Słyszeliście? – wydarła się dziewczynka. – Mają jednorożce!

– Nie! – zawołała opiekunka.

– Nie osiemnaście? – Zatrzymała się z długopisem nad notatkami.

– Nie, tak...

– A żaby? – padło z tłumu.

– To ile ich w końcu?

– Może sama pani je policzy? – jęknęła zdesperowana opiekunka.

– Ja tylko sprawdzam poprawność danych i oprowadzam wycieczki – zaperzyła się przewodniczka. – To pani dzieci.

– A gdzie, w życiu! – Kobieta podniosła dłonie w obronnym geście. – Ja po tej pracy to w ogóle zastanawiam się, czy mieć dzieci.

– Ja nie w tym sensie...

– Ach... tak, przepraszam.

– To jak będzie?

– Będą jednorożce czy nie? Niech pani nie oszukuje – dociekały dzieciaki, ciągnąc płaszczy opiekunki na wszystkie strony.

Kobieta odetchnęła głęboko, by zebrać resztki zdrowego rozsądku, po czym sięgnęła do najgłębszych pokładów spokoju, tych bez mała z okresu paleolitu, i spięła się maksymalnie.

– Osiemnaście dzieciaków, cztery opiekunki, jednorożców nie ma! – wybuchła.

Pracownica zoo bez pośpiechu odnotowała wszystkie dane, dzieciaki nadal dociekały składu zwierzęcego placówki, a pozostałe opiekunki strzelały spojrzeniami na boki, bacząc, czy któryś podopieczny nie oddał się zaudało od ruchliwej zgrai.

Walcia podeszła bliżej, kątem oka sprawdzając zawartość torby. Antoni wzorowo znieruchomiał w pozie z założenia typowej dla wypchanego pamiątkowego futrzaka. Jego szary prochowiec i niewielki kapelusz tylko dodawały mu uroku pluszowej zabawki.

– Dzień dobry! – przywitała się uprzejmie, przechodząc obok wycieczki, gdy ta zrobiła trochę miejsca.

– Patrzcie, patrzcie, królik! – zawołało jedno z dzieci, wskazując na Antoniego pulchnym paluszkiem.

– Jaki fajny! – podniosły się głosy. Niski tłumek poruszył się niczym fala przyływu, zmierzając w kierunku Walci. – Mogę dotknąć? Mogę pogłaskać?

– Tylko nie daj im mnie głaskać – usłyszała cichy szept przy uchu. Zajac nie drgnął, ale o ile to było w ogóle możliwe, zeszywniał jeszcze bardziej.

– Co pani tam ma? – zainteresowała się przewodniczka. – Do zoo nie można wprowadzać zwierząt.

– To pamiątka ze sklepiku obok – wyjaśniła szybko, odwracając torbę w kierunku kobiety, byle jak najdalej od spojrzeń głodnych nowości dzieci, których cztery opiekunki nie były w stanie opanować. – Widzi pani, wypchany.

Walcia szturchnęła zajacę w głowę.

– Aha, no to można – odparła tamta z lekką konsternacją, bo choć usilnie próbowała, to nie była w stanie przypomnieć sobie, aby w sklepiku z chińską tandetą dla turystów sprzedawano tak oryginalne zabawki. – Proszę wchodzić.

– Dziękuję, miłego dnia!

Dziewczyna natychmiast umknęła w stronę najbliższej alejki, unosząc ze sobą torbę z zającem w płaszczu, czemu towarzyszyły głośnie okrzyki rozpaczki przedszkolaków.

Gdy już oddaliła się na bezpieczną odległość, zwolniła kroku. Rozejrzała się wokół zaciekawiona. W końcu nigdy nie zwiedzała miejskiego zoo. Ścieżki ujęte w szpaler wysokich drzew tonęły w cieniu i tworzyły przyjemną atmosferę. Pomiedzy roślinami z daleka dostrzegła kolejne klatki i budynki dla zwierząt.

– Przypominasz sobie coś? – spytała po chwili.

Antoni rozglądał się czujnie, choć zgodnie ze swoją anatomią nie musiał nawet okręcać głowy, żeby mieć bardzo szerokie pole widzenia.

– Nie mam pewności. Podejdźmy tam. – Machnął łapką w stronę zabudowań.

Walcia skręciła w alejkę i ruszyła we wskazanym kierunku.

– Często się tu spotykasz z ludźmi? – spytała, mając nadzieję, że swobodna rozmowa w okolicy interesującego ich zdarzenia pomoże Antoniemu uruchomić zamknięte pokłady pamięci.

– Raczej tak. Lubię to miejsce. Kiedyś była tu zajezdnia tramwajowa, potem kupił ją klub kręglarski i przerobił na zoo.

– Dziwny pomysł. Nie lepiej było zrobić w zajezdni kręgielnię?

– Kręgielnię już mieli... – W głosie czarodzieja wyczuwalna była nutka rozbawienia. – ...ale potrzebowali miejsca, gdzie mogliby trzymać zwierzęta. Klub wymyślił pewnego razu, że na urodziny swojego prezesa każdy członek da mu zwierzę, które spotka tego dnia na ulicach Poznania. I tak przyprowadzili gęsi, kury, kuce, a nawet niedźwiedzia kupionego od cyrkowców, w sumie koło setki zwierząt. Musieli gdzieś je trzymać. Postanowili założyć ogród zoologiczny z wejściówkami dla mieszkańców miasta. Kupili zajezdnię i kawałek terenu. O, tam była zajezdnia. – Wskazał w kierunku szachulcowego budynku stojącego nieopodal. – Całkiem przyjemne miejsce tu wtedy było. Nie tak jak teraz, w środku miasta.

– Mówisz, jakbyś widział to na własne oczy – zaśmiała się Walcia.

Zając nie odpowiedział. Odwrócił pyszczek w stronę budynku i pociągnął nosem. Jego długie wąsy zadrżały.

– Postaw mnie tu – zażądał.

Dziewczyna spełniła życzenie, rozglądając się najpierw, czy w pobliżu nie ma niepożądanych świadków.

Antoni podszedł do wybiegu, na którym stał słoń, i oparł przednie łapy na niewysokiej balustradzie. Jego nos wciąż się poruszał, jakby czegoś szukał. Przez chwilę się rozglądał. Wszystkie wspomnienia sprzed kilku dni powoli do niego wracały.

17

Piotruś ocknął się i otworzył oczy. Przez chwilę próbował przypomnieć sobie, gdzie jest i co się stało, ale pamięć najwyraźniej płatała mu figle. Ściany, które go otaczały, nie przypominały żadnego znanego mu miejsca. Nietynkowane, stare cegły wyglądały na murowane przez niezbyt wprawne dłonie, bo resztki zaprawy pozasychały i wystawały ponad murem. Ktoś pomalował całość kredową farbą na kolor, który pewnie kiedyś był biały, a teraz nosił ślady wielu sezonów i spotkań z młodymi mieszkańcami. Żółte zacieki, szare okopcenia – było tu wszystko.

Piotruś rozejrzył się. Pod ścianą stał stary drewniany stół roboczy, do którego przytwierdzono imadło, pozostałą przestrzeń po bokach zajmowały zbite z desek półki oraz sterty zamokłych i nadgryzionych czasem kartonów. Na jednej z takich kartonowych wież siedział wielki, czarny kocur, do złudzenia przypominający tego, który przebiegł mu drogę, zanim Piotruś zobaczył ciemność. Zwierzę zielonymi ślepiami wpatrywało się intensywnie w młodego mężczyznę. Końcówka zwisającego ogona poruszała się miarowo.

Chłopak wstał z podłogi. Poczuł, że ma ściernięte plecy i zeszywniały kark. Poruszył głową, żeby choć trochę rozluźnić mięśnie. Zastanawiał się, jak dostał się do tej szopy i jak ma z niej wyjść. Nad stołem znajdowało się niskie, ale szerokie okno o starych drewnianych ramach. Za brudnymi szybami dostrzegł kratę, a więc ta droga była odcięta. Rozglądał się dalej. Na stole dostrzegł równo rozłożone śrubokręty, dłuta i młotki, wszystkie wiekowe, ale zadbane, jak na warsztat starego rzemieślnika przystało. Piotrusiowi jednak przyszła na myśl scena z thrillera, który kiedyś oglądał. Nieznany mężczyzna porywał ludzi, torturował, łamiąc im kości i wyrywając paznokcie, po czym zabijał i zakopywał we własnym ogródku. Ciarki przeszły mu po plecach. Pomyślał, że musi stąd uciec jak najszybciej.

– Miaaaau! – rozdarł się kot siedzący na kartonach.

Piotruś odwrócił się w jego stronę. Zwierzę prychnęło i zeskoczyło na ziemię. Na kartonach została komórka. Chłopak natychmiast rozpoznał swój telefon. Dopadł do niego i odblokował, chcąc zadzwonić po ratunek. Na wyświetlaczu widniała informacja „brak zasięgu”. Wpatrywał się w nią oniemiały. Jak w mieście może nie być zasięgu?! Czy w dzisiejszych czasach istnieją jeszcze takie dziury, gdzie nie ma możliwości złapania zasięgu? I gdzie właściwie jestem?! – myślał gorączkowo.

Kot znów się odezwał.

– Pomógłbyś mi się stąd uwolnić – mruknął do zwierzaka – zamiast tylko miauczeć.

Kocur spojrzał na niego pogardliwie. Zadarł ogon do góry i ruszył pomiędzy kartony. Zniknął za półkami zarzuconymi plandekami, workami i innymi rzeczami. Piotruś poszedł za nim. Zajrzał za szafkę. Było tam wąskie przejście prowadzące do starych płytowych drzwi z okienkiem przyozdobionym firanką. Wsunął się w niewielką przestrzeń prowizorycznego korytarza i dotarł do miejsca, gdzie zatrzymał się kot. Z bijącym sercem nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bez najmniejszego oporu. Wyrzwał na zewnątrz.

Znajdował się w jakimś odludnym miejscu. Wokół widać było tylko nieuporządkowane krzewy i wysokie trawy, które ostatni raz musiały zetknąć się z kosą dobrych parę lat temu. Przy samych drzwiach ziemia była udeptana, prawie bez roślinności, a w trawie ktoś zrobił ścieżkę prowadzącą za narożnik zabudowy. Piotruś wstrzymał oddech i wyszedł na zewnątrz. Kot uczynił to samo, po czym w dwóch susach zniknął w zaroślach. Chłopak skradał się wzdłuż budynku, starając się robić jak najmniej hałasu, na wypadek gdyby ten, który go tu przyprowadził, był gdzieś w pobliżu i zamierzał go zatrzymać.

Nic. Żywego ducha. Za narożnikiem ścieżka oddalała się od zabudowy i ciągnęła między jabłoniemi. Zaniedbane drzewa zwieszały się nisko, zasłaniając widok. Piotruś spojrzał jeszcze raz na wyświetlacz komórki, ale ta nie miała kontaktu z siecią. Westchnął i ruszył ledwie widocznym traktem.

Rozglądał się uważnie, chyba po prostu dopisywało mu szczęście. Był sam. Dotarł do rozpadającego się ogrodzenia ze stalowej siatki – tak zardzewiałej, że od samego patrzenia na nią można było

nabawić się tężca. W płocie ktoś dawno temu zrobił potężną dziurę. Kawał ogrodzenia wywijał się do środka i zwisał smętnie. Piotruś stąpał ostrożnie, bo obawiał się, że w wysokiej trawie mogły się kryć kawałki drutu. W końcu stanął na ubitej drodze. Przed sobą miał – jak okiem sięgnąć – pole zielonej jeszcze pszenicy, a dalej pas drzew. Droga nikła zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, nie dając żadnego punktu odniesienia.

Nagle komórka w kieszeni chłopaka ożywiła się masą przychodzących wiadomości. Wyciągnął ją zaskoczony. Na wyświetlaczu pojawiły się cztery kreski, a panel wypełniły kolejne informacje. Jakby nagle znów odzyskał połączenie ze światem i ten świat postanowił poinformować go o wszystkim, co ominęło chłopaka, poczynawszy od promocji na jajka, po wiadomości o korkach w mieście. Był też esemes od Milenki. Otworzył go w pierwszej kolejności.

Załatwiłam. Wyjazd aktualny, możesz się pakować. PS dlaczego nie było cię na uczelni? Byłam i pocałowałam klamkę :)

Spojrzał na godzinę wyświetlaną na ekranie komórki. Niedawno wybiła trzynasta, a więc odkąd wyszedł z domu, minęło prawie pięć godzin. Nie musiał się zatem spieszyć na uczelnię. Jego zajęcia dawno już się skończyły. Miał tylko nadzieję, że nie czekały go zbyt duże kłopoty z powodu nieobecności, ponieważ to on był ich prowadzącym.

Piotruś otworzył aplikację z mapami i sprawdził swoje położenie. Od najbliższej miejscowości dzieliły go jakieś dwa kilometry. Znajdował się stosunkowo niedaleko Poznania, ale większego odludzia w życiu nie widział. Szybko przeanalizował możliwości komunikacyjne i wyszło mu, że do domu wróci wieczorem, o ile wyruszy już teraz i w większości będzie się przemieszczał pieszo. Połączeń w okolicy było jak na lekarstwo. A podobno rząd chwalił się, że skomunikuje wszystkie wsie w kraju – i co z tego wyszło? Na temat tej najbliższej linii autobusowej, jaką znalazł, też nie wyświetlała się żadna informacja. Odetchnął głęboko, określił kierunek i schował komórkę, po czym ruszył przed siebie poboczem.

Po kilkudziesięciu minutach wyszedł na starą asfaltową szosę. Nie spodziewał się, jak wielką radość sprawi mu widok utwardzonej

drogi. Jakby nagle trafił do cywilizowanego świata, nawet jeśli samej cywilizacji nadal nie dostrzegł.

Znów określił za pomocą komórki, dokąd ma iść, i ruszył żwawym marszem. Przez jakiś czas nikogo nie widział. W końcu usłyszał za sobą warkot silnika. Odwrócił się. Zbliżał się do niego czarny jak smoła samochód osobowy. Piotruś na wszelki wypadek zszedł z asfaltu głębiej na pobocze, ale pojazd zwolnił i siłą rozpędu wyrównał z nim. Okno od strony kierowcy uchyliło się z elektrycznym szumem.

– Dzień dobry. Podwieźć pana gdzieś?

Chłopak spojrzął na mężczyznę za kierownicą. Był postawny, twarz miał pokrytą kilkudniowym zarostem i lekko okrągłą, za to włosów na głowie nie miał prawie wcale. Oczy skrywał za wielkimi, czarnymi okularami, choć słońca w ogóle nie było. Jednym słowem, facet nie wzbudził zaufania w Piotrusiu, którego przepętniały jeszcze emocje po dziwnych przeżyciach.

– Dzień dobry. Nie chciałbym robić kłopotu – odparł niepewnie.

– To nic, tu i tak nie jeździ nawet traktor. Będzie pan drałował do samego miasta – powiedział tamten z uśmiechem.

Piotruś zacisnął zęby. Do rogatek – wedle internetowych map – miał ze dwanaście kilometrów. W tym tempie dotrze tam wieczorem. Nie mógł się jednak zdecydować. Nie wiedział, kto wywiózł go do szopy w sadzie. Równie dobrze mógł to być właśnie ten mężczyzna, który teraz proponował mu podwiezienie.

– To jak, reflektuje pan? – ponaglił łagodnie kierowca.

– Chętnie – zdecydował Piotruś. Oprawca czy nie, krzywdy specjalnej do tej pory nie doznał, to może dopisze mu szczęście, a jeśli nie skorzysta z okazji, jeszcze długo może iść.

Wsiadł do czarnego samochodu i zapiął pasy. Kierowca ruszył ostro. Piotruś poczuł, jak dwustukonny silnik wciska go w kubelkowe siedzenie, i natychmiast pożałował wyboru.

– Pan z Poznania?

– Tak – odparł chłopak, czując, jak serce podchodzi mu do gardła ze strachu.

– Zgubił się pan?

– Ja... na grzybach byłem – wypalił szybko.

Mężczyzna zerknął na niego kątem oka.

– Bez koszyka? W mokasynach? To teraz takie zwyczaje mają miastowi?

– Tak jakoś... wyszło – wydał usta.

– Niech się pan mnie nie boi – zaśmiał się kierowca, po czym dodał konfidencjonalnym szeptem: – Ja morduję tylko we wtorki.

Piotruś poczuł, jak ze zdenerwowania kręci mu się w głowie. To było już za dużo wrażeń jak na niego. Chciał z krzykiem otworzyć drzwi i wyskoczyć z pędzącego auta, kiedy uświadomił sobie, że zamki są zamknięte. Samochód mknął przed siebie wiejską szosą i brał zakręty na maksymalnej prędkości.

– Czy mógłby pan trochę zwolnić? Proszę – jęknął Piotruś, czując, jak zaczyna go mdlić.

– Co pan, przecież to jest ślimacze tempo – zawołał mężczyzna, patrząc na pasażera z uniesionymi w zdumieniu brwiami. – Ja tę drogę znam jak własną kieszeń! Nic się panu ze mną nie stanie!

Piotruś miał odrobinę odmienne zdanie, ale nie zdążył zgłosić sprzeciwu, kiedy z zagajnika przy jezdni wyskoczyła ruda sarna i wparowała tuż przed nadjeżdżające auto. Chłopak zakrył ramionami twarz, żeby nie widzieć potrącanego zwierzęcia. Ciemność znów przysłoniła mu oczy.

– O cholera! – usłyszał kierowcę.

18

Wieczór był przyjemnie chłodny. Antoni wszedł na teren zoo bocznym wejściem dla pracowników. Kiedyś kolega dorobił mu do niego klucz. Dzięki małej uprzejmości przyjaciela mógł korzystać z tej przystani zieleni jak z własnego, prywatnego ogrodu. Zwłaszcza wieczorami, tak jak teraz. Potrafił unikać kamer zawieszonych w alejkach i przy klatkach. Wiedział, gdzie są. Czasem też spotykał się tu z klientami, czuł się bezpiecznie. Dziś też tak było. Umówił się z kimś, kogo nigdy wcześniej nie widział, i przez to był lekko podenerwowany. Towarzyszył mu wewnętrzny niepokój. Rozejrzał się. Zmierzch otaczał kolejne budynki zoo. Najpierw te przy alpinarium i głównym wejściu, później te dalej położone, w alejkach z wysokimi drzewami.

Staął pod słoniarnią i rozejrzał się. Przy ogrodzeniu postawiono plakietkę z opisem mieszkających tu kucy, ale na wybiegu nie było zwierząt. Zapewne spały w pomieszczeniach na tyłach. Z daleka słychać było ostatnie ptasie trele w wolierze położonej niedaleko i szum aut na ulicy. Nic dziwnego, w końcu znajdował się w centrum miasta.

Z kieszeni prochowca wyciągnął paczkę zapalek. Wysunął jedną i zaczął się nią bawić, obracając w palcach. Trochę go to uspokajało. Tylko dlaczego denerwował się aż tak bardzo?

Szelest na ścieżce przyciągnął jego uwagę. Odwrócił się. Alejką całkiem niespiesznie szedł krępy mężczyzna w czarnej kurtce. Twarz była schowana w cieniu kaptura, co uniemożliwiało jego rozpoznanie, tym bardziej że przybysz pochylił nisko głowę.

Antoni zadrżał. Nie był pewien, czy winą obarczać emocje, czy może zimny podmuch wiatru. Tak czy inaczej, miał się niedługo dowiedzieć prawdy od zbliżającego się mężczyzny.

– Trudne miejsce znalazłeś – przywitał się nieznajomy, gdy wreszcie podszedł na tyle, by czarodziej mógł usłyszeć jego spokojny głos.

– Doskonale sobie poradziłeś z trafieniem tutaj – odparł Antoni. – Nie chciałeś mi powiedzieć wcześniej, o co ci chodzi. Może teraz się dowiem?

– Od jakiegoś czasu wsadzasz nos w nie swoje sprawy, chcę, żebyś przestał.

– Masz na myśli badania nad zanikiem mocy u czarownic?

– Dokładnie.

– Dlaczego cię to interesuje? Przecież ciebie ta sprawa nie dotyczy. – Antoni zmarszczył brwi. Próbował zrozumieć cel rozmówcy, zanim ten poczęstuje go tanią historyjką.

– To nie jest na rękę niektórym członkom Rodziny – odparł wymijająco mężczyzna.

– Nie wierzę ci. Rodzina nigdy nie była przeciwna bezpieczeństwu swoich członków, a o to chodzi w moich badaniach!

Nieznajomy powoli pokręcił głową. W cieniu kaptura Antoni dostrzegł bardzo nieprzyjemny uśmieszek.

– Skończysz z tą zabawą po dobroci albo będziemy zmuszeni ci w tym pomóc.

Ostatnie słowa zapaliły w głowie czarodzieja czerwoną lampkę. Jeśli mówił „my”, to z pewnością nie był sam i nie zamierzał dalej grzecznie rozmawiać. Zając podniósł gwałtownie głowę i chciał się odwrócić, ale nie zdążył. Poczł silne uderzenie między łopatkami, które wycisnęło mu z płuc resztki powietrza. Padł na kolana ogłuszony.

– A trzeba było współpracować. Myślałem, że jesteś mądrzejszy. – Mężczyzna w kapturze nachylił się nad ofiarą. – Sądziłem, że twoje przezwisko Szalony Szarak to tylko tak na pokaz. Przykro mi.

Antoni nie zamierzał dać mu satysfakcji. Zebrał w sobie odrobinę magii i uformował zaklęcie. Cisnął nim prosto między oczy zakapturzonej postaci. Mężczyzna zawył oślepiiony i poraniony. Zając nie czekał na ciąg dalszy, skulił się i przetoczył po chodniku w bok, po czym zerwał się na nogi i pognął przed siebie.

– Brać go! – usłyszał rozkaz niedawnego rozmówcy.

Jego zaklęcie było zbyt słabe, by wyrządziło większe szkody, i mężczyzna szybko odzyskał wzrok, a po ataku pozostały tylko krwawe szramy na twarzy.

Czarodziej dopadł narożnika budynku i skrył się za nim dokładnie w momencie, kiedy jego uszu dobiegł ostry świst. Strzelali do niego. Najprawdziwszymi kulami. Nie żadnymi zaklęciami, które można by znieść obronną formułką. Strzelali z pistoletu, jak zwykła mafia. Serce Zająca zaczęło walić jak oszałałe. Biegł wzdłuż zaokrąglonej ściany budynku, modląc się do wszystkich znanych sobie sił przyrody, aby zdążyć dopaść następnego narożnika, zanim tamci dopadną jego. Na prostej drodze był zbyt odkryty. Musiał zatem zrobić coś, aby zniknąć im z oczu. Tylko gdzie?

– Stój!

Kolejny strzał przeleciał nad uchem Antoniego. Powietrze rozgrzało się, podrażniając jego skórę, ale nie został trafiony. Rzucił się w bok, nie w alejkę, tylko pomiędzy rzadkie krzewy.

– I tak cię dopadnę! – krzyczał za nim zakapturzony mężczyzna. – Brać go, szybciej!

Przestrzeń wokół zaszeleściła gwałtownie, ktoś się zbliżał, i to z kilku stron. Wysoki czarodziej był doskonale widoczny wśród dopiero zieleniących się niskich roślin.

– Myśl, myśl, jeśli nie chcesz zginąć! – mówił do siebie Antoni. Nie było wokół niego nic, co mogłoby mu pomóc. W końcu wydostał się z zarośli na alejkę prowadzącą do budynku małych ssaków. Tu było więcej światła. Jego oprawcy zbliżali się nieubłaganie. Musiał zniknąć.

Nagle wpadł na pomysł. Tak, zniknie im z oczu. Wyciągnął z kieszeni płaszcz niewielką fiolkę, jego jedyną szansę. Odkorkował i w biegu zaczął powtarzać słowa zaklęcia. Jednym haustem wypił całą zawartość i natychmiast poczuł, jak magia rozplywa się po jego ciele, które poddaje się transformacji.

19

Wizja zniknęła. Antoni oderwał łapki od balustrady i przysiadł na ziemi. Całe jego ciało drżało od powtórnie przeżywanych emocji.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Walcia. Podeszła bliżej i pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Tak jakby – przyznał. – Przypomniałem sobie, jak to się stało.

– I co?

– To było... – Szukał odpowiedniego określenia, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. – ...straszne.

Dziewczyna czekała cierpliwie na ciąg dalszy. Nie chciała pospieszać go, czując, że sprawa jest delikatna i Antoni sam musi się oswoić z tym, co przed chwilą sobie przypomniał.

– Chodziło o moje badania. Miałem się zobaczyć z kimś, kto powołując się na Rodzinę, żądał rozmowy. Zgodziłem się i wyznaczyłem tu miejsce spotkania.

– Czego chcieli?

– Żebym przestał zajmować się tą sprawą.

– Dlaczego? – pytała dalej, starając się dowiedzieć od niego jak najwięcej. Może któraś informacja wreszcie naprowadzi ich na konkretny ślad.

– Dobre pytanie. – Zając podniósł się z ziemi i ruszył w stronę wyjścia, czujnie rzucając spojrzeniem na wszystkie strony, jakby spodziewał się ataku. – Chodźmy stąd. Tu wcale nie jest bezpiecznie.

Walcia podążała przez chwilę za nim. Szybko jednak dostrzegła między alejkami bawiące się dzieci i przypomniała sobie, jak tu weszli.

– Lepiej wejdź do torby – rzuciła. – Jeśli ktoś cię zobaczy, trudno będzie nam się wytłumaczyć.

Zając kiwnął głową i wpakował się do podstawionego worka. Walcia zarzuciła sobie torbę na ramię i ruszyła powoli ścieżką.

– Przypomniałeś sobie, gdzie jest twoja pracownia? – spytała spokojnie.

Nie otrzymała odpowiedzi. Zerknęła na Antoniego. Wydawało się, że odpląnął myślami gdzieś bardzo daleko. Nie przeszkadzała mu. Po tym całym zamieszaniu z przyjemnością na chwilę zapomniała o problemach i zaczęła podziwiać piękno parku. To miejsce było prawdziwym ogrodem. Tak zostało pomyślane – jako park, w którym mieszkające tu zwierzęta są tylko pretekstem do spędzania czasu na powietrzu, w centrum miasta. Znów zrobiło jej się żal, że nie może dzielić się tymi wrażeniami z Piotrusiem. Wyciągnęła komórkę i odblokowała ją. Na wyświetlaczu nie ukazała się ani jedna wiadomość. Czego mogłam się spodziewać? Pewnie jest z tą Fladrą – pomyślała ze smutkiem.

Schowała aparat do kieszeni. Zbliżyła się do wyjścia.

– Antoni? – zawołała łagodnie. Zając podniósł głowę, wyrwany z własnego świata. – Będziemy wychodzić, mógłbyś jeszcze przez chwilę poudawać pluszaka?

– Chwilami mam wrażenie, że tobie się to bardzo podoba – warknął cierpko.

– Oczywiście, moim największym marzeniem było biegać po mieście z torbą na zakupy, w której siedzi czarodziej zamieniony w zająca udającego pluszaka. Wiesz, ile bierze psychoterapeuta za takie opowieści?

– Nie.

– Ja też nie – przyznała po chwili – ale jak sobie to wyobrażę, to mnie ciarki przechodzą, więc proszę cię, na chwilę jeszcze współpracuj, dobrze?

– Chyba i tak nie mam wyjścia – westchnął.

Ustawił się w wygodnej pozycji i zamarł, udając pluszową zabawkę. Walcia bez zwracania nadmiernej uwagi pokonała wyjście i udała się ulicą w stronę centrum. Nie ustalili co prawda celu wędrówki, ale skoro Antoni na początku wspominał, by iść na wschód, to nic nie stało na przeszkodzie, aby teraz podążyli w tym kierunku.

Nastka szła chodnikiem przy niewielkim rondzie, które służyło jako zatoczka dla starych autobusów, i rozglądała się z ciekawością. W tej części Poznania jeszcze nie była. Fascynowało ją, że ta przestrzeń –

wyglądająca jak zapomniana wieś gdzieś bardzo daleko od świata – nadal administracyjnie przynależy do wielkiej metropolii, w której mieszkała. Czy to możliwe, żeby jedno miasto miało tak wiele twarzy?

Z daleka dostrzegła Norberta siedzącego na wiekowej, metalowej ławce. Siedzisko było tak obdrapane, że już nie miała możliwości rozpoznania koloru. Na widok czarownicy chłopak obdarował ją tym swoim uśmiechem czekającego na pochwałę kota, który wychłeptał właśnie miseczkę śmietanki.

– Po co mnie tu ściągnąłeś?

– Załatwiłem sprawę tego całego Piotrusia – odparł, wypinając dumnie pierś.

Nastka obejrzała się za siebie, obrzucając wzrokiem otaczające zatoczkę dzikie chaszczki i rzadko rosnące krzewy. W jej umyśle zaczęły kiełkować niepokojące myśli.

– Tu? – zapytała niepewnie.

– Oczywiście, że nie – oburzył się Norbert. – Wywiozłem go do szopy na mojej działce. Sprawdziłem też telefon.

– Na bogów, coś ty mu zrobił? Walcia nas ukatrupi. Za nic nam nie wybaczy!

– Dlaczego? Przecież ją zdradził.

– Ale Walcia go kocha... kochała. Była tylko zła na niego, że zachował się tak nieodpowiedzialnie. – Nastka opadła ciężko na ławkę. – Gdzie go zakopałeś?

– Zakopałem?

– Tak, gdzie?! Przecież nie możemy tak go zostawić!

– Ale ja się go nie pozbyłem... Może trzeba było? – zamyślił się.

– Norbert, mów zaraz, coś ty wyprawiał od rana, bo nie wytrzymam i jak tu siedzę, zdziele cię w łeb!

Chłopak spowaźniał, wyprostował się na siedzeniu i zmarszczył brwi. Wyraźnie obrażony, w pierwszej chwili nie miał w ogóle ochoty na odpowiedź. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek, bo to, co mogłoby się wydarzyć, jeśli Nastka spełniłaby swoje groźby, wcale mu się nie spodobało.

– Nic mu nie zrobiłem. Wywiozłem nieprzytomnego do siebie, sprawdziłem komórkę i jak odzyskał przytomność, to wypuściłem.

– I co dalej?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Przypilnowałem, żeby dotarł do drogi. Niedaleko jest przystanek autobusowy. Spokojnie zdążył na niego i za chwilę powinien tu być.

– I nie zdziwił się, jak cię zobaczył, gdy odzyskał przytomność?

– No co ty! Przecież nie pokazałem mu się w ludzkiej postaci. Jak ja bym mu się wytłumaczył?

Nastka odetchnęła głęboko, nieco uspokojona. Przez chwilę bała się, że przyjaciółka nie wybaczy jej napaści na swojego chłopaka. Niezależnie od tego, czy ją zdradzał, czy nie. Jednak wyglądało na to, że początkowe obawy będzie mogła sobie odpuścić. Nikt się nie dowie, co Norbert zrobił. Ulżyło jej.

– Niestety w komórce znalazłem twarde dowody na to, że Piotruś zdradza Walcie – wyznał Norbert z dumą.

– Tak? Jakie? – zainteresowała się Natka.

– Umawiał się na spotkania z jakąś Milenką i na wyjazd. Pisała, że może już się pakować.

– Cholera.

– No właśnie, cholera. Mieli się spotkać dzisiaj na uczelni, ale chłopaka wywozłem, więc tym razem lekko pokrzyżowałem im plany – uśmiechnął się łobuzersko.

– Może należałoby go jednak śledzić? – zastanawiała się Nastka, przygryzając dolną wargę.

– Tylko czy warto?

– Ostatecznie z Walcie nie zerwał. Poza tym to wszystko wydaje mi się jakieś podejrzanе. A właściwie to gdzie on teraz jest?

– Właśnie jedzie – uśmiechnął się Norbert, wskazując głową w stronę nadjeżdżającego jelcza w biało-niebieskich kolorach przeplatanych rudością rdzawych plam.

– Skąd wiesz?

– To proste, tylko ten autobus jeździ z przystanku obok starego sadu.

– To może przejdźmy gdzieś dalej, żeby nas nie zauważył – zaproponowała Nastka, rozglądając się za odpowiednim schronieniem.

Norbert przytaknął, wstał i pociągnął dziewczynę za rozłożystą lipę rosnącą przy drodze. Nieobcinane niskie gałęzie tworzyły doskonałą barierę dla niechcianych spojrzeń.

Autobus powoli wjechał w zatoczkę i zatrzymał się z ogłuszającym piskiem zużytych klocków hamulcowych. Przez chwilę nic się nie działo, jedynie silnik pracował na niskich obrotach, przypominając warkotem stary traktor. Nastka i Norbert czekali niecierpliwie na otwarcie drzwi. W końcu skrzydła się uchyliły, trzasnęły o balustrady we wnętrzu, a warkot umilkł. Ze środka wysiadła z niemałym trudem tęga kobieta w chustce na głowie i z wielką, niebieską torbą wypchaną do granic możliwości jakimiś rzeczami. Na chodniku stęknęła, wyprostowała się, masując sobie krzyż, po czym zarzuciła toboł na plecy i ruszyła kolebiącym się krokiem w stronę najbliższych zabudowań. Nastka wychyliła się zza drzewa ostrożnie. Nic, cisza.

- Nie ma go? – zwróciła się do Norberta.
- Nie wiem. Może przysnął?
- Idź sprawdzić.

Chłopak ruszył w stronę starego autobusu, ale zatrzymał się w pół kroku. Kierowca właśnie wstał, obejrzał się na wnętrze, po czym wyszedł na chodnik i zapalił papierosa. Czekał na godzinę odjazdu następnego kursu. Norbert cofnął się, już się nie kryjąc.

- Nie ma go.
- Jak to nie ma?
- Tak po prostu. – Wzruszył ramionami.
- To gdzie jest?! – Dziewczyna podniosła głos w zdenerwowaniu.
- Nastka, ja nie wiem. Przestałem go obserwować, jak dotarł do drogi, stamtąd widać słupek ze znakiem przystanku, byłem pewien, że pojedzie autobusem. Przecież nie będzie szedł na piechotę do miasta, to ponad dziesięć kilometrów!

– Ale go nie ma – warknęła. – Co ja teraz powiem Walci? Że zgubiliśmy jej chłopaka?

Norbert milczał. Plan, jaki rano wymyślił, już mu się wcale nie podobał.

- No dobra, pozostaje jedno pytanie – odetchnęła Nastka, uspokajając nerwy.
- Jakie? – spytał zaintrygowany.
- Skoro nie ma go tu, to gdzie on teraz jest?

20

Walcia dotarła do wielkiego ronda Kaponiera. Chyba największego w mieście. Przystanęła w pobliżu zejścia do podziemia i wyciągnęła komórkę. Na wyświetlaczu ukazało się kilka wiadomości, żadna jednak nie pochodziła od Piotrusia. Od rana wcale się z nią nie kontaktował i zaczynała się już martwić. Powinien skończyć zajęcia na uczelni, a wtedy zwykle dzwonił lub przynajmniej wysyłał wiadomość. Niestety, tym razem nic nie przyszło. Czy ich związek był w tak poważnym kryzysie? Zachciało jej się płakać ze strachu. Tak bardzo się obawiała, że ich relacja się zepsuje... Cóż jednak mogła poradzić, jeśli Piotruś rzeczywiście zakochał się we Flądrze? Pozostawała jej jedynie magia i rzucenie na niego klątwy – tylko czy to było fair? Walcia przygryzła dolną wargę, starając się uspokoić. Ona nadal go kochała, ale uczucia Piotrusia mogły się zmienić. Czy wtedy miała prawo zmuszać go do czegokolwiek? Zwłaszcza do pozostania z nią? Co jeśli to nie Flądra swoją urodą uwiodła Piotrusia, tylko odwrotnie? Czy nie byłaby to zemsta z jej strony? Przecież on też mógł zakochać się w innej.

Walcia potrząsnęła głową, wyrzucając z niej nieprzyjemne myśli. Po krótkim rozważaniu wystukała wiadomość do chłopaka i schowała telefon. W końcu też czasem mogła odezwać się pierwsza. Jeśli to jakoś pomoże, to czemu nie?

– Przypomniałeś sobie coś? – rzuciła do zwierzaka w torbie.

Antoni strzygł uszami, czujnie rozglądając się na boki, jakby spodziewał się zobaczyć kogoś albo coś znajomego.

– Nie bardzo – odparł po chwili.

Walcia przechyliła głowę. Nagle zachowanie zajęcia wydało jej się podejrzane. Zmrużyła oczy i przyjrzała mu się czujnie.

– Jesteś pewien? Bo wiesz, stąd mamy setki możliwości, a nawet nie wiemy, czy idziemy w dobrym kierunku.

– Myślę, że idziemy – zareagował szybko.

– To chyba jedyne, czego jesteś pewien.

– Muszę z kimś pogadać. Rezyduje niedaleko. Pomożesz mi?

– Chyba nie mam za bardzo wyjścia – odpowiedziała kwaśno. – Inaczej ty nie pomożesz mi w mojej sprawie.

– Twojej sprawie? – Antoni spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nie pamiętasz?! Masz pomóc mi w rzuceniu zaklęcia na mojego chłopaka! Obiecałeś, inaczej nie łąziłabym z tobą po mieście, tylko szukała magicznych sów.

– Ach, no tak, tak – mruknął, jakby dopiero co sobie przypomniał o ich układzie. – Wiesz, gdzie jest urząd wojewódzki?

– Tak.

– No to tam idziemy.

– Chcesz się dostać do urzędu wojewódzkiego?! – przeraziła się.

– No, tak jakby... – przyznał z wahaniem.

– Przecież nie wpuszczą mnie tam z zającem. Oszalałeś?!

– Do zoo cię wpuścili – odparował z wyrzutem. – Powiedz, jeśli nie chcesz.

– Ja zaraz nie wytrzymam...

Walcia miała ochotę zacząć krzyczeć, ale jej uwagę przykuło dwoje dzieci, które właśnie wyszły wraz z rodzicami z przejścia podziemnego.

– Mamo, mam, zobacz, jaki ładny! – zawołała dziewczynka, wskazując palcem sparaliżowanego strachem Antoniego.

– A do tego żywy! Wow! – dodał chłopiec i podbiegł bliżej.

– Tylko nie dotykajcie zwierzaka! – Matka natychmiast pobiegła za dziećmi, a że pod rękę trzymała męża, cała czwórka wylądowała przed Walcią, wpatrzona w nieruchomego zająca.

– Chyba ci się zdawało, Adasiu. On jest wypchany. – Ojciec spojrzał z pobłażaniem na syna.

– Wcale nie!

Walcia przełknęła ślinę. Z jednej strony miała ochotę zostawić Antoniego na pastwę losu. Niech sobie radzi, najwyżej będzie do końca świata gadał o kapuście. Z drugiej strony odczuwała coś na kształt lojalności.

– Ja słyszałam, jak gada! – zawołała dziewczynka.

– Kochanie, zające nie mówią, to zwierzęta – odparła łagodnie matka.

– Ale ja słyszałam.

– Dobra, Martusia, idziemy. – Ojciec zgarnął dziewczynkę na ręce i ruszył w swoim kierunku. Przepraszamy – rzucił jeszcze do Walci.

– Ale ja naprawdę słyszałam, jak mówił, że chce do rządu!

– Do rządu? – Ojciec pokiwał głową w zamyśleniu. – Właściwie to mogłoby być ciekawe, pasowałby tam.

– Tfu! – splunął Antoni, gdy rodzina oddaliła się już na tyle, by go nie mogli usłyszeć. – Do rządu?! Pocięło go?

– Nie chcesz? – spytała Walcia z przekorą.

– Nie obrażaj mnie, czy ja wyglądam, jakbym nie miał, co robić?

Nie odpowiedziała. Zeszła do przejścia podziemnego i skierowała się w stronę urzędu. Zając niespokojnie kręcił się w torbie za każdym razem, gdy nad ich głowami przetaczał się tramwaj.

– Przestań, bo będziesz sam szedł – zagroziła mu zirytowana.

– Łatwo ci mówić. Wiesz, jakie ja mam wyczulone... Kapusta z pieca!

Walcia przyspieszyła. Obeszła główny ciąg ze sklepami i prawie wbiegła po schodach na górę. Wreszcie znaleźli się po drugiej stronie ronda. Antoni drżał na całym ciele, co jego towarzyszka czuła nawet przez materiał torby i warstwy własnej odzieży.

Nie namyślając się długo, wybrała najkrótszą drogę do urzędu. Sama była już zmęczona tym bieganiem po mieście. Miała ochotę wrócić do domu, położyć się na kanapie i poużalać nad sobą. Żeby tylko to obiecane zakłęcie poskutkowało. Znow wyciągnęła komórkę, jednak ta pozostawała nieubłaganie cicha. Żadnej wiadomości od Piotrusia.

Urząd wojewódzki – w przeciwieństwie do urzędu miejskiego – był nijaki i zimny. Przynajmniej zdaniem Walci, która stanęła właśnie przed wysokim gmachem w kształcie prostokąta i zadarła głowę do góry.

– Kogo szukamy? – rzuciła w niebo.

– Anny Kierskiej. Pracuje w wydziale statystyk.

– Wpuszczą mnie do niej?

– Możliwe, że to ona będzie musiała do nas wyjść. Powiedz, że jesteś z Rodziny i przychodzisz w sprawie Antoniego Zająca.

Walcia kiwnęła głową i ruszyła do wejścia. Wnętrze ją zaskoczyło. Sprawiało wrażenie monumentalnego, choć właściwie nie było aż tak duże. W pierwszej chwili gość zauważał dwubiegowe schody

z wielkim godłem wykonanym jako relief w kamieniu i wysoki sufit na dwie kondygnacje. Przez salę ciągnęły się dwa rzędy kolumn. Otwarty korytarz biegł naokoło pomieszczenia, prowadząc do kolejnych wnętrz. Wszędzie Walcia widziała drewno, marmur i granit. Trochę przytłoczyło ją to połączenie ciepłych i twardych materiałów, więc przystanęła w samym progu, tuż za przesuwными drzwiami. Szybko jednak musiała się stamtąd ewakuować, bo kolejne wchodzące i wychodzące osoby zaczęły ją potrącać i komentować jej zachowanie pod nosem.

Po prawej stronie dziewczyna dostrzegła recepcję. Natychmiast podążyła w tamtym kierunku. W szklanym akwarium zbudowanym na drewnianej podwalinie siedziały dwie panie. Obie ubrane w białe bluzki i identycznie uczesane w ciasne koki w jakiś sposób sprawiały wrażenie bliźniaczych lwów pilnujących skarbcza. Walcia przywitała się i poinformowała, z kim chce się spotkać. Pani w okienku potarła nos i grzecznie kazała jej poczekać. Połączenie z kimś daleko w głębi budynku trwało chwilę. Wystarczyło wyjaśnienie, że przyszła w sprawie Antoniego Zająca, i rozmówczynie rozłączyła się.

– Proszę tam poczekać... A psik... – Recepcjonistka skurczyła się w sobie. Pociągnęła kolejny raz nosem, jakby nagle nabawiła się poważnego kataru. – Przepraszam – pisnęła i wskazała przestrzeń holu.

Walcia odwróciła się, chcąc odejść.

– Proszę pani, tu nie można wprowadzać zwierząt! – zawołała za nią urzędniczka. – A psik! To niedozwolone. Zwierzęta... a psik... muszą zostać na zewnątrz... A psik!

– To nie zwierzę, tylko maskotka – odparła spokojnie Walcia. Kłamstwo szło jej coraz łatwiej i coraz mniej się nim przejmowała.

– To nie może... a psik... być maskotka. Ja mam... a psik... uczulenie... A psik! – próbowała się wysłowić kobieta.

Walcia uśmiechnęła się do niej, nachyliła bliżej szyby, czym tylko wzmogła kichanie recepcjonistki.

– Bo to wypchany zwierzak – szepnęła złowrogo.

– Tak nie można... psik!

– Dzień dobry. – Przy kontuarze pojawiła się niewysoka kobieta o jasnych jak len włosach, spiętych z tyłu w wymyślny długi warkocz.

Grzywka opadała jej na błękitne oczy. Uśmiechnęła się do kichającej pracownicy. – Dzwoniła pani.

– Tak... A psik, a psik! – Kolejny napad uczulenia nie pozwolił kobiecie się wysławić. Wskazała tylko bezradnie palcem na Walcię.

– To pani mnie szukała?

– Tak – odparła dziewczyna bez wahania i odwróciła w jej stronę torbę. – Przyniosłam maskotkę. Pan Antoni prosił.

Przez twarz blondynki przebiegła mieszanina zdziwienia i rozbawienia.

– Pani Karolino – zwróciła się do recepcjonistki. – Proszę szybciotko wystawić przepustkę, a my z tym pluszakiem się trochę odsuniemy.

Pociągnęła Walcię za ramię w kierunku środka sali.

– Dowód – jęknęła kobieta za szybą. – Potrzebny mi dowód.

– Ma pani dowód? – powtórzyła blondynka.

Dziewczyna przekazała go Annie, a ta podała go dalej, po czym wróciła na środek sali. Obserwowała ją czujnie z ukosa, badając każdy skrawek ubrania, rudych włosów i szarych oczu. Walci wydawało się nawet, że kobieta liczy po cichu piegi na jej nosie. Poczuli się nieswojo. Błękitne spojrzenie przewiercało ją na wylot. Tym bardziej ucieszyła się, kiedy pani Karolina zawołała, że przepustka jest gotowa.

Anna odebrała ją i wskazała Walci kierunek. Weszły na schody i skręciły w lewo. Kobieta przeprowadziła dziewczynę przez drzwi chronione zamkiem kodowym i dalej korytarzem, ani razu się nie odzywając. Mijane osoby popatrywały na nie z uprzejmą ciekawością. Anna czasem witała się z niektórymi przyjaźnie, przy nikim jednak się nie zatrzymała. Przeszły kładką zawieszoną na piętrze nad przejazdem. Obie ściany korytarza były przeszklone. Walcia zdążyła jeszcze dostrzec, że wyszły z monumentalnego biurowca pamiętającego okres peerelu i zbliżały się do o wiele starszej zabudowy. Nagle otoczenie zupełnie zmieniło charakter. Drewniane drzwi miały kasetony i rzeźbione framugi, a nad nimi zamontowane były przeszklenia, dzięki którym do korytarza wpadała odrobina światła dziennego z pokoi rozmieszczonych po obu jego stronach. Obeszły jakąś część budynku, skręciły i dotarły do starej klatki schodowej z duszą, czyli wolną przestrzenią, pośrodku której

można było zobaczyć niższe kondygnacje i wspinałe sklepienie nad nimi.

Walcia z zachwytem oglądała wnętrze.

– Nie mówiłeś, że tu będzie tak pięknie – szepnęła do zająca w torbie, ale natychmiast została uciszona przez Annę, która wspinała się przed nią po kolejnych stopniach. Wreszcie dotarły na piętro i trafiły korytarzem do ostatnich drzwi. Kobieta otworzyła je, znów używając kodowego zamka na kartę. Wpuściła Walcię i zamknęła za nią dokładnie. Wtedy odetchnęła głęboko, rozluźniła się, a następnie wybuchła:

– Czy tobie kompletnie odbiło, Antoni?! – zawołała, siadając za biurkiem i chwytając palcami skronie. – Zniknąłeś na ponad tydzień, niektórzy odchodzili od zmysłów. Gdzieś ty się podziewał i kim jest ta biedna dziewczyna?

Czarodziej poruszył się i zerknął na Annę z torby. Walcia, odrobinę urażona określeniem „biedna dziewczyna”, postawiła tobołek na biurku, aby zając mógł z niego bezpiecznie wyjść.

– Anno, czy kiedy mnie nie było, zdarzyły się jeszcze przypadki zaniku zdolności magicznych u czarownic? – zaczął Antoni, ignorując serię pytań urzędniczek.

– Tak, trzy – odparła niechętnie. – Nadal się tym interesujesz?

– Nawet bardziej niż wcześniej. Prawdopodobnie zostałem zaatakowany właśnie z powodu moich badań.

– Jak to zaatakowany? – Anna wyprostowała się na krześle.

– Skontaktował się ze mną pewien mężczyzna. Chciał się spotkać, twierdząc, że też interesuje się tą sprawą – wyjaśnił, siadając na tylnych łapach i ostro gestykulując przednimi, aż strącił z blatu kubek z kolorowymi długopisami. Walcia pochyliła się, aby je pozbiierać, nadal jednak przysłuchiwała się toczonej ponad jej głową rozmowie. – Niestety okazało się, że wcale nie był zainteresowany wymianą poglądów. Najpierw chciał, żebym przestał się tym zajmować.

– Jak to przestał?

– Dosłownie. Miałem nie prowadzić więcej badań i nie dociekać, dlaczego czarownice tracą moc.

– Zgodziłeś się?

– Oczywiście, że nie! – oburzył się, prychając z odrazą. – Za nic.

– Nie spodobało mu się to – wywnioskowała blondynka.
– Bynajmniej. Wydaje mi się, że nawet na to czekał. Zaatakował mnie, i to nie magią, ale bronią palną.

– Strzelali do ciebie?! – Anna aż się zachłysnęła z przerażenia. – Jesteś ranny?

– Nie jestem, ale to tylko dzięki moim umiejętnościom szybkiej reakcji. Z pewnością by mnie złapali, więc musiałem się posiłkować tym rozwiązaniem. – Zając wskazał na siebie.

– Rzuciłeś zaklęcie przemiany.

– Tak.

Kobieta kiwnęła głową ze zrozumieniem. Teraz wszystko było dla niej oczywiste. Odchyliła się na oparcie fotela, odrobinę uspokojona wyjaśnieniami. Walcia w tym czasie skończyła zbieranie długopisów i wychynęła zza biurka. Odstawiła pojemnik na swoje miejsce i zaczęła zastanawiać się, o czym właściwie mówili. Informacja, że czarownice cierpią z niewiadomych przyczyn na zanik zdolności magicznych, odrobinę ją zaniepokoiła. Natychmiast pomyślała o Nastce. Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby jej przyjaciółka miała stracić swoje zdolności. Posiadała je od dzieciństwa i były częścią jej samej. Bez nich czułaby się niepełna i chyba zwariowałaby z rozpaczy.

– Zaraz! – Na twarzy Anny pojawiło się pełne niepokoju zdumienie. – Czy ty chcesz powiedzieć, że od tamtej pory jesteś w tej postaci?

– Dokładnie.

– Przecież to... – policzyła szybko – dwanaście dni!

– Zgadza się.

– To niemożliwe.

– Jak widać, możliwe – odparł na pozór spokojnie.

– Antoni, to szaleństwo! – Kobieta zacisnęła pięści w zdenerwowaniu. – Natychmiast musisz odwrócić zaklęcie! Zanim będzie za późno.

– Do tego musiałbym wrócić do swojej pracowni, a obawiam się, że oni wiedzą, gdzie mieszkam i czekają tam na mnie.

– Nie możesz tego zrobić gdzie indziej?

– Nie, potrzebuję antidotum. Wiesz, że nie jestem z natury zmiennokształtny.

– I właśnie dlatego się o ciebie tak martwię. Dla ciebie to śmiertelne zagrożenie.

– Przepraszam – wtrąciła nieśmiało Walcia stojąca przy biurku. – Co się stanie, jak nie przemieni się na czas?

– Wtedy nie będzie już odwrotu. Pozostanie w tym ciele, jego umysł błyskawicznie zacznie się degradować i w ciągu kilkudziesięciu godzin stanie się już tylko zającem, a później szybko umrze.

– Ile ma czasu? – kontynuowała pytania dziewczyna.

Anna zmierzyła Antoniego wzrokiem i zastanowiła się poważnie.

– Najdłuższy udokumentowany przypadek przebywania pod wpływem zaklęcia przemiany to dwa tygodnie, dokładnie czternaście dni – zaczęła wyjaśnienia. – Jeśli jego umysł pracuje sprawnie, może tyle wytrzyma.

– A co, jeśli nie?

Anna spojrzała na Walcię czujnie, jakby szukała w niej odpowiedzi. W końcu sama odparła śmiertelnie poważnie:

– Wtedy ma mniej czasu.

– Co jeśli poddaje się już instynktowi zająca? – dociekała rudowłosa. – Na przykład zdarza mu się zacinać albo przedkładać potrzebę zdobycia pożywienia nad logiczne myślenie?

– Hej, nie mówcie o mnie, jakby mnie tu nie było! – warknął Antoni, podnosząc się na skokach. – Ja tu wciąż jestem i całkiem dobrze sobie radzę! – bronił się.

Anna odwróciła się do zająca i zmarszczyła jasne brwi.

– Jeśli to, co mówi dziewczyna, jest prawdą, to zostało ci może kilka godzin – odparła groźnie. – Więc warto ci uświadomić, że wcale nie radzisz sobie tak dobrze, jak sądzisz.

– Ha! Pesymistka – prychnął. – Chciałabyś.

– Gdybym była pesymistką, tobym powiedziała, że jesteś w czarnej, zajęczej dupie – fuknęła rozeźlona urzędniczka.

– A jakbyś tak pomyślała optymistycznie? – dopytywał z ironią.

– To wtedy bym powiedziała, że tuż przed nią. Antoni, zrozum, musisz zdjąć zaklęcie, to teraz priorytet.

– Jeśli wrócę do pracowni, ryzykuję życie. Nie wiem, kim oni są, ale jestem pewien, że mają broń i zero skrupułów, żeby zabić.

– A czego w ogóle chcesz ode mnie? – zapytała Anna.

– Informacji. Może jeśli się dowiem, dlaczego czarownicom zanikają zdolności magiczne, to będę wiedział, kim są ludzie, którzy próbowali mnie zgładzić.

– Nie możesz jakoś po cichu wejść do pracowni i się przemienić? – zapytała Walcia. – A później dociekać reszty? Przecież uciekłeś im, zamieniając się w zająca, ale oni chyba się nie połapali. Nie wypatrują pod pracownią zająca, tylko człowieka. Jako zwierzę przejdziesz niezauważony.

– Ci, którzy mnie ścigają, to tylko płotki. Wynajęta mafia. Gdyby pochodzili z Rodziny, używaliby bardziej wyrafinowanych metod niż archaiczna broń palna.

– Jeśli to ludzie bez zdolności magicznych, to jako czarodziej masz chyba więcej szans? – Walcia zmarszczyła brwi. Zawsze wydawało jej się, że Nastka ma rozwiązanie na każdą okazję głównie dlatego, że jest czarownicą. Myśl, że Antoni nie zdoła poradzić sobie z opryszkami za pomocą magii, nie mieściła jej się w głowie.

– Może, ale czarami nie wyciągnę z nich tego, czego chcę się dowiedzieć.

– Czyli czego?

– Kto krzywdzi członków Rodziny – odparł twardo.

– Nie możesz... – zaczęła dziewczyna, ale jej przerwano.

– Dość. – Anna westchnęła ciężko.

W przeciwieństwie do Walci rozumiała już przesłanki, jakimi kierował się Antoni. Nie zamierzał odpuścić w kwestii bezpieczeństwa czarownic. Nie dziwiła mu się, nawet go popierała. Też uważała, że to priorytetowa sprawa i żadna więcej czarownica nie powinna paść ofiarą zaniku mocy, ale równocześnie nie chciała, aby mężczyzna przypłacił to własnym zdrowiem lub życiem.

– Antoni, szukałeś rozwiązania przez ostatnie pół roku i nic nie znalazłeś. Myślisz, że teraz dasz radę, mając zaledwie kilka godzin?

– Chcę spróbować. Jeszcze nigdy zaniki mocy nie zdarzały się tak często jak teraz. Czuję, że coś się szykuje i to może być nasza jedyna szansa na odkrycie prawdy.

– Czy możesz mi przynajmniej obiecać, że... postarasz się – położyła nacisk na ostatnie słowa – postarasz się zdążyć

z przemianą? Jeśli osiągniesz limit, natychmiast wrócisz do pracowni i przemienisz się, a sprawą zajmiemy się później?

– Postaram się. – Kiwnął głową.

– No, dobrze.

Anna odetchnęła. Przysunęła klawiaturę komputera i zaczęła coś pisać. Walcia i Antoni czekali w napięciu na ciąg dalszy. Gdy cierpliwość zająca sięgnęła zenitu i już chciał zwymyślać urzędniczkę, stojąca za nią drukarka ożywiła się. Wydała z siebie potępieńczy zgrzyt, po czym zaczęła mozolnie wypluwać z siebie kolejne kartki papieru.

– Jeden zanik mocy pojawił się następnego dnia po twoim zniknięciu – zaczęła kobieta. – Dwa kolejne miały miejsce w tym tygodniu. O wcześniejszych wiesz, było ich dziewięć.

– Czyli widać zależność. Przypadki są coraz częstsze – zauważył Antoni.

– Tak, ale nic ponad to. Dziewczyny pochodzą z różnych części miasta, a jedna nawet spoza Poznania. Nie mają wspólnych krewnych w bliższych koligacjach. Jeśli udało im się gdzieś spotkać, to były pojedyncze przypadki, i raczej losowe niż zamierzone.

– Wszystkie są dziewczynami – zauważyła Walcia.

– To prawda – przyznała Anna. Zebrała kartki z drukarki i zaczęła je przeglądać. – Nie potwierdzono ani jednego przypadku zaniku mocy u mężczyzn.

– Kobiety są łatwiejszymi celami – stwierdził Antoni.

– Bo są słabsze? – rzuciła zaczepnie Walcia, marszcząc brwi.

– Bo jest ich więcej i mają więcej mocy, a to pozwala komuś, kto się na tym zna, łatwiej wyłapać je w tłumie. – Zając rozchylił wargi w czymś na kształt uśmiechu. Przechylił się w stronę urzędniczki, próbując zajrzeć w dokumenty, które studiowała.

– Myślisz, że chodzą po mieście i szukają ich w tłumie? To w ogóle możliwe? – dziwiła się Walcia.

Jej strach o Nastkę jeszcze bardziej się wzmógł. Jeśli prawdą było, że ktoś napadał na czarownice i działał na chybił trafił, znajdując je na ulicy, to przyjaciółka była w ogromnym niebezpieczeństwie. Może powinnam od razu do niej zadzwonić i ją ostrzec? – pomyślała.

– To możliwe. Jeśli nie, drugie rozwiązanie jest o wiele gorsze.

– Jakie to rozwiązanie? – spytała rudowłosa.

– Że to ktoś z Rodziny. Musiałby być wtedy bardzo wysoko postawiony, jak Helena albo Wuj Leonard. – Zając spoważniał i wymienił spojrzenia z Anną, oboje na chwilę zamilkli, jakby ciężar tych słów był zbyt duży do udźwignięcia w pierwszym momencie. Helena była głową Rodziny, uzdrowicielką i spoiwem wszystkich magicznych. Wuj Leonard stał równie wysoko w hierarchii i choć rzadko kto go widywał, zarządzał wieloma zadaniami związanymi z utrzymaniem magicznych w tajemnicy przed niepożądanymi spojrzeniami i wrogami.

– To by było straszne – szepnęła Anna.

– Groziłoby to rozpadem Rodziny i największym chaosem wśród magicznych, jaki widziało to miasto – tłumaczył Antoni.

– Zaczęliby się nawzajem mordować.

– Chyba nie byłoby aż tak źle – powątpiewała Walcia. Osobiście znała co prawda tylko Nastkę, ale magiczni nigdy nie sprawiali wrażenia żadnych krwi czy agresywnych. Kiedy przyjaciółka o nich opowiadała, wydawali się raczej spokojni i dbający o równowagę pomiędzy ludźmi niemagicznymi i tymi ze zdolnościami. Dlaczego więc nagle mieliby zacząć rzucać się sobie do gardeł?

Anna pokręciła głową.

– W tej chwili Rodzina składa się z wielu grup mających często sprzeczne interesy. Tolerują się i żyją obok siebie, bo wiedzą, że każdy konflikt będzie surowo karany. Helena nie pozwoli na rozlew krwi bez dobrego uzasadnienia. Dba, by żaden klan nie urósł nadmiernie w siłę. Wielu osobom się to nie podoba, ale wszyscy muszą to tolerować.

– Po co atakować czarownice? – Walcia przechyliła głowę.

– Nie wiem, mogą mieć wiele powodów – odparła Anna. – Mogą chcieć osłabić inny klan.

– Wtedy wybieraliby dziewczyny z konkretnej grupy – wtrącił Antoni. – Tę teorię dawno już obaliłem.

– Zatem potrzebują tej mocy.

– Można komuś zabrać moc i ją zatrzymać? Jak? – Dziewczyna nie dowierzała. Ze zdziwienia aż oczy jej się rozszerzyły.

– Jeśli mają artefakt, mogą w nim zamknąć moc.

– Tak po prostu?

– To nie jest wcale takie łatwe – zaprzeczył zając i odwrócił się do Anny.

– Aby zabrać moc komuś, kto ją posiada, należy odprawić specjalny obrządek, coś w rodzaju klątwy, i przenieść moc z człowieka na artefakt. Dziewczyny, które stały się ofiarami tych napaści, musiały być w czasie rzucania czaru nieprzytomne, a ubocznym efektem tych działań była częściowa amnezja.

– Nie pamiętały, co im zrobiono?

– Dokładnie, poza tym z jakiegoś powodu ich zdolności nie zniknęły od razu, ale jakby wyczerpywały się.

– To nie jest możliwe?

– Zdecydowanie nie – odparł twardo Antoni, tupiąc przy tym tylną łapą w blat biurka. – Magia się nie zużywa jak żel pod prysznic. Jest jak życiowa energia, póki człowiek żyje, póty posiada moc. Oczywiście z czasem, podobnie jak siły witalne, magiczne możliwości maleją, ale te dziewczyny były jeszcze na to za młode.

– Czyli ktoś zabiera czarownicom magię, napadając na nie, poddając jakimś zaklęciom i wypuszczając – podsumowała Walcia. – Wybaczcie, że o to zapytam, ale dlaczego ich nie zabija? I po co mu ta moc?

– Po pierwsze – odparł – zapewne nie chce mieć ich na sumieniu...

– Chociaż ma – wtrąciła szybko Anna. – Dwie z nich popełniły samobójstwo po stracie mocy. Taki zabieg powoduje silną depresję, a to i tak najłżejsza z chorób. Czarownice, które przychodzą na świat z mocą, po prostu nie mogą bez niej żyć.

– Tak – potwierdził Antoni – jednak łatwiej mu je wypuścić, tym bardziej że dziewczyny mają zaniki pamięci i nic nie potrafią powiedzieć o zajściu. To wygodniejsze niż zabijać i próbować pozbyć się ciała. Na drugie twoje pytanie odpowiedź jest trudniejsza. Istnieje wiele powodów, dla których ktoś może pragnąć mocy.

– To duża... magia?

– Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie przypadki, robi się tego całkiem sporo. Ofiarami napadów były dość silne czarownice. Słabszych nie wyłapałoby z tłumu.

– A więc jednak robią to na ślepo. – Walcia przygryzła dolną wargę w zamyśleniu. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej obawiała się

o bezpieczeństwo Nastki.

– Tak myślę – potwierdził.

– Jak więc chcesz znaleźć odpowiedź na pytanie, kto napada na czarownice?

– No właśnie. – Zając odwrócił się ponownie do Anny. – Czy ostatnie przypadki coś zmieniły?

– Zasada jest taka sama. Napad jest ukartowany, dziewczyny budzą się po pewnym czasie i nie pamiętają, jak znalazły się tam, gdzie są. Ból głowy. Później, po dwóch czy trzech dniach, tracą możliwość korzystania z mocy. Kiedy orientują się, że coś jest nie tak, jest już za późno.

– Żadnych różnic? – spytał ponownie, wyraźnie zawiedziony. – Miałem nadzieję, że może po napaści na mnie stali się mniej ostrożni i gdzieś popełnią błąd.

– Ostatnią dziewczynę porzucili w parku. Znalazł ją pies, którego wyprowadzał jeden z mieszkańców, była jeszcze wtedy nieprzytomna. Zawiadomił najpierw pogotowie, później policję. Z ledwością udało nam się zatuszować sprawę, bo inaczej cała poznańska policja szukałaby gangu napadającego na młode kobiety, a w okolicy rozwinęłaby się taka panika jak w wigilijny poranek na wyprzedazy.

– Ktoś ją przesłuchał?

– Jeszcze nie. Jej chłopak twierdził, że dziewczyna jest za słaba, i nie pozwolił na to nikomu.

– Do tej pory nie zdarzyło się, żeby znalezione dziewczyny były nieprzytomne. Wszystkie same wracały do domu i niczego nie pamiętały. Może to jest właśnie ten błąd, którego szukamy – ucieszył się Antoni.

– Tu masz jej namiary. – Anna zanotowała adres na małej karteczce. – Możesz spróbować, choć... w tej postaci nie wiem, czy wezmą cię na poważnie – stwierdziła, mierząc zająca w prochowcu kpiącym spojrzeniem.

– To już nie twoje zmartwienie, Anno – odparł ze śmiechem.

Odebrał od kobiety kartkę i przeczytał ją uważnie, po czym zgniótł w łapkach i odrzucił w jej stronę.

– To mi wystarczy, dzięki za wszystko.

- Pamiętaj, że obiecałeś zdążyć z przemianą – przypomniała mu, gdy zeskakiwał z biurka.
- Obiecałem, że się postaram – uściślił.

21

Nastka przeciągnęła się i rozprostowała plecy. Siedzenie nad księgami nigdy nie było jej mocną stroną, a teraz robiła to od dobrych dwóch godzin. Wszystko przez Piotrusia, który zniknął. Zniknął zupełnie. Nie tylko nie odbierał komórki, ale operator dźwięcznym kobiecym głosem w kółko powtarzał, że właściciel numeru się nie zgłasza. Im częściej młoda czarownica słyszała automat, tym bardziej czuła się zirytowana. Pierwszą złość wyładowała na Norbercie, obsztorcowując go równo za niedopilnowanie Piotrusia, gdy go wypuścił.

– Skąd mogłem wiedzieć, że facet nawet przystanku autobusowego nie będzie umiał znaleźć? – bronił się chłopak.

– Trzeba było tak założyć.

– Założyć to mogę gacie, a nie głupotę ludzką. Przecież za niego nie odpowiadam.

– Odpowiadasz, bo go złapałeś i wywiozłeś, a później zgubiłeś – zaatakowała go, wymierzając w niego palec.

– Nie zgubiłem.

– Jak nie umiesz go znaleźć, to znaczy, że zgubiłeś. Walcia mi tego nie wybaczy.

Nastka chwyciła się za głowę. Od jakiegoś czasu czuła nadciągającą migrenę. Tylko tego jej brakowało przy tylu problemach.

Norbert umilkł, splótł ręce na piersi i obrał taktykę na przeczekanie. Najbardziej skuteczną wobec swojej dziewczyny, skoro taktyka argumentacji się nie sprawdziła.

– Dobra – westchnęła ciężko. – Wróc na wieś i sprawdź. Może mu się komórka wyładowała i błąka się gdzieś po okolicy.

– Mam go szukać?

– A co, ja mam go szukać?!

Norbert wyduł usta. Zabrakło mu odwagi, żeby jej to zaproponować. Poza tym musiał przyznać, że miał o wiele bardziej

wyczulone zmysły, w tym węchu, co dawało mu większe szanse na znalezienie Piotrusia, nawet wśród pól na wsi.

– No dobra, a co ty w tym czasie będziesz robić? – spytał podejrzliwie.

– Poszukam zaklęcia, jeśli go nie znajdziesz po swojemu, to spróbujemy magią.

– Jakieś przywołanie?

– Jeszcze nie wiem, ale w księgach pewnie znajdę coś, co pozwoli nam go namierzyć. Mam tylko nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Może wrócił i jest z Walcią? – wysunął teorię Norbert.

Nastka zamyśliła się. Przez chwilę kombinowała, jak się tego dowiedzieć.

– Zadzwoń do niej i zapytaj – zaproponował.

– Jasne, zadzwonię do najlepszej przyjaciółki i zapytam, czy jej zdradzający chłopak jest z nią, bo mój chłopak porwał go, a później zgubił!

– No, może nie tak dosłownie – przyznał. – Mogłabyś to ująć tak, żeby to nie brzmiało jak moja wina? – poprosił.

Dziewczyna zmierzyła go zimnym spojrzeniem, pod wpływem którego odrobinę się skurczył. Miała jednak miękkie serce. Uspokoila myśli i wykręciła numer do Walci. Ta odebrała dopiero po czterech sygnałach. Z dźwięków w tle Nastka wywnioskowała, że rudowłosa wybrała się gdzieś na miasto, być może na spacer.

– Cześć, co porabiasz? – zapytała kontrolnie.

– No wiesz... – Walcia zawahała się wyraźnie, jakby szukała najlepszej odpowiedzi. – Wyszłam z domu.

– To dobrze. Wszystko w porządku? Jak twój kac?

– Kac? – Przyjaciółka wydawała się zupełnie zdezorientowana. – Ach! Dzięki za troskę, już doskonale, tylko wiesz... Trochę zajęta jestem.

– Walentyńko! – zawołała Nastka zaniepokojona. – Co ty kombinujesz?

Znały się na tyle długo, że czarownica natychmiast wyczuwała, kiedy Walcia próbowała coś przed nią ukryć, tym bardziej że rudowłosa była kompletnym beztalenciem w kwestii umiejętności kłamania.

– Ja nic... nic nie kombinuję – pisnęła.

W tle Nastka usłyszała jakiś znajomy głos, ale nie potrafiła go rozpoznać. Nie był to na pewno Szczurko.

– Walcia, nie wpakowujesz się w żadne kłopoty z powodu Piotrusia? – spytała nieufnie. – Nie próbujesz czarów na własną rękę?

– Nie, nie próbuję czarować, możesz być o to spokojna – zastrzegła szybko dziewczyna. – A teraz muszę lecieć, bo zajęta jestem. Mam tylko kilka godzin.

– Na co?

W słuchawce rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy.

– Co jest? – zainteresował się Norbert.

– Właściwie to nie wiem – przyznała Nastka, chowając telefon. – Ale ten, kto jest z Walcią, nie jest Piotrusiem.

– A kim?

– Dobrze pytanie. – Przygryzła wargę w zamyśleniu. Starła się odtworzyć w myślach dźwięki i przypasować je do kogoś, kogo zna. – Wydaje mi się, że gdzieś już słyszałam ten głos, i to u nas.

– W Rodzinie?

– Tak. Gdybym przypomniała sobie, w jakim kontekście, pewnie wiedziałabym też, do kogo należy.

– Może to nic groźnego – pocieszył ją, zbierając się do wyjścia. – Skoczę na wieś i sprawdzę, czy Piotrusia tam nie ma. Jeśli czegoś się dowiem, to do ciebie zadzwonię.

– Uważaj na siebie – odparła nieco machinalnie.

Norbert uśmiechnął się łobuzersko.

– Zawsze na siebie uważam, moja droga. To czarnego kota się boją, pech czarnego kota się nie ima.

– Tak czy inaczej... wiesz.

Nastka udała się do Heleny, gdzie miała możliwość znalezienia największej liczby ksiąg magicznych. Teraz siedziała kolejną godzinę w bibliotece głowy Rodziny i próbowała znaleźć odpowiedź na swoje pytanie.

– Gdybyś powiedziała mi, czego szukasz, mogłabym ci pomóc – zasugerowała Helena, stawiając przed nią filiżankę herbaty.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

– Nie trzeba – odparła. Nie chciała się przyznawać, czego szuka, bo wtedy musiałaby też wyjaśnić, jak do tego doszło, że potrzebuje

zaklęcia namierzającego człowieka bez aury magicznej. A takie wyznaczenie oznaczało tylko większe kłopoty.

– Jak uważasz, ale może spróbuj w tej księdze. – Podsunęła młodej czarownicy oprawiony w zieloną skórę niewielki tom, po czym spokojnie wyszła z pokoju.

Nastka zaczerwieniła się po same uszy. Miała już pewność, że przynajmniej w kwestii zaklęcia Helena dokładnie wiedziała, co jej było potrzebne.

Wystarczyło przejrzanie kilku pierwszych stron i znalazła to, czego z takim mozolem szukała od paru godzin. Zabrała się za przepisywanie zaklęcia. Po chwili miała już wszystko, a filiżanka stojąca przed nią była pusta. Zgarnęła po kolei książki i odłożyła je na miejsce, łącznie z tą ostatnią, w zielonej oprawie, starając się przy okazji zapamiętać jej lokalizację. Zauważyła, że tom zawierał kilka ciekawych notatek, do których zamierzała wrócić później. Teraz liczyła się sprawa Piotrusia. Wyciągnęła komórkę, ale natychmiast przypomniała sobie, że dom Heleny chroniony był barierą uniemożliwiającą kontakt za pomocą zwykłych sieci. Musiała stąd wyjść, jeśli chciała skontaktować się z Norbertem. Spakowała notatki i ruszyła do drzwi. Mentorka siedziała w salonie, sącząc powoli herbatę z filigranowej filiżanki.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – spytała spokojnym głosem.

– Tak, Heleno. – Na twarzy Nastki zawitał nieśmiały uśmiech. Już chciała pożegnać się i wyjść, kiedy coś przyszło jej do głowy: – Skąd wiedziałaś, czego szukam?

– Moja droga Anastazjo. Widziałam, jakie książki przeszukujesz i na jakich miejscach je porzucasz. Naprawdę nie trzeba być jasnowidzem, żeby domyślić się, co cię interesuje.

– A więc ta książka...

– To była po prostu sugestia, chciałam ci pomóc.

– Dziękuję – odparła Nastka szczerze.

– Czy dowiem się, po co ci zaklęcie odnalezienia niemagicznego człowieka?

– Wolałabym nie wdawać się w szczegóły.

Helena uniosła brwi.

– Naprawdę. Obiecuję wyjaśnić ci wszystko, jak tylko się z tym uporam, ale to nic niebezpiecznego.

– Nie mogę cię do niczego zmusić.

To nie była prawda, ale Nastka była jej wdzięczna za taką postawę. Obiecała sobie w duchu wrócić tu natychmiast, kiedy tylko odnajdą Piotrusia i odstawią go całego i zdrowego pod Walci drzwi. Najlepiej, żeby zakochani sami rozwiązywali swoje problemy. A Norbertowi natrze jeszcze raz uszu, gdy nadarzy się okazja.

– Dziękuję, Heleno. Muszę już iść.

– Uważaj na siebie, Anastazjo. Ostatnio w mieście dzieją się podejrzane rzeczy. Gdzie jest twój towarzysz?

– Norbert? Za miastem, ale niedługo wróci.

– Wolałabym, żeby w najbliższym czasie nie oddalał się od ciebie. I nie używaj magii, jeśli nie jest to naprawdę konieczne, dobrze? – W głosie mentorki przebijała troska.

– Heleno, co może mi się stać? Poza tym jest środek dnia.

– Po prostu uważaj na siebie.

– Dziękuję, że się o mnie martwisz.

Nastka pomachała jej dłonią na pożegnanie i wyszła z domu. Zbiegła po schodach, ale dopiero za płotem jej komórka złapała zasięg. Zastanawiała się, jakim cudem udaje się ludziom dodzwonić do Heleny. Z jednej strony na terenie jej domu za nic nie można było skontaktować się z nikim innym. Czyżby rzuciła jakiś urok na własny aparat? Z drugiej strony do głowy Rodziny rzadko kto dzwonił. To musiały być już ekstremalne przypadki. Za to uzdrowicielka miała w zwyczaju sama pojawiać się w miejscach, gdzie była potrzebna. Stąd Nastka czasami podejrzewała ją o zdolności jasnowidzenia, którym Helena konsekwentnie zaprzeczała.

– Norbert, znalazłeś go? – zapytała natychmiast, gdy po drugiej stronie linii ktoś odebrał.

– Niestety nie. Na razie byłem w szopie i nie wrócił. Jego ślady prowadzą do głównej drogi, ale tam już trudniej złapać trop. Może wsiadł do jakiegoś samochodu, który tędy przejeżdżał? – snuł wywód Norbert. – Będę szukał dalej.

– Okej. Ja znalazłam odpowiednie zakłęcie. Teraz wracam do domu i spróbuję je wykorzystać, żeby zlokalizować Piotrusia. Jak będę coś wiedzieć, to się odezwę.

– Wracaj prosto do domu. Nie lubię, jak chodzisz sama po mieście.

- Ty też?
- Co ja też?
- Helena dziś mnie ostrzegała. Co wam się stało, że zrobiliście się tacy opiekuńczy?
- Nie wiem, czego chciała Helena, ja po prostu się o ciebie martwię.
- Teraz to się martwisz – prychnęła – ale jak wpakowałeś nas w tę kabałę, to się nie martwiłeś.
- Przecież tłumaczyłem ci, że zostawiłem go prawie pod przystankiem! – fuknął zirytowany.
- Widać „prawie” robi różnicę.
- Nie moja wina, że facet jest tak roztrzepany jak jego dziewczyna.
- Ty się nie czepiaj Walci. Pamiętaj, że jako przyjaciółka i kobieta będę trzymała jej stronę.
- Nie zamierzam z tobą zadzierać. Tylko mówię. – Jego ton złagodniał. Ostatnie, czego teraz pragnął, to pokłócić się z Nastką o Piotra.
- Odezwę się, jak będę wiedzieć coś nowego.
- Okej.

Norbert rozłączył się. Jechał powoli wąską szosą, rozglądając się uważnie – jeśli nie za postacią Piotrusia, to za czymkolwiek, co świadczyłoby o tym, że tu był. Nagle daleko przed sobą spostrzegł stojący przy drodze czarny samochód w typie limuzyny. Im bliżej niego był, tym bardziej pojazd wydawał się Norbertowi podejrzany. W końcu znalazł się w takiej odległości, żeby spostrzec, że auto stoi poza jezdnią, a jego przód wpasował się w pobliskie drzewo.

Gdy zaparkował obok, wystraszył się ogromu zniszczeń. Cały przód pojazdu zniknął zgnieciony przez potężną lipę, wszystkie poduszki powietrzne w środku były otwarte, a szyby roztrzaskały się w drobny mak. Nawet lusterka i drzwi zniekształciły się wskutek siły uderzenia. Norbert zaciągnął ręczny hamulec, zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Natychmiast uderzył go intensywny zapach, który doskonale znał. Piotruś. Był tu. Norbert podbiegł bliżej. Przerażony pomyślał, że chłopak uległ wypadkowi i teraz umiera uwięziony w środku lub – co gorsza – już nie żyje, zabity przez siłę uderzenia. A mógł, jak mówiła Nastka, przypilnować go, żeby wszedł do tego

głupiego autobusu i dotarł do miasta. Albo jeszcze lepiej – zostawić w spokoju dziewczyny i ich rozterki miłosne. Walcia nie była dla niego nikim bliskim. Nie miał powodu robić jej przysługi, a gdyby nie wywiózł chłopaka, być może ten by żył i był bezpieczny.

Dopadł samochodu i zaczął go obchodzić, zaglądając do środka. Przez rozbite na miliony kawałków, ale nadal trzymające się na folii szyby niewiele widział. Ciało w środku nie dostrzegł.

– Niech się pan nie martwi. Już wezwałem pomoc drogową – odezwał się ktoś zza wraku.

Norbert doskoczył do tylnego zderzaka i ruszył za głosem. Na zwalonym pniu, tuż na skraju zagajnika, siedział zakrwawiony mężczyzna. Do łuku brwiowego przykładał jakiś materiał i wyglądał na zmęczonego, ale całkiem przytomnego.

– To pana auto? – spytał Norbert.

– Tak.

– Co się stało? – zaciekawiał się chłopak.

– Sarna wyskoczyła na drogę i nie zdążyłem jej wyminąć – wyjaśnił spokojnie nieznajomy.

– Musiał pan nieźle gnać. Życie panu niemiłe?

– Przecież nie zrobiłem tego specjalnie. Ta sarna pojawiła się i czmychnęła tak szybko, że nawet jej zadka na odchodne nie było widać!

– A gdzie chłopak, który z panem był?

– Skąd pan wie? – zdziwił się mężczyzna.

– Nieważne, pytam, gdzie on jest. – Cierpliwość Norberta była na wykończeniu.

Mężczyzna zmierzył przybysza trzeźwym wzrokiem, ale zrezygnował z dalszego dociekania.

– Mówił, że mu się spieszy, więc zaproponowałem, że może iść dalej sam.

– Był w stanie iść?

– Nic specjalnego mu nie było. W sumie kilka zadrapań. – Wzruszył ramionami. – To tylko tak groźnie wygląda, te auta są niesamowicie bezpieczne, dlatego nimi jeżdżę.

– I gdzie poszedł? – Norbert naprowadził rozmowę na właściwe tory.

– Jakieś dwa kilometry stąd jest stacja kolejowa. Jeździ tam kolejka kilka razy dziennie. Proponowałem mu ścieżkę na przełaj, przez zagajnik, bo to bliżej, ale powiedział, że nie chce się znów zgubić, i poszedł drogą.

– Wysłał go pan na stację? – upewnił się Norbert.

– Tak, pan tutejszy?

– Ta stacja jest nieczynna od dwóch lat – zauważył.

– Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna. – No patrz pan.

– Dlaczego wysłał go pan na nieczynną stację kolejową?

– Jak Boga kocham, nie miałem pojęcia, że jest nieczynna. – Rozłożył bezradnie ręce. – Wie pan, ja jeżdżę tylko samochodem, więc nie ogarniam takich rzeczy, a chłopak upierał się, że musi się koniecznie dostać do Poznania.

– Poradzi pan sobie? – upewnił się jeszcze, zanim wrócił do samochodu.

– Tak, tak. Mówiłem, już wezwałem pomoc.

Norbert nie czekał. Wskoczył za kierownicę i z piskiem opon ruszył w stronę starego dworca.

22

Walcia schowała komórkę i westchnęła ciężko.

– Kłamać to ty nie umiesz za grosz – stwierdził kwaśno Antoni. – Muszę zapamiętać, jeśli kiedyś zależałoby od tego moje życie.

– Zebrało ci się na dowcipy – prychnęła Walcia rozeźlona.

Ona też uważała, że rozmowa z Nastką poszła jej raczej średnio, żeby nie powiedzieć – beznadziejnie. Jednak patrząc obiektywnie, nie skłamała. Nie czarowała, nie pakowała się w kłopoty, bo co to za problem, kiedy łazisz z zającem w prochowcu po mieście? W jakie niebezpieczeństwo można się w ten sposób wpakować? Jeśli już rozważać kwestię kłopotów, to Antoni miał ich zdecydowanie więcej. Nadal dźwięczały jej w uszach słowa Anny na temat przemiany. Czarodziej mógł pozostać w ciele zwierzęcia do końca życia, jeśli w porę nie zdąży zdjąć zaklęcia.

– Ile tak naprawdę zostało ci czasu? – spytała poważnie.

– Wystarczająco dużo.

– Jeśli nie chcesz, możesz nie mówić, ale zakładam, że ty sam jesteś świadom, co ci grozi przy tak lekceważącym zachowaniu. Nie boisz się, że źle oszacujesz swój czas?

Zając przechylił głowę i zastrzygł uszami, jakby się zastanawiał.

– Mniej więcej wiem – odparł szczerze, co zrobiło na dziewczynie równie duże wrażenie jak sam fakt, że oboje nie mieli pojęcia, kiedy muszą stawić się w pracowni. Groźba, że przegapią ostatni moment, była realna jak futro Antoniego.

– Na pewno nie chcesz najpierw zdjąć zaklęcia?

– I nadziać się na tych zbirów pod pracownią?

– Jeśli pójdziesz tam później, to i tak będą. Po prostu spotkasz ich w innym czasie.

– Ale będę o nich wiedział więcej. Na przykład dla kogo pracują.

– I to ma ci pomóc ich pokonać? – Walcia przechyliła głowę, dla niej to było zbyt skomplikowane.

– To może być kluczem do ich pokonania.

– To gdzie teraz idziemy? – spytała zrezygnowana.

- Nad rzekę – odparł bez wahania.
- Tam mieszka ta dziewczyna, która została napadnięta?
- Tak, w pobliżu.

Zając umościł się w torbie, wyciągając łapki na zewnątrz, w ten sposób łatwiej było mu obserwować mijanych ludzi, a robił to o wiele czujniej niż wcześniej.

Walcia wyszła z urzędu wojewódzkiego głównym wyjściem, dokładnie tą samą drogą, którą dotarła do biura Anny. Gdy mijała recepcję, zerknęła na siedzącą za szybą kobietę. Teraz wyglądała jak fanka dramatów romantycznych po weekendowym maratonie. Oczy i nos miała zapuchnięte, a ze stojącego obok pudełka – usłudźnie podsuwanego przez koleżankę – wyciągała co rusz nową chusteczkę. Walci zrobiło się jej trochę żal. W końcu kobieta była Bogu ducha winna, że miała uczulenie, a rudowłosa weszła z prawdziwym sierściuchem do budynku. Ciekawe, czy na futro z królików w zimie też tak reaguje – pomyślała dziewczyna, rezygnując z podchodzenia bliżej i przeproszenia za kłopot. Kolejna styczność z Antonim groziła recepcjonistce utratą wzroku i węchu na długie tygodnie.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Walcia dotarła do skrzyżowania i rozejrzała się odrobinę bezradnie. Bolały ją nogi od chodzenia i kark od ciężkiej torby na ramieniu. Poczwała się bardzo zmęczona i zniechęcona. Skręciła w boczną ulicę.

- Myślisz, że możemy przejechać się tramwajem? – spytała cicho.
- Żartujesz sobie? Ze mną w tym stanie?
- Mógłbyś udawać maskotkę, dobrze ci idzie – zaproponowała z nadzieją.
- Nie ma mowy. Tylko na piechotę – zaprotestował ostro.
- To może sam byś trochę pochodził? – odparła przekornie. – Jak na razie to jaśnie pan jest obnoszony po całym mieście i dla twojej informacji, powoli mam już dosyć tego chodzenia.
- Sama zaoferowałaś się z pomocą.
- Może i oferowałam pomoc, ale w kwestii odnalezienia twojej pracowni, a nie biegania po mieście wzdłuż i wszerz, jak jakaś szalona nastolatka szukająca wyprzedaży!

Zając zamyślił się na chwilę. Walcia czuła, jak jego lewa łapa porusza się nerwowo w torbie, jakby wystukiwał nią rytm.

– To co proponujesz? – odezwał się po chwili.
– Tramwaj, dojedziemy szybciej.
– Nie ma mowy. Nie chcę być zamknięty w tej puszcze.
– Antoni... Jestem zmęczona, głodna i spragniona. Jeśli nie przyspieszymy tej zabawy, to szybciej się zestarzeję, niż rozwiążemy sprawę, natomiast ty do końca świata będziesz skazany na marchew i sałatę, a najważniejszą kwestią życiową będzie dla ciebie prokreacja. Chcesz tego?

– Jeśli chodzi o jedzenie i picie, to gdy będziemy szli w stronę starówki, możemy kupić coś w kilku miejscach. Usiądziemy gdzieś i odpoczniemy, może być?

– I bez tramwaju? – zapytała zawiedziona.

– Bez.

Walcia odetchnęła głęboko. Zaliczyła właśnie kłótnię z zajęcem w prochowcu o jazdę tramwajem i czuła, że jej mózg lasuje się coraz bardziej. Jeśli czegoś nie zje i nie odpocznie, marnie skończy.

– Niech będzie.

Skręciła w alejkę prowadzącą w stronę starówki. Stare, wysokie kamienice sprawiały, że promienie słoneczne tu nie docierały. W cieniu było o wiele chłodniej i dziewczyna poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Próbowwała odwrócić swoją uwagę, rozglądając się wokół. Jedna z kamienic, narożna, miała elewację z czerwonej cegły, a kolejne kondygnacje podkreślały dekoracje z piaskowca. Walcia zastanawiała się, jak mieszka się w tak pięknym miejscu. Pewnie wnętrza muszą być równie ciekawe – pomyślała. Obok niej z turkotem przejechał tramwaj, a zaraz za nim pomknęły dwa auta. Natychmiast zweryfikowała swoje poglądy. Tu raczej się trudno mieszka – dywagowała – zwłaszcza jak człowiek ma lekki sen i łatwo się budzi. Pewnie można policzyć wszystkie nocne tramwaje. Do tego niedaleko znajdowała się starówka, więc i ludzi skorych do zabawy, a po nocy spitych jak nieboskie stworzenia, była cała masa. Musi tu być głośno jak na jarmarku, szczególnie w weekendy.

Przeniosła spojrzenie na następną kamienicę. Ta już nie była taka ładna. Miała skromniejszą elewację, w dziwnym seledynowym odcieniu. Kto wymyślił taki kolor? – zastanawiała się, mijając ją.

– Przestań się tak rozglądać, bo wzbudzasz zainteresowanie – szepnął zajęc z wyrzutem.

– A co, nie mogę zwiedzać?
– Wyglądasz, jakbyś pierwszy raz w życiu widziała miasto.
– Może tak jest? Co się przejmujesz ludźmi? – Wzruszyła ramionami.
– A ty się nie przejmujesz? – zapytał zaczepnie.
Walcia pomyślała nad odpowiedzią.
– Czasami się przejmuję, ale ćwiczę olewanie.
– Co?
– Olewanie – powtórzyła głośniej. – Jeśli ludziom nie podoba się to, co robię, a nie robię im krzywdy, należy ich zignorować. Wszystkich nie zadowolisz.
– Tak uważasz?
– Tak. Weźmy na przykład moją mamę. Będzie zadowolona tylko wtedy, gdy zostanę mężatką z gromadką dzieci, a ja nie chcę.
– Wcale? A co z tym chłopakiem, na którego zamierzasz rzucić urok?
– Nie wcale, tylko teraz, a Piotruś to mój chłopak.
– Na własnego chłopaka rucasz urok? – dociekał Antoni.
– Czy my musimy rozmawiać o mnie? – Walcia żałowała już od pierwszego słowa, że wybrała taki temat, ale im dalej brnęła, tym bardziej czuła się zestresowana. Przyspieszyła kroku.
– To ty zaczęłaś...
– I ja skończę – ucięła.
– Nie musisz salwować się ucieczką – zauważył.
– Dlaczego uważasz, że uciekam?
– Bo nawet nogami szybciej przebierasz, a prawda jest taka, że od rzeczywistości nie uda ci się uciec.
– Filozof od siedmiu boleści – mruknęła pod nosem, przewracając oczami.

Minęła wyższą szkołę plastyczną znajdującą się na narożniku ulicy. Przez wysokie, drewniane drzwi na szczycie schodów właśnie wychodziła spora grupka młodych ludzi. Większość z nich taszczyła wielkie, czarne teczki lub tuby przewieszane przez ramię. Rozmawiali ze sobą wesoło. Walcia zatrzymała się, przepuszczając towarzystwo. Nie chciała wmieszać się między nich. Jej obecność z Antonim mogłaby wywołać zamieszanie. Tym bardziej jeśli któraś z osób byłaby uczulona na sierść. Grupa skierowała się w stronę

centrum, więc dziewczyna zwolniła kroku, aby zwiększyć dystans. Mimochodem przysłuchiwała się ich rozmowom o zajęciach przygotowawczych na egzamin, które właśnie się skończyły. Obgadywali profesorów prowadzących, aż uszy wiodły, i tylko ogromną siłą woli Walcia zdołała się nie roześmiać przy kolejnych porównaniach. Po kilkuset metrach wleczenia się za studentami dotarła w pobliże starówki. Tu zamówiła w barze duży kebab w bułce, a dla zajęcia po namyśle wybrała sałatkę Cezara bez sosu i sera. Miała nadzieję, że zestaw warzyw będzie odpowiedni dla niego. Wystarczyło, że wypił już całą jej poranną kawę. Nie miała pojęcia, jak działa kofeina na zajęcia, może im szkodzi?

Z bułą w folii w jednej ręce i sałatką w drugiej oddaliła się w stronę pobliskiego skweru urządzonego wokół pozostałości po starych murach miasta. Tam rozsiadła się na wolnej ławeczce, podwinęła nogi i wypuściła Antoniego z torby.

Przez chwilę rozprostowywał łapy, rozglądając się wokół w zamyśleniu. Wysokie, ale przyszczyżone żywopłoty odgradzały ich w dużej mierze od spojrzeń przypadkowych przechodniów. Ścieżka, przy której usiadła dziewczyna, była pusta.

Walcia obserwowała swojego towarzysza z zaciekawieniem. Odkąd wyszli z urzędu, zachowywał się zupełnie inaczej. Był czujny i podejrzliwy. Wciąż rozglądał się na boki. Nie potrafiła ocenić, co go tak niepokoiło. Czy były to już objawy zmian, jakie zachodziły w jego umyśle, kiedy degradował się do sposobu myślenia prawdziwego zajęcia?

– Chodź, zjedz – zaproponowała w końcu. – Wzięłam sałatkę Cezara. Powinna ci smakować.

– Czy to dlatego, że jestem w tej postaci? – spytał z przekąsem, siadając obok i wyciągając liść sałaty z pudełka, które przed nim postawiła. Jego długie wąsy poruszały się na boki, kiedy wachał jedzenie. Nagle zaczął gryźć. Małymi kawałkami w błyskawicznym tempie. Słyszała, jak sałata chrupie pomiędzy potężnymi siekaczami skrytymi pod miękkimi wargami. Jego nos poruszał się równie szybko. Uśmiechnęła się mimo woli rozbawiona.

23

Sławomir Kopytko, zwany pieszczotliwie przez przyjaciół Sławko, a przez współpracowników, którzy mieli nieszczęście się z nim spotkać, panem Sławko, nerwowymi ruchami oklepywał sobie boki w poszukiwaniu zapalek. Znów je gdzieś musiał zapodziać, bo w żadnej kieszeni nie znalazł upragnionego pudełka. Zaklął cicho pod nosem. Trzeba będzie skoczyć do sklepu. Kupiłby od razu większą partię zapalek, gdyby nie fakt, że jakimś cudem udawało mu się zgubić każdy nadmiar w błyskawicznym tempie. Dlatego już dawno doszedł do wniosku, że kupowanie na zapas się nie opłaca. Nabywał więc za każdym razem jedno pudełko, po czym gubił je, kupował nowe i tak w kółko, po kilka razy w tygodniu, a czasami po dwa razy dziennie. Jak dziś. W końcu zaniechał poszukiwań, schował trzymanego do tej pory papierosa na powrót do opakowania i przeciągnął palcami po krótkich włosach na głowie.

Od jakiegoś czasu przeżywał zwątpienie co do tego, czy powinien pracować w zawodzie, który wybrał sobie ponad trzy dekady temu. Gdzieś słyszał, że to się nazywa wypalenie zawodowe i może się przydarzyć każdemu. Dlaczego więc nie jemu? Tym bardziej że od niedawna profil jego działalności drastycznie się zmienił. Kiedyś robił to, na czym znał się najlepiej. Ściągał haracze, straszył porządnych obywateli, brał udział w tak zwanych ustawkach, czasem pożyczął tym, których banki uznały za nieopłacalnych klientów. Dla Sławko każdy klient był opłacalny. Jeśli nie w złotych, to zawsze znajdowało się inne sposoby na „zwrot nakładów”, i to z procentem. Ostatnio jednak szef nawiązał współpracę z jakimś szemranym typem i od tej pory Sławko miewał koszmary, a praca przestała sprawiać mu radość jak kiedyś. Od kilku miesięcy do obowiązków jego i jego partnera doszło regularne włóczenie się po mieście z takim małym, dziwnym urządzeniem i namierzanie odpowiednich dziewczyn. Wedle instrukcji nadawały się tylko te, przy których urządzenie wydawało piskliwy dźwięk i mrugało światełkami. Więc chodził po mieście i szukał tych „piskających” dziewczuch. Później

napadał na nie i przywoził szefowi. Co ten robił z nimi dalej, Sławko wolał nie wiedzieć. Przynajmniej podczas zeznawania na policji nie będzie musiał kłamać.

– Sławko, co tu robisz? – usłyszał spokojny głos za swoimi plecami.

Z cienia klatki schodowej wyszedł Zbigniew Padło, jego partner od brudnej roboty i wieloletni przyjaciel. Poznali się, kiedy obaj jeszcze robili za młokosów próbujących udowodnić swoją wartość w gangu. Trudnili się wtedy kradzieżami kieszonkowymi. Teraz, po latach, obaj specjalizowali się w stręczycielstwie, wybierając tę dziedzinę jako najbardziej atrakcyjną spośród możliwych.

Zbinio był wysoki i dość szczupły, ale dopiero ci, co go nie doceniali, mieli okazję dowiedzieć się, że pod tą szczupłą sylwetką kryje się siła stalowych mięśni.

– Palę – odparł Sławko.

Padło zmarszczył powoli brwi, jakby słońce zaczęło go nagle razić. Sławko był w stanie przysiąc, że widzi na twarzy przyjaciela, jak jedna samotna myśl powoli przesuwana się z pustych czeluści umysłu i wędruje w dół przez jego klatkę piersiową, wątrobę, żołądek, jelito cienkie, a później błędzi w jelicie grubym, przedostaje się do nóg, wędruje przez kolana aż do pięt, po czym zawraca i pokonuje niespiesznie tę samą trasę. W końcu trafia do miejsca docelowego. Twarz Zbinia rozjaśniła się lekko.

– Przecież nie masz papierosa. – Wskazał długim paluchem na Sławko.

Kopytko lubił go, głównie dlatego, że na jego tle wypadwał na sprytnego i obrotnego, ale nigdy by się do tego faktu nikomu nie przyznał.

– Tak, bo zgubiłem zapałki.

Padło poklepał się po kieszeniach i wyciągnął pudełeczko. Podał je koledze po fachu.

Sławko musiał przyznać, że ta cecha też była przez niego lubiana. Niewiele było tych rzeczy, ale jednak kilka od biedy się znalazło. Z wdzięcznością oddał pudełko, kiedy wreszcie zapalił papierosa. Nikotyna zadziałała, zanim jeszcze znalazła się w organizmie. Poczł błogie rozluźnienie rozplywające się po ciele. Zaciągnął się mocno.

– Padło, Kopytko! – wydarł się ktoś nad ich głowami.

Sławko spojrział w górę, ale sprawcy zamieszania nie było widać w żadnym oknie wiekowej kamienicy. Zaklął cicho pod nosem, rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął go obcasem.

– Padło, Kopytko!

– Lepiej już chodźmy, szef nie jest w najlepszym humorze – rzekł spokojnie Zbinio.

– Zbieramy się. – Sławko wszedł do klatki i wspiął się na drugie piętro.

Odetchnął głęboko. Jego sporej wielkości tusza, którą wszędzie nosił ze sobą, sprawiała, że pokonanie tych dwóch wysokich – jak przystało na kamienicę – pięter przyprawiło go o poważną zadyszkę.

Zapukał do drzwi.

Wszedł do pomieszczenia przepelnionego wszystkim, co tylko dusza współczesnego człowieka mogła zapragnąć. Duży salon z obdrapanymi ścianami był jak magazyn dobrego sklepu z elektroniką i antykami.

Pośród tego wszystkiego kucnął jego szef i właśnie kończył połączenie. Schował komórkę do kieszeni tweedowej marynarki w kolorze khaki (który Sławko niezmiennie kojarzył się z odleżałym na trawniku gównem) i wyprostował się.

– Padło, Kopytko – odezwał się do swoich podwładnych. Lewa brew drżała mu nieznacznie, co mogło oznaczać tylko jedno: był wściekły. – Polecicie na miasto i znajdziecie jeszcze jedną.

– Przecież właśnie jedną przyprawiliśmy – odezwał się zdziwiony Sławko, wskazując odruchowo na drzwi do pokoju obok.

– Za mało. Potrzebna jest jeszcze jedna.

– Szefie, ktoś zacznie coś podejrzewać, jak będziemy je zgarniać tak często.

– To już nie nasz problem, zresztą sam widziałeś, niczego nie pamiętają.

– Ale myślę, że... – zaczął nieśmiało.

– Nie jesteś od myślenia – krzyknął szef – tylko od roboty, Kopytko!

– Tak jest – odparł machinalnie Sławko, czując, jak strach wzbiera w jego trzewiach, wykręcając żołądek.

– No to co tu jeszcze robisz? – spytał szef po chwili.

Sławko spojrział na niego cielecym wzrokiem, ale szybko się zreflektował.

– Już lecimy!

Wypchnął Zbinia na klatkę schodową i dopiero z dala od budynku, już na szerokiej i ruchliwej ulicy, gdzie nikt nie mógł go podsłuchać, pozwolił sobie na wiązaną przekleństw.

– Spokojnie, wszystko będzie w porządku – pocieszał go Zbinia.

Sławko wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiami dla rozładowania emocji.

– A mieliśmy kiedyś taką porządną robotę – warknął z żalem. – Obrabiało się w tygodniu po kilku ludków i zbierało kasę. Zwykły tradycyjny haracz, co komu to przeszkadzało?

– No wiesz... – westchnął Zbinia, zajmując miejsce obok. – Niektórym to trochę przeszkadzało – przyznał.

– Tylko tym, co nam byli winni kasę, a reszta nie miała zdania. I co to komu przeszkadzało, żebyśmy do emerytury tak dobili?

Kolega wydał usta, czekając, aż myśl przejdzie swoją tradycyjną trasę i dotrze do celu. Niecierpliwie Sławko kontynuował tyradę.

– A teraz, na starość, co nam przyszło? Porywamy jakieś dziewczyny prosto z ulicy, a oni wywożą je nie wiadomo gdzie. Zeszliśmy na psy, Zbinia. – Sławko pokręcił głową z rezygnacją.

– Może poprosić szefa, żeby pozwolił nam kogoś nastraszyć albo ściągnąć jakiś haracz? Poczujesz się lepiej – zaproponował kumpel.

Sławko spojrział na niego z wdzięcznością. Kochany Zbinia, zawsze z sercem na dłoni. Ach, gdyby mogli pracować jak kiedyś, tak po prostu. Świat byłby całkiem w porządku. Mężczyzna westchnął ciężko i uruchomił silnik. Samochód zawarczał cicho. Sławko wrzucił kierunkowskaz i włączył się do ruchu. Natychmiast wpakowali się w korek na długość kwartału. Stanęli w ogonku, nie mając najmniejszej możliwości ucieczki w bok. Wrzucił więc na jałowy bieg, podkręcił klasykę radiową, gdzie właśnie leciało „Jesteś szalona”, i odchylił głowę na oparcie. Zaczął zastanawiać się, gdzie powinni się udać. Dziś już polowali w północnej części miasta, trochę dalej od centrum. Tam złapali ostatnią ofiarę. Parę dni wcześniej znaleźli jedną dziewczynę na osiedlu trochę przypadkiem, kiedy zgarniali miesięczną opłatę od jednego z właścicieli okolicznych kiosków z warzywami. Tamta strona Poznania była więc na jakiś

czas spalona. Ludzie, a zwłaszcza młode kobiety, zrobili się czujniejsi, a może tylko mu się tak wydawało? W południowej części miasta dominowały rozległe osiedla mieszkalne, a oprócz tego znajdowało się tam kilka dużych kompleksów handlowych, ale była ona dość mocno oddalona. Sławko musiałby przebijać się przez prawie cały Poznań w największych korkach, a to zdecydowanie nie było mu na rękę. Im szybciej znajdą odpowiednią kandydatkę, tym lepiej. Chciał wreszcie mieć to z głowy. Za każdym razem obiecywał sobie, że ta będzie ostatnia, mając nadzieję, że szef zauważy wreszcie, jak kontrowersyjna i niebezpieczna jest ta robota, i odmówi zleceniodawcy. Jednak z tego, co Sławko widział, jego przełożony popadał tylko w większą frustrację, nie miał za to najmniejszej ochoty albo odwagi, by zrezygnować ze zlecenia.

Im bliżej zatem, tym lepiej, ale musi to być miejsce, gdzie przebywa dość dużo ludzi. Bez tego nie mieli szans na znalezienie odpowiedniej osoby. Po kilku miesiącach polowań już wiedział, że spotkanie dziewczyny, na którą zareaguje dziwne czarne pudełko, wcale nie jest takie łatwe. Za pierwszym razem szukali dwa dni, zanim coś się zadziało. Na większość kobiet urządzenie pozostawało zupełnie obojętne.

Centrum. Tak, tam na pewno będzie sporo ludzi zwabionych ładną pogodą, może nawet trafi się jakaś turystka, której nikt nie będzie szukał, i zyskają więcej czasu.

– Jedziemy do centrum – rzucił do Zbinia.

– Doskonale – ucieszył się Padło, choć tak po prawdzie dla niego było to całkowicie bez różnicy. Pojechałby z radością nawet na stację benzynową, jeśli partner twierdziłby, że tam znajdą obiekt swoich zainteresowań.

Sławko pocieszył się myślą, że przynajmniej nigdy nie zdarzyło mu się nawet wejść w polemikę ze Zbinem, a co dopiero się z nim pokłócić. To w sumie był kolejny pozytywny aspekt jego pracy. Wrzucił bieg i przygotował się do jazdy, bo w oddali zapaliło się zielone światło.

Z cierpliwością godną taksówkarza, któremu niezależnie od pokonanych kilometrów tyka licznik, w końcu przejechali zablokowany odcinek i wydostali się na odrobinę mniej obleganą trasę. Tam skręcili i bocznymi, osiedlowymi uliczkami, byle tylko

uniknąć korków, przemieścili się bliżej centrum. Kopytko znalazł miejsce do parkowania. Warunkiem powodzenia ich zadania było to, aby nie rzucać się w oczy, więc opłacił grzecznie parkowanie za pomocą aplikacji w telefonie. W końcu mogli wysiąść.

Przeciągnął się i rozejrzał z zaciekawieniem. Wokół nich kręciło się mnóstwo ludzi. Z zadowoleniem stwierdził, że wybrał odpowiednie miejsce. Wyciągnął z kieszeni niewielkie czarne pudełko, które dostał podczas swojego pierwszego zadania. Właściwie niczym nie różniło się od powerbanku, jaki miał w domu do ładowania telefonu, z tą różnicą, że gdy namierzyli odpowiednią dziewczynę, na górze urządzenia pojawiał się biały pasek skali. Dzięki temu nie zwracali na siebie szczególnej uwagi. Byli jak setki innych przemierzających ulicę osób.

Sławko obrócił urządzenie wokół siebie, ale nic się nie zmieniło. Nie tracił jednak nadziei. Nie łudził się, że spotkają właściwą dziewczynę od razu po zaparkowaniu. To by było zbyt proste. Wskazał kierunek przyjacielowi i ruszył przed siebie. Szli spacerowym krokiem w stronę niewielkiego rynku w pobliżu starówki. Miał nadzieję, że tam znajdzie więcej turystów i potencjalny cel. Wpatrzony w urządzenie nie zwracał uwagi na nic więcej. Zbinio kroczył powoli obok niego, sygnalizując jedynie koledze, kiedy musieli zatrzymać się na czerwonym świetle na pasach. Wtedy chwycił Sławko w stalowe kleszcze swoich palców. Kopytko był pewien, że jak wróci do domu i zdejmie kurtkę oraz bluzę, zobaczy na ramieniu krwawe wybroczyny. Siła Padły była niesamowita, a jednocześnie on sam chyba nie bardzo zdawał sobie sprawę ze swych możliwości. Sławko przyzwyczyił się już do kłopotliwych sytuacji jak ta obecna. Albo do urwanych klamek w samochodzie, jeśli nie zdążył odblokować zamka, zanim tamten spróbował otworzyć drzwi.

– I jak? – spytał spokojnie Zbinio, kiedy zatrzymali się na kolejnym przejściu dla pieszych.

– Na razie nic z tego. Cisza.

– Może rynek? – zaproponował kolega po chwili namysłu.

– Możemy tam iść, ale będzie trzeba śledzić ją, jeśli tam jest. Nie złapiemy jej, jak będzie w tłumie.

– Pod latarnią najciemniej – rzucił filozoficznie Zbinio.

– Akurat pod latarnią to byśmy mogli ją zgarnąć bez skrpułów i nikt by się nie zorientował – stwierdził kwaśno Sławko. – Tu trzeba więcej finezji. Nikt nie może się połapać, że zniknęła, póki nie podrzucimy jej gdzieś i nie odzyska przytomności.

– To co proponujesz? – zapytał Padło, ruszając na zielonym świetle.

– Poczekamy na okazję.

– Czyli starówka.

– Idziemy.

Przeszli pomiędzy straganami na niewielkim placu, starając się objąć pomiarem czarnego pudełka jak największy obszar.

Nic. Urządzenie pozostawało całkowicie martwe.

Oddalili się od ryneczku i skierowali w pobliże starówki. Już z daleka słyhać było wołanie dzieci bawiących się na głównym placu. Mieli tylko nadzieję, że ich ofiarą nie okaże się jakaś licealistka czy dziewczynka z podstawówki. Oddzielenie jej od grupy byłoby niemożliwe.

– Ty, patrz! – Zbinio wskazał w stronę niewielkiego skweru, który właśnie mijali. Sławko wreszcie oderwał wzrok od pudełka w ręce i spojrzał w tym kierunku. Na parkowej ławce siedziała młoda, dwudziestoparoletnia dziewczyna, a za jej plecami rosły wysokie krzewy zieleniące się świeżymi liśćmi. Sławko musiał przyznać, że robiła wrażenie. Nie tyle tuszą, choć tu i ówdzie było za co chwycić. Wzrok każdego, kto na nią spojrzał, przyciągała burza poskręcanych, rudych włosów.

– Ta musi być odpowiednia – szepnął Sławko w podnieceniu i skierował radar w jej stronę.

– Dlaczego tak sądzisz? – zdziwił się Zbinio, który wcale nie dziewczynę miał na myśli w pierwszej chwili, ale chowającego się za nią wielkiego, żywego zająca w prochowcu. Widział go tylko przez moment, bo zwierzę siedziało po drugiej stronie i rudowłosa je zasłaniała, ale przysięgłby, że był to zając w płaszczu.

– No tylko popatrz na nią. – Sławko zatoczył ręką szerokie koło wokół siebie ze wskazaniem na dziewczynę. – Przecież jest ruda – wyjaśnił, gdy Padło patrzył na niego z uprzejmym niezrozumieniem.

– Ty uważasz, że wszystkie rude to odpowiednie.

– Wcale nie – zaprzeczył szybko Sławko. – Czarne też mają potencjał – przyznał.

– To bardzo... subiektywne.

– Sam zobacz. Ile z tych, które znaleźliśmy dla szefa, było blondynkami na przykład? Za to trzy były rude, a pięć czarnych. Każda czarna i ruda może być naszym celem.

– To szowinistyczne podejście – ocenił Zbinio.

– Feminista się znalazł – fuknął Sławko, po czym się zreflektował. – No dobra, nie każda, twoja żona, dajmy na to, nie jest.

– Kim nie jest? – spytał wysoki zbir.

– Odpowiednia nie jest.

– Właściwie nie wiemy, nie sprawdzaliśmy tym urządzeniem – odparł po krótkim namyśle Zbinio, przez co Sławko na chwilę zapomniał, jakie ma zadanie. Wpatrywał się w Padłę, próbując ogarnąć kontekst rozmowy.

– Chciałbyś... – wydukał powoli. – Chciałbyś, żeby okazała się odpowiednia do naszego zadania?

Partner wzruszył ramionami.

Sławko powoli pokręcił głową, jakby próbował z niej wyrzucić niektóre myśli. Wiedział, że żona Zbinia jest zapaloną feministką, a po latach małżeństwa Padło ze swoją uległą naturą przesiąkł jej poglądami jak ścierka leżąca pod kąpiącym grzejnikiem. Swoimi wypowiedziami często zaskakiwał Sławko, który zwyczajnie w takich chwilach zapominał języka w gębie. Jednak może Zbinio chciał się jej pozbyć? Marzył o tym, żeby straciła pamięć i zniknęła. Poczuł, solidarność z przyjacielem. Powinni sprawdzić jego żonę przy najbliższej okazji.

– To co, zabieramy ją? – zapytał Zbinio.

Sławko jeszcze raz skierował na dziewczynę radar. Światelko na skali rozbłysło, zrobiło „ziuu” i wesoło zamrugalo na końcu paska, wydając jeden wysoki dźwięk.

– Wychodzi poza skalę – szepnął Kopytko. – Ale nam się trafiła gratka. Prawdziwy los na loterii. Ma o wiele lepszy odczyt niż ta wcześniejsza.

– Czyli zabieramy.

– Nie teraz – powstrzymał go kumpel.

Rozejrzał się bacznie wokół. Na razie nikt nie zwrócił na nich większej uwagi. Może z wyjątkiem kwiaciarki, której stoisko znajdowało się najdalej na ryneczku.

Znudzona bezczynnością i brakiem klientów, stała teraz przed swoim straganem i wpatrywała się z zaciekawieniem w dwóch mężczyzn, którzy analizowali coś w urządzeniu wyglądającym jak stara nokia – pamiętała jeszcze takie z czasów dzieciństwa. Wydawali się przy tym bardzo poruszeni. Gdy jeden z nich wskazał w stronę ławki na skwerze, kobieta zmrużyła oczy. Ich zachowanie zaczynało budzić w niej podejrzenia.

Sławko natychmiast poznał to spojrzenie. Widywał je wystarczająco często w życiu. Zwykle w oczach matki, własnej dziewczyny, a czasem też policji spisującej go za naruszenie miru domowego czy spokoju na ulicy. Najlepsze były w tym spojrzeniu sąsiadki wszelkiej maści, które całymi dniami czatowały przy drzwiach lub w oknach setek klatek schodowych w różnych miastach. One miały opanowany ten gest do perfekcji. Sławko znał go we wszystkich możliwych wydaniach.

– Chodź, musimy się na chwilę ulotnić – mruknął do Zbinia. – Mamy obserwatorów.

Ruszyli ulicą w stronę starówki spokojnym, spacerowym krokiem. Skręcili w najbliższą uliczkę i skryli się za narożnikiem. Stąd mieli doskonały widok na skwer i trochę gorszy na rudowłosą dziewczynę. Za to kwiaciarka zniknęła za murem i nie miała możliwości dalszego ich obserwowania.

– To co teraz? – odezwał się Padło.

– Czekamy. Jak się ruszy, pójdziemy za nią i znajdziemy odpowiedni moment. Gdzieś, gdzie będzie mniej wścibskich ludzi. – Sławko schował urządzenie do kieszeni kurtki i oparł się o mur. Wzrok utkwiał w czubku rudej czupryny, który wystawał zza równo przystrzyżonych krzewów na skwerze.

24

Walcia zgmiotła folię po jedzeniu i rozejrzała się za koszem na śmieci. Nigdzie w pobliżu nie widziała takowego. Westchnęła ciężko, zamierzając schować papier do kieszeni. Po posiłku poczuła się odrobinę lepiej i z pewnością o wiele spokojniejsza. Potrzebowała tego. Dzień obfitował w dostateczną liczbę nietypowych zdarzeń, by zapomniała o porannym kacu, a zaczęła odczuwać fizyczne zmęczenie. Zastanawiała się, jak długo to potrwa. Z pewnością musieli się jeszcze spotkać z tą dziewczyną, której adres pamiętał Antoni, ale co potem? Czy ona wyjaśni wszystko i po rozmowie będą wiedzieli, kto zaatakował mężczyznę? Nawet jeśli przyjął optymistyczną wersję, że tak będzie, to co dalej? Walcia wątpiła, że Antoni po poznaniu tożsamości sprawców da się bez sprzeciwu zaciągnąć do swojej pracowni i zdejmie z siebie zakłęcie, a później spokojnie pójdą na policję wszystko zgłosić. Trochę zaczęła żałować, że nie zapytała Anny o jego pracownię. W razie czego mogłaby go tam zaciągnąć, a tak istniało niebezpieczeństwo, że zając zapomni adresu, gdy czas przemiany będzie już blisko.

– Gdzie znajduje się twoja pracownia? – spytała w nadziei, że Antoni przypomnił sobie szczegóły i zechce się nimi podzielić.

– Dlaczego pytasz?

– Chcę wiedzieć na wypadek, gdybym musiała cię tam zanieść, jak będziesz tracił siebie.

– Kapusta w piecu! – wykrzyknął zając, po czym wyprostował się, jakby sam się zdziwił własnymi słowami. Po chwili zgarbił się zrezygnowany. Znów nie panował nad odruchami. Czas graniczny przemiany był coraz bliżej. – Na Mostowej w pobliżu muzeum. Taki stary budynek bez elewacji. Wejście jest od podwórza, tam nie ma numeru. Właściwie prawie nikt tam już nie mieszka – wyznał odrobinę niechętnie.

Walcia kiwnęła głową. Tak jak podejrzewała, Antoni nie chciał wcześniej podzielić się z nią tą informacją, być może dlatego, że obawiał się zmuszenia go do przemiany, a on miał najwyraźniej inny

plan. Nie zamierzała mu w tym przeszkadzać, ale wolała się zabezpieczyć. Zastanowiła się, próbując przypomnieć sobie, jak wygląda wspomniana kamienica.

– Bliżej kościoła? – upewniła się.

– Tak.

– To chyba wiem, gdzie to jest – przytaknęła.

Antoni poruszył niespokojnie wąsami.

– Ruszajmy już. Nie zapominajmy, że mamy jeszcze coś do załatwienia.

Dziewczyna zabrała pudełko po sałatce i podstawiała zajęcowi torbę. Niechętnie wpakował się do środka. Umościł się możliwie najwygodniej, tak by widzieć, gdzie zmierza Walcia. Planował ją prowadzić, gdyby adres ofiary nie był jej znany. Antoni szczyił się tym, że znał miasto jak własną kieszeń. Nie było w nim przestrzeni, która byłaby mu obca. Nie tylko dlatego, że tu się urodził, wychował i całe życie spędził w granicach Poznania. Ba, nawet od lat z niego nie wyjeżdżał. Uważał, że wszystko, czego potrzebuje, może znaleźć tutaj. Znał też miejsca, których nie widzieli i o których nie słyszeli inni. Miejsca magiczne, gdzie wpuszczani są tylko Nieludzie o naturze tak pokrętej i nienaturalnej, jaka się nie śniła większości mieszkańców, w tym też towarzyszącej mu dziwnej, rudowłosej dziewczynie.

– Musimy skręcić w lewo, a później w następny kwartał, do głównej ulicy. Ominiemy starówkę – poinstruował ją.

– Jak uważasz – odparła lekko, jakby jego wskazówki nie były jej potrzebne.

– Wiesz, gdzie iść?

– Orientuję się. – Wzruszyła ramionami.

– Urodziłaś się w Poznaniu?

– Nie, jestem przyjezdna. Przeprowadziłam się tu na studia.

– I pewnie uważasz, że znasz miasto lepiej ode mnie – prychnął lekceważąco, zakładając łapy na piersi.

– Potrafię się po nim poruszać – powiedziała ostrożnie, ważąc słowa. Nie chciała urazić zajęcia, a czuła, że on z jakiegoś powodu szuka z nią zwady.

– Pani wszystkowiedząca?

– Po prostu mieszkałam niedaleko na pierwszym roku, a wiesz... – Walcia uśmiechnęła się i puściła do niego oko. – Pierwszy rok nie jest do nauki.

– A do czego? – zaciekawiał się.

– Do zabawy i żeby poznać miasto. Zwłaszcza nocą.

– W lewo! – przypomniał jej.

Dziewczyna skręciła za róg, w wąską, jednokierunkową uliczkę. Z ledwością mieściła się tu jezdnia i wąski pas chodnika. Stara zabudowa napierała z obu stron, jakby się nad nimi pochylała.

Nie zdążyła zrobić kilku kroków, kiedy poczuła, że ktoś ciągnie ją za ramię do tyłu. Zachwiała się, tracąc rytm w marszu.

– Dzień dobry – przywitał się niewysoki, krępy mężczyzna w czarnej kurtce. Wodniste oczy biegały czujnie na wszystkie strony.

– Proszę mnie puścić – zażądała Walcia.

– Szukam pewnej ulicy. Może mi pani pomóc? – nie ustępował. – Z kolegą się chyba zgubiliśmy. – Spojrzał wymownie za siebie.

Dziewczyna podążyła wzrokiem za nim. Z tyłu stał wysoki, szczupły, wręcz żyłasty mężczyzna o ciemnych, dłuższych włosach i bardzo spokojnym wyrazie twarzy. Skojarzył się jej z leniwcem, który porusza się tak wolno, że prawie niewidocznie. Jednocześnie wydawał się o wiele bardziej niebezpieczny niż trzymający ją kolega.

– Wysłucham pana, ale proszę mnie puścić.

– Może pani zaprowadzić nas na rynek? Zostawiliśmy tam samochód, a musimy już wracać.

– To niedaleko, o tam. – Wskazała za nich palcem. – Proszę tam iść, to na pewno panowie trafią.

– A może nas pani zaprowadzić? – nalegał mężczyzna. – Nie chcemy się zgubić. – Uśmiechnął się do niej.

Każda komórka w ciele Walci krzyczała, że ta para jest podejrzana, a jednocześnie dziewczyna czuła, jak strach zaczyna paraliżować jej ruchy. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, z pewnością skończy się to źle. Spróbowała wyrwać ramię, ale tamten ścisnął ją boleśnie. Syknęła.

– Nie daj się prosić – rzekł już mniej przyjaźnie, przechodząc na bardziej poufalej ton.

– Oczywiście... – zaczęła Walcia, po czym ruszyła w jego stronę. Na twarzy mężczyzny znów pojawił się uśmiech. Na ten moment

czekała. Pchnęła go z całej siły, po czym wyrwała się, kiedy obaj stracili równowagę. Odwróciła się na pięcie i puściła biegiem, ściskając przy ciele torbę z zającem.

– Wracaj tu, gówniaro! – wrzasnął za nią Sławko.

Zerwał się na równe nogi i ruszył w pogoń. Rudowłosa wyprzedzała go o pół długości uliczki, ale dystans szybko się zmniejszał.

– W lewo! – zawołał Antoni. – Wypuść mnie!

– Ale... – Skręciła we wskazanym kierunku. W ostatniej chwili obróciła jeszcze głowę i kątem oka spostrzegła, że obaj mężczyźni już ją gonili. O dziwo, wysoki był nawet szybszy od tego, który z nią rozmawiał.

– Wypuść! – zażądał zając. – Tylko cię spowalnię.

Walcia w biegu puściła jedno ucho torby. Poczowała silne uderzenie w bok, aż zaparło jej na ułamek sekundy dech, gdy Antoni wybił się i wyskoczył na ulicę. Błyskawicznie pomknął przed siebie, jakby gonił go sam diabeł.

– Za mną – zdążył jeszcze rzucić.

Dziewczyna zmobilizowała resztki sił, starając się przyspieszyć. Nigdy nie była wysportowana i teraz dodatkowo żałowała, że nie skorzystała z propozycji Piotrusia, by razem biegali dwa razy w tygodniu. Woląca wylegiwać się z nim na kanapie, niż mordować się w parku. Kto to w ogóle widział biegać w takim miejscu? – zastanawiała się. – Park jest do spacerów, podziwiania przyrody, relaksu. Relaks-smeraks, teraz by jej się to przydało.

– Tutaj! – zawołał zając i wystrzelił w bok. Walcia, dysząc ciężko, wypadła za nim na jedną z głównych ulic Poznania, które przecinały starą zabudowę.

Antoni odbił jeszcze raz w bok, między stojące przy chodniku samochody. Na moment straciła go z oczu. Później usłyszała trąbienie i pisk opon. Zając przecinał w trzech susach dwupasmową jezdnię. Rzuciła się za nim, korzystając z tego, że samochody zatrzymały się na skutek niespodziewanego wtargnięcia zwierzaka. Wskoczyła na chodnik po drugiej stronie, próbując ignorować wściekłe, rzucane pod jej adresem epitety.

Zaraz za nią z uliczki wypadło dwóch mężczyzn. Mocno już zziębnięci, nie zamierzali w żadnym stopniu odpuścić. Dystans

zmniejszający się na prostej drodze teraz powiększył się nieco, gdy zaskoczył ich widok ruszających samochodów. Zanim zorientowali się, że Walcia przebiegła na drugą stronę, ona zyskała jeszcze kilkadziesiąt metrów. Siłą utorowali sobie drogę pośród znów trąbiących aut i dostali się na przeciwległy chodnik.

– W prawo! – zawołał Antoni, znikając dziewczynie z oczu.

Wbiegła w następną uliczkę i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak zając wskakuje w ciemną plamę. W pierwszej chwili myślała, że to brama, ale okazała się o wiele niższa i zlokalizowana kilka metrów dalej niż przejazd. Walcia przyspieszyła, po czym wpadła w to samo przejście i nagle straciła grunt pod nogami. Ciemna przestrzeń okazała się zejściem do piwnicy, które kiedyś przerobiono na lokal mieszkalny. Teraz – zamknięty na głucho – ział pustką. Rudowłosa zawadziła o stopień i poczuła, jak boleśnie zdiera sobie skórę na kostce. Wpadła na zamknięte drzwi i zamarła, kuląc się w schronieniu, jakie dawała ciemność.

Mężczyźni wypadli z za rogu i zatrzymali się skonsternowani. Sławko był pewien, że zmęczona dziewczyna nie mogła przebiec długiego odcinka tak szybko. Dostrzegł uchyloną bramę kamienicy prowadzącą na podwórko. Doskonałe miejsce, gdzie mogła na chwilę zniknąć.

– Tu! – Pokazał Zbiniowi kierunek, po czym obaj wpadli do bramy, odchylił metalowe skrzydło i odrobinę zwolnili, żeby nie przegapić dziewczyny w ciemności przejścia.

– Musi tu być, uważaj – zawołał do towarzysza, rozglądając się czujnie.

Podwórko pełne było starych samochodów porozstawianych jak popadło, za to w możliwie największej liczbie. Dziewczyna mogła skryć się za każdym z nich. Wskazał ruchem ręki, aby Padło szedł jedną stroną, a on pójdzie drugą – i tak zrobili. Powoli i jak najciszej obchodzili kolejne pojazdy. Zajrzeli nawet do śmietnika zbudowanego ze starych pustaków i kawałka blachy. Zapadająca w tym miejscu o wiele szybciej szarówka tylko pogarszała sytuację. Tak czy inaczej, rudowłosej nie mogli znaleźć. Spotkali się po chwili po drugiej stronie podwórka, zdyszani po długim biegu i zrezygnowani.

– Nie ma jej tu – stwierdził Zbinio.

– Przecież się nie rozpuściła – warknął zdezorientowany Sławko. Był pewien swojej teorii, być może jednak weszła do innej bramy, na inne podwórko?

– Co teraz?

– Spróbujemy poszukać jej w okolicy, może nam się poszczęści.

– A to pudełko nie pokaże chociaż kierunku?

Zbinio wskazał głową w stronę kieszeni Sławko. Mężczyzna wyciągnął radar i włączył go. Przez chwilę obracał w tę i z powrotem, ale na wyświetlaczu nic się nie ruszyło.

– Może nie tu, tylko spróbować na ulicy – zaproponował partner.

Wyszli z podwórka i odruchowo się rozejrzeli. Kilka osób wędrowało chodnikiem, ale żadna nie była ich uciekinierką.

Sławko skupił się na odczytach. Powoli przesunął urządzenie od jednego krańca ulicy, skąd przyszli, do drugiego, gdzie zmierzała dziewczyna, zanim im zniknęła. Nic.

Gdy już miał zrezygnować, urządzenie zahaczyło o kamienicę i coś drgnęło. Na wykrywaczu mrugnęła pojedyncza dioda i natychmiast zgasła. Sławko podniósł zdziwiony wzrok. Przed nim ziała czarna pustka. Dopiero po chwili zorientował się, że nie jest to okno, tylko zejście do suterenu.

To też dobre miejsce na schowanie się – pomyślał.

25

Walcia była pewna, że serce za chwilę wyskoczy jej przez gardło, nie potrafiła tylko zdecydować się, czy winą obarczyć zmęczenie, czy strach. W końcu doszła do wniosku, że oba czynniki odegrały równie ważną rolę. Z tą satysfakcjonującą myślą wyprostowała się i złapała głębszy oddech.

Antoni wychylił nos z ciemności i poruszył niespokojnie wąsami.

– Weszli w bramę, idziemy, zanim wrócą! – zawołał cicho do dziewczyny i wyskoczył na chodnik. – Pospiesz się, bo nas złapią – ponaglał ją, stojąc kilka metrów dalej i machając na zachętę łapką.

– Daj mi chwilę, ja już nie mogę. Kto to był?

Ruszyła ponownie za zającem marszowym krokiem.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– To nie byli ludzie, którzy cię zaatakowali? Byłam pewna, że to oni. – Walcia nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

Antoni zamyślił się na chwilę. Próbował przypomnieć sobie tych, którzy ścigali go prawie dwa tygodnie temu w zoo. Prawda była taka, że dokładnie widział tylko ich przywódcę, i to przez ułamek sekundy, gdy zaatakował czarami jego twarz, ale po tylu dniach wszystko zacierało się w jego pamięci. Ubytki we wspomnieniach mogły też być spowodowane powolną zmianą w prawdziwego zająca.

– Raczej nie... Nie sądzę... – odparł w końcu z wahaniem. Kicał jeszcze kilka metrów, aż wreszcie zatrzymał się. Stał słupka i rozejrzał się. – To tu.

Weszli w uliczkę biegnącą pod górę lekkim łukiem. Stały przy niej dwa nowe, wysokie budynki mieszkalne.

– Jesteś pewien? – Dziewczyna zadarła głowę, żeby przyjrzeć się elewacji. Była nowoczesna, skąpa w detale, za to dużą jej część pokrywało drewno ocieplające wygląd ścian.

– A dlaczego nie?

– Nie wiem, wydawało mi się, że czarownica będzie mieszkała w czymś... – Szukała odpowiedniego słowa.

– Czymś starszym? – podsunął. – Myślałaś o starej, rozpadającej się ruderze czy od razu o chatce na kurzej nóżce?

Walcia rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie, które zignorował.

– Myślisz, że wszystkie czarownice są biedne?

– Nie – przyznała. – Właściwie nie wiem, co myślałam. Ty mieszkasz w takim budynku – zauważyła.

– Nie mieszkam, tylko pracuję – poprawił ją.

– A gdzie mieszkasz? – spytała szczerze zaciekawiona.

– Nie twoja sprawa – fuknął i natychmiast pożałował swoich słów na widok jej wyrazu twarzy.

– Nie musisz być taki obcesowy – odparła smutno. – Nie chciałam być wścibska.

– Przepraszam, to odruch – burknął zawstydzony. – Może kiedyś ci pokażę, gdzie mieszkam, jeśli nadarzy się okazja.

– A dlaczego miałyby się nie nadarzyć?

– Jak skończę w ciele zająca, to z pewnością nie będę pamiętał, gdzie mieszkam.

Chciał ją rozbawić, ale przez oblicze Walci przemknął cień. Patrzyła na niego poważnie, jakby te słowa zraniły ją do żywego o wiele bardziej niż poprzednie. Przyspieszyła kroku i spuściła głowę. Nie miała ochoty dłużej rozmawiać. Antoni patrzył na oddalające się od niego plecy i zrobiło mu się smutno. Po raz pierwszy od bardzo dawna poznał kogoś, kto nie traktował go jak szaleńca ani nie chciał wykorzystać. Zamiast tego dziewczyna była żywo zainteresowana jego losem. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz ktoś zapytał go, jak się ma. Nawet Anna zwykle nie okazywała tak głębokich uczuć i mocno się zdziwił, gdy poruszyła ją informacja, że może nie zdążyć odwrócić zaklęcia.

– Walentyno, zaczekaj! – zawołał za nią. – To ta klatka.

Zawróciła bez słowa. Podeszła bliżej i przyjrzała się drzwiom.

– Zamek cyfrowy, nie dostaniemy się do środka. – Rozejrzała się wokół. – Nie ma żadnej listy mieszkańców. Które mieszkanie?

– Dwunastka.

Rudowłosa podeszła do świecącego na niebiesko panelu z cyframi, uniosła dłoń i zatrzymała się w pół drogi.

– Co ja mam jej powiedzieć? – spytała niepewnie.

– Jak to?

– Mam jej powiedzieć, że przyszliśmy ją przesłuchać? Na jakiej podstawie? – wyjaśniła swoje obawy.

– Chcemy złapać tych, którzy ją zaatakowali. To nie wystarczy?

– Przeżyła ciężkie chwile, może wcale nie chce o tym rozmawiać, tym bardziej jeśli do tej pory sama się nie zgłosiła.

– Podsadź mnie i wybierz numer, sam z nią porozmawiam – zakomenderował.

Walcia wykonała to, o co prosił. Wzięła zająca na ręce i przytrzymała go jedną dłonią, a drugą wybrała cyfry. Rozległ się charakterystyczny terkotliwy dźwięk. Czekali w napięciu na to, kto odezwie się po drugiej stronie. Już stracili nadzieję, że ktokolwiek jest w domu, gdy usłyszeli trzask.

– Słucham? – W głośniku rozległ się damski głos.

– Dzień dobry, nazywam się Antoni Zajac. Czy rozmawiam z Kariną Płuską?

– Tak, słucham. – Ton dziewczyny w domofonie stał się lekko zniecierpliwiony.

– Chciałbym zadać ci kilka pytań w sprawie wydarzenia sprzed kilku dni.

Przez chwilę trwała cisza. Walcia zaczęła się zastanawiać, czy Karina nie odłożyła słuchawki. W końcu jednak się odezwała.

– Kim jesteś? Jesteś z policji?

– Nie – odparł łagodnie. – Jestem z Rodziny. Zajmuję się sprawą zaniku magii u czarownic.

– Wejdz, trzecie piętro – odpowiedziała, po czym usłyszeli trzask. Sekundę później drzwi odblokowały się. Walcia puściła zająca i otworzyła. Weszli do środka. Nie skorzystali z windy, tylko poszli schodami. Rudowłosa rozglądała się zaciekawiona. Wnętrze klatki było równie bogato zdobione drewnem co elewacja. Dwa kolory, białe i wiśniowe, królowały na ścianach, dając wrażenie ciepła. Mogłabym w takim miejscu zamieszkać – uznała po chwili namysłu, po czym wróciła do rzeczywistości.

Weszli na trzecie piętro i odnaleźli właściwe mieszkanie. Walcia nacisnęła dzwonek. Rozległ się metaliczny dźwięk, żadnych kurantów czy melodyjek. Usłyszeli kroki, po chwili drzwi się otworzyły. Dziewczyna była wzrostu Walci, ale o wiele drobniejszej

budowy, długie do pasa włosy miała w mysim kolorze. Jej brązowe oczy wyrażały zdziwienie na widok nieznajomej.

– Przepraszam, ale... myślałam, że rozmawiam z mężczyzną – wydukała niepewnie.

– To ze mną rozmawiałaś – odezwał się Antoni.

Dziewczyna obniżyła wzrok i tym razem wytrzeszczyła oczy. Przez chwilę stała, próbując zrozumieć, co widzi. Walcia i zając czekali, aż przetrzeźwi informacje. Wreszcie ją odblokowało.

– Szalony Szarak – powiedziała nadspodziewanie spokojnie. Ramiona jej opadły w geście rezygnacji. – Słyszałam, że interesujesz się dziwnymi przypadkami wśród magicznych, ale nie myślałam, że przyjdiesz do mnie.

– Możemy wejść?

– Kim jest ta dziewczyna?

– To... – zawahał się na ułamek sekundy – moja asystentka, pomaga mi.

– Walentyna Pączek – przedstawiła się rudowłosa i obdarzyła gospodynię najuprzejmiejszym z uśmiechów, na jaki było ją stać w tej sytuacji.

– Wejdźcie. Tylko załatwmy to szybko.

Antoni przekroczył próg mieszkania, kicając, a Walcia podążyła za nim.

– Dlaczego musimy się spieszyć? – spytał, szczerze zaintrygowany. Karina wskazała im salon.

– Bo niedługo wróci mój chłopak, chcę, żebyśmy skończyli, zanim to się stanie.

– Nie jest z Rodziny?

– Jest. – Karina usiadła na fotelu, wskazując Walci szeroką kanapę. – Ale nie chce, żebym do tego wracała, uważa, że za bardzo mnie to stresuje.

– A ty chcesz do tego wrócić?

– Chcę, żeby ktoś ich złapał i żeby zapłacili za to, co mi zrobili. – W jej oczach zapaliły się ogniki nienawiści, głos nabrał siły.

– Też tego chcę – zapewnił Antoni. – Powiesz mi, co ci zrobili?

– Sama nie wiem – westchnęła po chwili. – Byłam nieprzytomna, nie pamiętam porwania. Gdy się obudziłam, leżałam w parku, stało nade mną mnóstwo ludzi. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak.

Wtedy nie byłam w stanie stwierdzić co. Helena mnie zbadała, powiedziała, że straciłam mój dar. – Karina spojrzała na swoje dłonie, jakby oczami wyobraźni widziała w nich tę moc, której teraz nie było. – Jestem jak rozładowany akumulator.

– Co przez to rozumiesz?

– Nie czuję mocy. Już wtedy jej nie czułam, zniknęła. – Dziewczyna odwróciła wzrok.

Walcia podążyła za jej spojrzeniem. Spostrzegła na komodzie pod oknem kilka zdjęć, niektóre z nich przedstawiały Karinę z jakimś mężczyzną. Jedno pokazywało ją ze zwojem w dłoniach, uśmiechniętą, ubraną w granatową suknię do ziemi, piękną i wspaniale podkreślającą jej kształty.

– Byłam w tym naprawdę dobra. Zajmowałam się zaklęciami leczniczymi i ziołarstwem. Czytałam wszystkie twoje opracowania na ten temat. Udało mi się nawet udoskonalić twoją mieszankę ziół na zapomnienie – uśmiechnęła się do zająca. – Byłam najlepszą asystentką Heleny. Miałam po niej przejąć funkcję uzdrowicielki w Rodzinie.

– Jak to przejąć?

– Organizacja się rozrasta, Helena nie ma już czasu na dbanie o coraz większą liczbę potrzebujących. Czasem magiczni przyjeżdżają też z innych miast, gdzie uzdrowicieli nie ma. Nie dotarły do ciebie te informacje?

– Może dotarły – odparł Antoni, unikając szczegółowej odpowiedzi.

– Teraz już nic nie jestem w stanie zrobić. – Karina rozłożyła bezradnie dłonie.

– Pamiętasz, jak cię zaatakowali? Zrobili to w tym parku?

– Nie. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Gdzie indziej?

– Tak – próbowała sobie przypomnieć. – Byłam w centrum. Zabrakło mi ziół i musiałam domówić. Poszłam odebrać paczkę.

– Nie zbierasz ich sama? – zdziwił się zając.

– Niektóre tak, ale szczerze mówiąc, rzadko mam czas na jazdę za miasto, żeby zbierać zioła. Wolę zamówić. W centrum, w jednej redakcji, pracuje chłopak, którego rodzice zajmują się dla nas

hodowlą ziół na wsi. On dostarcza je do miasta dla tych, którzy tego potrzebują. To dobre i sprawdzone źródło. Ty tak nigdy nie robisz?

– Nie, ja sam hoduję zioła, których używam.

– To musisz mieć spory ogród i mnóstwo wolnego czasu – stwierdziła z przekąsem.

Zając skrzywił się nieznacznie na ten przytyk.

– To od niego wracałaś? – spytał, nie komentując wcześniejszej uwagi.

– Tak. Skróciłam sobie drogę z mostu Teatralnego do domu. Szłam przez skwer w pobliżu urzędu wojewódzkiego, gdy na wysokości skrzyżowania ktoś mnie zaczepił. Odwróciłam się i nagle zapadła ciemność.

– Rzucili na ciebie zakłęcie?

– Nie. – Pokręciła głową, marszcząc czoło. – Zwyczajnie mnie czymś ogłuszyli.

– Ogłuszyli? – powtórzył zdziwiony Antoni.

– Tak, gdy się obudziłam, miałam ogromnego guza na potylicy. Raczej nie dlatego, że upadłam.

– Czyli przez cały czas byłaś nieprzytomna – wymruczał w zamyśleniu. – A wcześniej zaatakowali cię nagle i szybko. Musieli obserwować cię od jakiegoś czasu. Nie zorientowałaś się?

– Nie. – Pokręciła głową. – Może byłam zbyt pewna siebie. Znam kilka zaklęć obronnych, choć nie specjalizuję się w atakach. Sądziłam jednak, że potrafię się obronić. Najwyraźniej się myliłam.

W oczach Kariny pojawiły się łzy, jakby wspomnienie utraconych mocy było szczególnie bolesne w kontekście samoobrony. Walcia w milczeniu przysłuchiwała się rozmówcom. Po raz pierwszy w życiu spotkała kogoś, kto podawał się za uzdrowicielkę. Zrobiło jej się żal dziewczyny, której pewność siebie została doszczętnie zdeptana. Im dłużej rozmawiali, tym Karinie trudniej było pogodzić się ze stratą.

– Dziękuję za to, że z nami porozmawiałaś – odezwał się Antoni.

– To nic... Chciałabym, żebyście ich znaleźli. Wiem, że nie jestem jedyną ofiarą.

Karina ukradkiem otarła łzy.

Zając stanął słupka.

– To dla nas kwestia życiowej wagi – oznajmił poważnie. – Musimy już iść.

Walcia wstała z kanapy. Podążyła za czarodziejem na korytarz. Już chciała otworzyć drzwi, kiedy pomyślała o czymś jeszcze i odwróciła się gwałtownie, czym zaskoczyła stojącą za nią Karinę.

– Wiesz... – rzuciła, przywołując na twarz cień uśmiechu. – Akumulatory można naładować, wtedy znów działają jak wcześniej.

– Dziękuję – odparła dziewczyna z wdzięcznością, a po jej policzkach potoczyły się dwie wielkie łzy.

Walcia wyszła z zającem na klatkę i zbiegła na parter. Po drodze minęli mężczyznę idącego do góry. Przywitał się z nimi odruchowo, najwyraźniej nie zauważając, że nie są mieszkańcami bloku. Wyszli na chłodne wieczorne powietrze. Walcia odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. Irytowało ją, że ktoś obrał sobie za cel młode dziewczyny, atakował je i nikt do tej pory nic z tym nie zrobił. Jak można działać tak opieszale? Dziewięć kobiet przeżywało to, co Karina. Dwie nawet odebrały sobie z tego powodu życie. Dla magicznych zniknięcie zdolności było dramatem. Walcia nigdy nie miała okazji doświadczyć posiadania mocy magicznych, ale znała dość dobrze Nastkę i nawet nie chciała sobie wyobrażać, jaką katastrofą dla przyjaciółki byłaby ich utrata. Magia była sensem jej życia. Dzięki temu pomagała innym i ten jeden dar określał jej miejsce w społeczeństwie. Był czasem ciężki do udźwignięcia, bo sprawiał, że Nastka musiała mierzyć się z odrzuceniem i krytyką ani nie mogła o nim powiedzieć nikomu obcemu. Jednak Walcia wiedziała, że przyjaciółka nie zamieniłaby tego życia na żadne inne.

– Wiesz teraz coś więcej? – spytała zająca.

– To dziwna sprawa – stwierdził oględnie.

– Samo to, że ktoś porywa dziewczyny, już jest podejrzane. Gdyby sprawę prowadziła policja, nikt nie uwierzyłby w to, że są czarownicami i ktoś kradnie ich moc. Zostałyby wyśmiane – zauważyła trzeźwo.

– A ty w to wierzysz?

– Gdybym nie znała Nastki, to też bym nie uwierzyła – odparła szczerze.

– A jednak wierzysz w czarownice i w to, że rozmawiasz teraz z zającem w prochowcu i kapeluszu.

– Nie drażnij mnie – burknęła Walcia. – To ostatnie nadal trudno mi pojąć.

Antoni roześmiał się łagodnie.

– Masz rację, w to trudno uwierzyć. Tym bardziej dziękuję ci, że mi pomagasz.

– Masz jakiś swój typ, kto może porywać te kobiety?

– Nic konkretnego. – Pokręcił głową.

Dziewczyna sądziła, że będzie kontynuował, ale Antoni zatopił się tak głęboko we własnych myślach, że nie doczekała się rozwinięcia tematu.

– Nie możemy jeszcze iść do twojej pracowni, prawda?

– Jeszcze nie – przytaknął.

26

Norbert zjechał z asfaltu na brukowaną drogę wysadzaną po obu stronach bardzo starymi kasztanowcami. Zza ich niskich koron nie było widać budynku stacji kolejowej, ale pamiętał, że gdzieś tam musi być. Jechał powoli i ostrożnie, starając się omijać co większe dziury, by nie uszkodzić podwozia. Tylko tego by teraz brakowało, żeby obaj utknęli na tym wygwizdowie do rana, czekając na pomoc drogową, jak tamten mężczyzna na poboczu.

Sodowe lampy dawały niewiele światła, które przebijało się przez liście. Norbert z trudem spostrzegł koniec drogi i niewielki murek, dawniej chyba pomalowany na biało, a teraz czerniący się od wilgotnego nalotu. Zatrzymał samochód i zgasił silnik. Przez chwilę rozglądał się uważnie. Żółte światło bardziej utrudniało rozpoznanie kształtów, niż ułatwiało. W końcu dostrzegł rozpadający się peron po drugiej stronie torów i ścianę starego budynku. Jego okna były ciemne, brudne, z częściowo wybitymi szybami. Od razu dało się zauważyć, że nikt go nie użytkował. Nie zajęli go nawet dzicy lokatorzy. A jednak przed budynkiem, na czarnej jak smoła ławce, siedział spokojnie chłopak w skórzanej kurtce. Ręce splótł przed sobą, głowę spuścił nisko, jakby spał. Norbert nie widział jego twarzy, która skryła się w wieczornym mroku, ale nie miał wątpliwości, na kogo patrzy. Piotr Szczurko nie zawędrował w sumie daleko od miejsca, w którym zostawił go rano. Pokonał może ze cztery kilometry, a jednak wyglądał, jakby przeżył całe lata. Przez chwilę Norbertowi wydawało się nawet, że młody mężczyzna posiwiiał. Choć mogło to być tylko złudzenie spowodowane nienaturalnym oświetleniem.

Gdzieś daleko zahukała sowa. Piotr podniósł głowę i rozejrzał się z zainteresowaniem. Norbert w pierwszym odruchu chciał pochylić się, aby go nie zauważył, ale przecież było to niedorzeczne. Po pierwsze, samochód sam nie przyjechał i choć teraz stał w pewnym oddaleniu, pod osłoną drzew, to srebrna karoseria rzucała się w oczy. Po drugie, skoro już tu przyjechał, to nie miał wyjścia, musiał

zabrać Piotra do miasta. Miał nadzieję, że tamten nie będzie pytał, jak się tu znalazł. Nie potrafił wymyślić żadnego wiarygodnego usprawiedliwienia. Przecież nie powie mu, że przyjechał na pociąg, bo tędy od lat nic nie jeździło. W takim razie jak ma się wytłumaczyć? – zastanawiał się gorączkowo.

Doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie nic nie mówić.

Odetchnął i postanowił pójść na żywioł. Niech się dzieje, co chce, chłopaka trzeba stąd zabrać, zanim któraś z wściekłych dziewcząt urwie mu jaja przy samym ogonie za to zamieszanie.

Wysiadł z samochodu, zamknął go odruchowo i z duszą na ramieniu ruszył w stronę Piotrusia, który z rezygnacją wrócił do dawnej pozycji. Nie zauważył, że ktoś do niego podchodzi, póki mężczyzna nie znalazł się raptem dwa metry od niego. Szczurko podniósł powoli głowę. Jego twarz, naznaczona śladami zadrapań i brudu, zapewne z powodu wypadku, wyrażała bezgraniczne zdziwienie.

– Norbert? Powiedz, że nie jesteś senną marą – wyszeptał tak cicho, że gdyby nie wyczulone zmysły Norberta, zapewne nie zostałyby zrozumiane.

– Nie – uśmiechnął się chłopak Nastki. – Jestem prawdziwy, jak tu stoję. Cześć, stary.

– O, jak się cieszę! – Piotruś poderwał się gwałtownie do góry i rzucił Norbertowi w objęcia. Otoczył go szerokimi ramionami i ścisnął, aż zatrzymał mu dopływ tlenu. – Nie wyobrażasz sobie, co ja dzisiaj przeżyłem!

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść – przyznał.

– A czuję się jak przeżuta guma spod buta. Skąd się tu wzięłeś?

– Ja?

– Stary, już myślałem, że wpadłem w jakiś trójkąt bermudzki, stąd nie da się wydostać!

– Wiesz, siedzisz na peronie pociągu, który nie jeździ od dwóch lat, trudno się z takiego miejsca wydostać – roześmiał się Norbert.

– Nie jeździ? – Piotruś otworzył szeroko oczy. Spojrzał w dal, gdzie kończyły się tory. – To dlaczego kierowca, z którym podróżowałem, powiedział mi, że mam tu przyjść?

– Bo nie wiedział.

– A ty skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – Szczurko zmrużył podejrzliwie oczy, wpatrując się w swego wybawcę.

– Bo spotkałem tego kierowcę, jak siedział na poboczu i czekał na pomoc drogową.

Piotruś nie spuszczał wzroku z Norberta. Wpatrywał się w niego tak intensywnie, że kotołakowi ze zdenerwowania popłynęła po kręgosłupie strużka potu. W końcu Szczurko odetchnął głęboko, pochylił głowę, rozluźniając mięśnie, po czym ją podniósł i przeczesał dłonią włosy.

– Co za szczęście, bo już myślałem, że to ty napuściłeś na mnie czarnego kota, ogłuszyłeś, porwałeś i zostawiłeś w starej szopie w wiekowym sadzie. Później nasłałeś na mnie kierowcę, który chciał mnie zabić w wypadku samochodowym, a na końcu kazałeś wysłać na nieczynny dworzec, żebym tu zamarzył na śmierć.

– No coś ty, nigdy bym na ciebie nikogo nie nasłał! – Norbert potarł nerwowo szyję.

– Ha! Głupota, prawda? – zaśmiał się chłopak histerycznie.

– Chyba nieźle walnąłeś głową w czasie wypadku – próbował zażartować Norbert, wtórując nerwowemu chichotowi Piotrusia.

– A ty skąd wiesz? – Szczurko spoważniał szybko.

– Bo... – Zdezorientowany Norbert odsunął się odrobinę. Sytuacja wydawała mu się co najmniej dziwna. Czuł przez skórę, że chłopak balansuje na skraju wyczerpania nerwowego i gotów jest nie tylko uwierzyć we wszystko, ale też odpowiedzieć instynktowną agresją, jeśli uzna go za niebezpiecznego. – Bo mówisz od rzeczy. Chodź, lepiej odwiozę cię do domu.

– Dzięki, stary.

Piotruś ruszył za swoim wybawcą wzdłuż peronu, starając się uważać na obluzowane płyty chodnikowe. Nagle poczuł się okropnie zmęczony, jakby przebiegł jakiś maraton albo kilka razy otarł się o śmierć. Właściwie to drugie nie odbiegało tak bardzo od rzeczywistości. Kiedy na drogę wyskoczyła sarna, był pewien, że tego nie przeżyją. Zwierzę wcale nie zamierzało uciekać przed maski pędzącego samochodu, jakby chciało popełnić samobójstwo, zabierając ze sobą dwóch Bogu ducha winnych ludzi. Kierowca ostro skręcił, ale było już za późno, żeby wyminąć sarnę i wyprowadzić auto na prostą. Piotruś zakrył ręką oczy i zobaczył pod powiekami

film z całego swojego życia. Nie zdążył zastanowić się, dlaczego grał w nim rolę psa biegającego po nadwarciańskich bulwarach i dlaczego właśnie w tym momencie zaczęło odbijać mu się paczkami z czekoladą. Później był huk, trzask, a siła uderzenia rzuciła nim na lewo i prawo. Zapięty i zablokowany pas boleśnie wbił mu się w obojczyk. Mocno zdziwił się, że po śmierci nie dość, że nie widzi tunelu ze światłem na końcu, to jeszcze wyraźnie słyszy przekleństwa i złorzeczenia. Wokół było duszno i ciepło, a obojczyk piekł go, jakby został rażony ogniem. Jak nic, trafiłem do piekła – pomyślał szybko. Tylko dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? Czy to za ściąganie na geografii w szóstej klasie? Dopiero gdy kierowca ściągnął z niego koc, uświadomił sobie, że nie umarł.

– Wszystko w porządku? – spytał mężczyzna. – Koc na ciebie spadł, jak zaczęło rzucać samochodem.

– Koc?

– Tak, z tyłu miałem kilka kartonów z gratami, zasłoniłem je kocem i spadł na ciebie – wyjaśnił, po czym na dowód pokazał trzymany w ręce kawał polaru w wesołe księżniczki. – Nic sobie nie złamałeś?

– Chyba nie.

Piotruś odpiął powoli pas i wygramolił się na zewnątrz.

– To mieliśmy szczęście – ocenił kierowca, obchodząc auto dookoła i sprawdzając uszkodzenia. – Ale nigdzie już nie pojedziemy.

– Co z sarną?

– Uciekła w ostatniej chwili, franca jedna, tylko w zderzak uderzyła kopytem i zwiła.

– Racicą.

– Racicą?

– Tak, ma dwa palce, to racica.

– Ornitolog się znalazł, do jasnej anielki! – warknął mężczyzna.

– Chyba zoolog, chociaż właściwie...

– Jak się nie zamkniesz, to przysięgam, że cię przejadę tym gratem! – ostrzegł rozeźlony.

– Przepraszam – odparł natychmiast Piotruś.

– No dobra, trzeba zadzwonić po pomoc drogową, trochę tu czasu spędzimy.

– Ale ja muszę jak najszybciej dostać się do Poznania!

– Jak ci się tak spieszy, to niedaleko jest dworzec kolejowy. Tym na pewno nie pojedziemy. – Wskazał na auto. Jego przód wyglądał jak kawałek tortu, w którym wylądowała ręka nadpobudliwego dwulatka.

Piotruś otrząsnął się ze wspomnień. Dotarli do samochodu zaparkowanego pod drzewami. Norbert otworzył go pilotem i obaj wsiedli do środka.

– Odzywałeś się do Walentyny? – spytał, odpalając cichy silnik.

– Moja komórka nie przeżyła wypadku. To chyba jedyna ofiara, za to znaczna – westchnął Piotruś.

– Niedobrze. – Norbert pokręcił głową. Wrzucił na luz i wyłuskał z kieszeni własny telefon. Wystukał kilka słów do Nastki.

– Mogę skorzystać? – spytał Szczurko, wskazując na smartfon kolegi.

– Po co?

– Muszę zadzwonić, byłem gdzieś umówiony.

– Nie.

– Ale... jak to? – Piotruś aż się zachłysnął.

– Nie będziesz z mojego telefonu kontaktował się z obcymi. Co Nastka na to powie, jak zobaczy obcy numer w komórce? – wyjaśnił.

– A z Walcją mogę się skontaktować? Z nią chyba możesz rozmawiać bez obaw, że Nastka będzie cię o coś podejrzewać.

– Mogę z nią rozmawiać – przytaknął.

– To świetnie, pożyczysz komórkę?

Chłopak podał mu odblokowany aparat. Piotruś wystukał kilka pierwszych znaków.

– Norbert? – odezwał się niepewnie.

– Tak?

– Pod jakim hasłem masz wpisaną Walcję?

– Nie mam jej wpisanej – odparł swobodnie, wykręcając na wąskiej drodze z kocich łbów.

– Jak to?

– Jej numer nie był mi nigdy potrzebny. – Wzruszył ramionami.

– To jak ja mam się z nią skontaktować?

– Nie pamiętasz go?

– No... nie – wyznał Piotruś ze skrucą.

– Jak to?

– Nie było mi to nigdy potrzebne – odparł, mając wrażenie, że przeżywa swoiste *déjà vu*.

Powoli odłożył komórkę Norberta na półkę pomiędzy siedzeniami i oparł głowę na dłoni wspartej łokciem o drzwiczki samochodu. Czuł, jak migrena zaczyna narastać w skroniach, powodując miarowe pulsowanie. Czy to wina tego czarnego kota dziś rano? – myślał. Ale to nawet nie jest piątek trzynastego! Może trzeba było nie wstawać w ogóle z łóżka? Gdyby tylko wiedział, jak to wszystko się potoczy, nie ruszałby się z pościela, byle dzisiejszy dzień się nie zaczął. A wyglądało na to, że jeszcze się nie skończył. Tylko co mogło stać się gorszego?

27

Zmierzch na dobre zadomowił się na ulicach Poznania. Walcia powoli zaczynała odczuwać chłód wieczoru wdzierający się pod ubranie. W ciągu dnia było jej całkiem przyjemnie, ale majowe noce okazywały się jeszcze nie dość ciepłe, aby dresowa bluza wystarczała.

– Czy wiesz w ogóle, gdzie teraz idziemy? – spytała zmęczonym głosem zająca, który kicał przed nią chodnikiem, świecąc jasną stroną puchatego ogona.

– Oczywiście, że wiem! – oburzył się i uniósł na tylnych łapach.

– Czy mamy szansę rozwiązać tę sprawę jeszcze dziś? Może pójdziemy do ciebie, zdejmujemy zaklęcie i odpoczniemy, a jutro pomyślimy, co dalej?

– Nie ma na to czasu!

– Antoni... – Walcia westchnęła głęboko, zmęczona jego tłumaczeniami. – Przyznaj się, że nie masz zielonego pojęcia, kto porywa dziewczyny, i nie rozwiążesz tego problemu w kilka godzin.

– To ty nie potrafisz znaleźć odpowiedzi. Nie porównuj twojej i mojej inteligencji!

Walcia zmarszczyła brwi. Poczowała się urażona jego słowami, więc tym bardziej zapragnęła zrezygnować ze wszystkiego i wrócić do domu. Zmarnowała na bieganie z zającem cały dzień, a mogła szukać jedenastu sów, z pewnością teraz już miałyby je wszystkie i mogłyby rzucić zaklęcie na Piotrusia. Swoją drogą, ciekawiło ją, gdzie teraz jest jej chłopak. Nie odzywał się od rana. Wyciągnęła komórkę i sprawdziła skrzynkę – żadnej wiadomości. Ani esemesa, ani maila czy nieodebranego połączenia, nic. Czyżby spotkał się z Flądrami i zapomniał o niej zupełnie? Zrobiło jej się okropnie przykro na tę myśl, a łzy zapiekły pod powiekami. Wystukała kolejną wiadomość do Piotrusia i wygasła ekran.

– Skończyłaś? – spytał Antoni opryskliwie.

– Nie twoja sprawa – odburknęła, patrząc na niego z wyrzutem. Nie potrafiła być bardziej złośliwa, choć miała na to ochotę.

- No to idziemy. Nie mamy wiele czasu.
- Wiesz, kto za tym wszystkim stoi? – Ponowiła próbę wyciągnięcia ze zwierzaka jakiejś sensownej informacji.
- Mniej więcej.
- Mniej czy więcej? Możesz mówić trochę jaśniej?
- Nie zastanawiało cię to, że nie użyli czarów, tylko zwykłej siły? – spytał, zatrzymując się na moment.
- Słucham? – Nie zrozumiała.
- Użyli siły – powtórzył. – Ogłuszyli dziewczyny zniecka.
- A mogli zrobić coś innego? – Walcia nie potrafiła pojąć, do czego dąży jej towarzysz.
- Oczywiście! Jeśli byliby z Rodziny, mieliby co najmniej kilka innych możliwości. Nie posunęliby się do uderzenia, siła fizyczna to prymitywna forma przemocy.
- Nastka czasami opowiadała o bójkach w Rodzinie – zauważyła. Przypomniało jej się, jak przyjaciółka podnieconym głosem roztaczała przed nią wizje zamieszek podobnych do tych, które widziała w wiadomościach po meczach z udziałem pseudokibiców.
- Pewnie mówiła o wilkach, im się to zdarza – przyznał zając.
- Więc to mogą być wilki.
- Antoni przystanął ponownie i wyciągnął pyszczek w górę, jakby wietrzył zapach.
- Nie sądzę. Nic na to nie wskazuje, zresztą sprawdzałem ich już na samym początku i niczego nie znalazłem.
- Więc nie wiesz, kto to – stwierdziła, podsumowując to, czego się dowiedziała.
- To ludzie spoza Rodziny.
- Takich chyba jest pełno w mieście?
- Antoni zmarszczył brwi na tyle, na ile pozwalała mu ekspresja zajęcej postaci.
- To nie może być każdy człowiek – zaprzeczył zdecydowanie. – Muszę znaleźć po prostu konkretnych ludzi.
- Przecież to jest niemożliwe! – zirytowała się.
- Nie zgadzam się.
- To jest niemożliwe – powtórzyła Walcia z mocą. – Możesz ich szukać, ale to zajmie całe tygodnie albo miesiące, w zależności od tego, ile będziesz miał szczęścia. To szaleństwo!

– Nie nazywaj mnie szalonym! – warknął wściekły. – Nie masz prawa!

Dziewczyna odsunęła się, zaskoczona agresją w jego głosie. Zdawało jej się, że gdyby był w ludzkiej postaci, toby ją uderzył. Pałała złością, jakiej jeszcze u niego nie widziała. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo nie spodobało mu się to stwierdzenie. W końcu nazywano go Szalonym Szarakiem, dlaczego więc ona nie miała prawa używać tego określenia? W czym była gorsza od innych? Przecież mu pomagała z dobrej woli. No może miała w tym trochę własnego interesu – musiała to przed sobą przyznać, ale to nie było wszystko. Pomagała Antoniemu, bo było jej żal sytuacji, w której się znalazł. Jego zagubienia i kłopotów. Chciała mu pomóc i uratować go. Nie miał prawa się na niej wyładowywać!

– Jesteś... – urwała w połowie, szukając odpowiedniego słowa. Miotła się między sprzecznymi uczuciami złości i zawodu, ale nie potrafiła pozbyć się sympatii do tego zwierzaka. – Jesteś okropny, nie lubię cię!

Odwróciła twarz, czując, jak łzy napływają jej do oczu. Nie chciała, aby to widział, to by umniejszyło efekt, jaki wywarły jej słowa, a najwyraźniej zrobiły spore wrażenie. Widziała to po oczach Antoniego, które rozszerzyły się w zdziwieniu, jakby nie dowierzał temu, co słyszy. Patrzył na nią nieruchomo, śledząc każdy ruch i próbując znaleźć w tym fałsz.

– Walentyno?

– Nie chcę ci już pomagać – pisnęła i otarła ukradkiem wymykające się z oczu i płynące po policzkach łzy.

– Walentyno, czekaj, nie zrobisz tego... – zaczął.

– Nie chcę i już!

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła szybko, byle dalej od zająca. Nie chciała go widzieć, nie chciała o nim myśleć. Nie miała ochoty zmagać się z jego kłopotami. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Antoni nalegał z początku na to, żeby mu pomogła, skoro uważał ją za głupią dziewczuchę.

Chciała wrócić do domu, zaszyć się pod kołdrą i przeczekać trudne chwile.

Świat przysłonięty łzami był dla niej w tej chwili nie do zniesienia. Przebiegła pomiędzy samochodami, precyzyjnie się przez wąski

przesmyk między dostawczym iveco a zaparkowanym obok pod kątem małym, czerwonym autem osobowym. Wybiegła na ulicę, chcąc dostać się na drugą stronę i jak najszybciej uciec do siebie. Byle dalej od zająca.

Usłyszała pisk opon kilku samochodów, trąbienie i zanim zdążyła się odwrócić w stronę nadjeżdżającego pojazdu, coś wyskoczyło przed nią, wprost w światła reflektorów. Poczowała ciepły podmuch. Zając spadł bezwładnie na roztrzaskującą się w drobny mak pod jego ciężarem szybę. Co niebywałe, siła jego uderzenia spowodowała, że auto skręciło mocniej. Zamiast w Walcię gruchnęło w przód zaparkowanego samochodu dostawczego. Dziewczyńnię zaparło dech z przerażenia. Ciało Antoniego odbiło się od maski i stoczyło pomiędzy auta po drugiej stronie jednokierunkowej ulicy. Walcia, nie zastanawiając się nawet chwili, pobiegła tam, gdzie zniknęło ciało zwierzaka.

Zamieszanie na ulicy sprawiło, że na razie pozostawała niezauważona. Kierowca, który wpadł na stojący pojazd, wyskoczył przerażony na zewnątrz. Mężczyzna z iveco już biegł w jego kierunku wraz z właścicielem sklepu, do którego właśnie przywiózł towar. Zbiegowisko gęstniało, bo z tyłu następne auta w pierwszej chwili zatrzymywały się, później trąbiły, aż w końcu kierowcy zaczęli wysiadać, zaintrygowani lub rozeźleni narastającym korkiem.

Walcia w tym czasie przeczesywała pobliski chodnik w poszukiwaniu Antoniego. Bała się wydobyć z siebie dźwięk, jakby to mogło sprawić, że jego stan się pogorszy.

Wreszcie spostrzegła łapy wystające spomiędzy kół samochodu. Zając leżał na boku bez ducha.

28

Sławko miał w ustach po kolei wszystkie przekleństwa, jakie przysły mu do głowy, poczynając od tych najbardziej popularnych, jak „psia jego mać”, i przechodząc płynnie do coraz bardziej wymyślnych, jak „pierniczony kminkiem, złotem haftowany, jeż w pysk kopany”. Złożoność kwestii językowych potęgowała się wraz z rosnącą frustracją. Zbinio wiernie trwał przy boku kumpla, ale dla odmiany nie odzywał się wcale, przyjmując stoicki spokój i postawę wyczekującą. Emanował tym wyczekiwaniem i spokojem, jak tylko potrafił, ale z marnym skutkiem. Im dłużej szukali po okolicy dziewczyny, tym Sławko robił się bardziej nerwowy i gadatliwy. Zbinio rozważał zaproponowanie, by poszukali innej ofiary, ale zastanawiał się tak powoli, że zanim zdążył sformułować myśl i ją wypowiedzieć, Sławko wybuchł definitywnie i ostatecznie.

– Przecież to niemożliwe, żeby zniknęła!

– Mogła wsiąść do tramwaju i pojechać do domu – zauważył trzeźwo Padło, ale został zmierzony tak nienawistnym spojrzeniem, że gdyby miał odrobinę kultury (albo szybszy tok myślenia), to wpęłzyłby pod jakąś płytę chodnikową i tam wyzionął ducha.

– Musimy ją znaleźć i dostarczyć szefowi, dość mam już tej roboty.

Zbinio nie odpowiedział, nie tyle z przezorności, ile znów nie zdążył. Na radarze trzymanym przez Sławko zaświeciła się pojedyncza dioda. Wreszcie mieli trop. Jeszcze nie wiedzieli, czy była nim rudowłosa dziewczyna ze skweru, ale zważywszy na wskazania czujnika, było to wielce prawdopodobne. Ruszyli w stronę wskazywaną przez urządzenie.

Dwie ulice dalej, zaraz za zakrętem, zatrzymali się zaskoczeni chaosem i odruchowo cofnęli w głąb ulicy. Stamtąd jeszcze raz wyjrzeli, aby zorientować się w sytuacji. Na jezdni stała spora grupka ludzi, a następni dołączali do nich, najwyraźniej z potrzebą wtrącenia swoich trzech groszy, bo krzyki z każdą sekundą stawały się coraz głośniejsze. Sznur samochodów rósł, tylko nikt nie potrafił dociec, co właściwie się stało.

– To był zajac! – krzyczał mężczyzna w białej kurtce, trzymając się za zakrwawioną skroń, z której czerwień szeroką strugą znaczyła ścieżkę na jasnym materiale.

– Panie, co pan, z choinki się urwał?! – warknął właściciel dostawczego vana.

– Chyba z lasu? – zauważyła kobieta stojąca obok. – W lesie są zajace.

– No właśnie! Zajac? W mieście?

– To była dziewczyna, ruda, sam widziałem! – zawołał inny pan, w zielonym płaszczu z wełny i równie zielonej czapce.

– Jaka dziewczyna, zajac roztrzaskał mi szybę! Tego mi ubezpieczenie nie pokryje! – żalił się zakrwawiony.

– Dlaczego? Wypadków z udziałem zwierząt nie uznają?

– Uznają – fuknął – ale który ubezpieczyciel uwierzy w zajaca w centrum miasta?

– To nie był zajac, tylko miniaturowy elf w szarym płaszczu, tam uciekł. – Wskazał dłonią szesnastolatek stojący obok na chodniku, ale nie zyskał swoją wypowiedzią zbytnej aprobaty.

– Ty się, gówniarzu, kleju nawąchałeś? – Właściciel vana zmarszczył brwi.

– Sam się pan nawąchałeś! – odparował młody. – Długie uszy i płaszcz! Widziałem.

– Zajac!

– Elf!

– Ruda. Ruda była!

Krzyki narastały z coraz większą siłą. Z daleka słyhać było już sygnał policyjnego radiowozu. Sławko rozejrzał się wokół. Ruda i zajac pasowały mu do opisu jak ułat. Elf mniej, ale po zajacu był w stanie uwierzyć, że ten dołączył do pary, której poszukiwali. A co tam, elfa też mogą zgarnąć. Tylko dziewczynę w pierwszej kolejności – zanim napatoczy się policja i wszystko zepsuje.

Dał znak Zbiniowi, żeby szedł za nim. Powoli, jak przystało na zaciekawionych gapiów, którzy przechadzają się po mieście z pełną niewinnością i nie uczestniczą w zajściu, ruszyli wzdłuż budynków chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Już po chwili spostrzegli dziewczynę gorączkowo szukającą czegoś między samochodami. Gdy podniosła głowę, Sławko poczuł, jak serce skacze mu z radości

do gardła. Tak! To była ona, ta, której szukali. Wszędzie rozpoznalby tę burzę rudych loków. Musieli tylko jakoś ją podejść, bo że sama zechce z nimi iść – dobrowolnie lub z pomocą fortelu – o tym nie mogło być mowy. Na szczęście dla nich dziewczyna przyklękła przy jednym z aut i pochyliła się nisko. To był ten moment. Sławko – niezauważony przez Walcię – w dwóch susach pokonał dzielącą ich odległość i wprawnym ruchem uderzył dziewczynę w kark. Osunęła się bezwładnie na chodnik.

Kopytko sprawdził puls. Dobrze, była tylko nieprzytomna. Wyciągnął z kieszeni kolejny gadżet, który dostał od szefa na takie okazje. Wisiorek z całkiem ładnym, biało-żółtym kamieniem przypominającym dużą grudkę piasku. Z trudem przełożył jej go przez głowę, bo gęste włosy plątały się w rzemieniu, na którym zawieszono ozdobę. Gdy wreszcie się z nim uporał, rozejrzał się wokół. W oddali widać już było niebieskie światła policyjnego radiowozu. Pojazd miał problem z przedostaniem się na miejsce wypadku z powodu jednokierunkowej ulicy i gęsto ustawionych samochodów, które na niej utknęły. Ich kierowcy w większości stali w tej chwili przy poszkodowanych mężczyznach i ani myśleli opuszczać miejsce widowiska.

– Zbinio, pomóż mi, zanim psy się zjawią i ktoś zauważy – zawołał do przyjaciela.

Padło przykucnął obok i zarzucił sobie ramię Walci na szyję. Sławko uczynił to samo z drugiej strony i obaj stęknęli, unosząc dziewczynę w górę. Okazała się dość ciężka, o wiele cięższa niż dotychczasowe ofiary. Sławko pocieszał się myślą, że może to ta wartość, którą wskazywał radar, tyle waży. Ponieśli dziewczynę do końca ulicy, udając przy mijanych przechodniach pijaną grupę, która właśnie wraca z libacji.

Nikt specjalnie się nimi nie zainteresował. Gdy na miejsce zdarzenia dotarła pieszo policja, szum wokół vana i zakrwawionego kierowcy zrobił się jeszcze większy.

Sławko przeklinał pomysł postawienia samochodu tak daleko. Teraz musieli pokonać starówkę, a właściwie ją okrążyć, żeby nie wzbudzać niepotrzebnych sensacji wśród licznych turystów. To powodowało, że nadłożyli drogi o dobre pół kilometra. Zanim dotarli do pojazdu, mocno się zmęczyli i obaj ciężko dyszeli. Z trudem

ułożyli bezwładne ciało dziewczyny na tylnym siedzeniu i wsiedli do środka.

– No, wreszcie – odetchnął Kopytko, po raz pierwszy czując satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Zajęło im to sporo czasu, ale zdobyli kolejną ofiarę, szef powinien być zadowolony, ich zleceniodawca także. Takiego wyniku na skali radaru nie osiągnęła żadna z wcześniej porwanych dziewczyn.

Sławko odpalił silnik i wrzucił wsteczny bieg. Ruszył, chcąc wycofać na ulicę. Coś zgrzytnęło przy przednim kole, a samochód nadal stał w miejscu. Nie pomogło dociskanie pedału gazu do podłogi. Sławko sprawdził jeszcze odruchowo ręczny hamulec, był zwolniony.

– Co jest, do kurwy nędzy – warknął.

Wyłączył silnik i wysiadł z auta. Trzasnął drzwiczkami i wtedy to zobaczył. Wcześniej mu to umknęło, bo zaaferowany zdobyczą nie zastanawiał się nad niczym innym. Poza tym na wąskim miejscu parkingowym, pomiędzy innymi samochodami, światło pobliskiej latarni nie dochodziło.

Pochylił się nad kołem, no tak.

– Laga? – odezwał się Zbinio nad jego głową.

– Tak.

– Nie zapłaciłeś za postój?

Sławko zerknął na niego w milczeniu. Zapłacił, ale zapomniał przedłużyć, za bardzo był skupiony na czekającej ich robocie. Zwykle objeżdżali osiedla, tym razem wybrali się do samego centrum. Nie sądził, że to tyle potrwa i akurat uda się trafić na straż miejską, która założy im blokadę.

– Trzeba zadzwonić, żeby zdjeli – zaopiniował Zbinio.

– Zwariowałeś?!

– No... Nie odjedziemy bez tego.

– Zbiniu, my na tylnym siedzeniu mamy porwaną dziewczynę, a ty po straż miejską chcesz dzwonić?!

– No... To może jednak nie dzwonić – przyznał Padło.

– No, raczej – przytaknął Sławko ze złością.

– To co robimy? Zostawiamy samochód?

– I pojedziemy taksówką czy tramwajem?! Zbiniu, rusz mózgownicą! – wściekł się Kopytko.

- No to już nie wiem.
- Daj mi pomyśleć.

Sławko podniósł się z kucek, wyprostował i oparł o sąsiednie auto, nie spuszczać z oczu zablokowanego koła. Żadna z tradycyjnych możliwości nie wchodziła w grę. Do szefa też nie było po co dzwonić. Szybciej przyjechałby strzelić ich w pyski za głupotę i pojechał dalej. Musieli coś wymyślić. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu inspiracji, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kradzież innego samochodu tylko przysporzyłaby im dodatkowych kłopotów. Już samo to, że porwali dwie dziewczyny w ciągu jednego dnia, było ogromnym ryzykiem. Kolejne przestępstwo byłoby jak proszenie się o kajdanki. Poza tym nie mieli gwarancji, że udałoby im się załadować dziewczynę do nowego auta przed przyjazdem zaalarmowanej policji. Chcąc nie chcąc, musiał radzić sobie z tym, co miał na miejscu. Samochód, koło, założona blokada. Pochylił się i szarpnął zabezpieczenie, sprawdzając, czy dobrze siedzi. Z pewnością zamocowali poprawnie. Gdyby jednak udało mu się ją zdjąć... Tylko jak? Obejrzał dokładnie zamek, przyświecając sobie latarką z komórki. Nie wyglądał na skomplikowany, ale Sławko już od dawna nie nosił ze sobą narzędzi, a spinkami – ze względu na fryzurę – tym bardziej nie dysponował. Co jeszcze mógł zrobić?

Ponownie szarpnął blokadę, sprawdził, jak daleko zachodzi na koło. Gdyby tylko mógł ją zsunąć... Próbował przepchnąć koniec jednego z ramion przez koło, ale twarda opona ani drgnęła pod naciskiem jego palców. Za mocno napompowane – pomyślał. I wtedy go oświeciło. Skoro za mocno napompowane, to trzeba spuścić powietrze. Odkręcił wentyl i odblokował spust. Cichy syk był ledwie słyszalny. Trwało to dobre piętnaście minut, ale w końcu udało mu się obniżyć ciśnienie na tyle, na ile potrzebował. W oponie pozostało niewiele powietrza, blokada za to zeszła, uwalniając auto.

– No, mamy to – ucieszył się i wrzucił bezużyteczny już przedmiot do bagażnika. Otrzeptał brudne ręce.

– Flak, nie możemy jechać – ocenił Zbinio.

– Nie marudź – warknął do niego Kopytko. – Do nas dojedziemy, a w magazynku jest pompka, to się dopompuje. Ważne, że nikt nas nie nakrył. Wsiadaj!

Zbinio posłuchał kumpla i zajął miejsce pasażera. Kontrolnie zerknął przez ramię na leżącą z tyłu dziewczynę. Nadal była nieprzytomna.

29

Norbert wjechał do miasta. Latarnie świecące wzdłuż ulicy dodały Piotrusiowi otuchy. Poczul się jak Odyseusz wracający do Itaki po dekadzie błąkania się po morzach i oceanach. Wreszcie cywilizacja.

– Podwieźć cię do domu? – spytał Norbert, skupiając się na wzmożonym ruchu ulicznym.

– Wolałbym najpierw do Walci. Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Nie, wcale – odparł tamten z wyraźną satysfakcją, jakby wybór Piotrusia był jego zasługą.

Zjechali z krzyżówki w boczną ulicę i wpakowali się w astronomiczny korek. Norbert zmarszczył brwi. W życiu nie widział takiego tłoku w tej okolicy. Do tego ze zdziwieniem spostrzegł, że stojące przed nim samochody są puste. Co takiego mogło się zdarzyć, że spowodowało ucieczkę wszystkich kierowców?

– Korek? O tej porze? – odezwał się Piotruś, próbując wychylić się na siedzeniu tak, aby cokolwiek zobaczyć. – Chyba widzę policję, ale też stoi w korku. Czy to możliwe?

Spojrzeli na siebie, szukając nici porozumienia, która utwierdziłaby ich w przekonaniu, że drugi rozumie tyle samo co pierwszy, czyli okrągłe nic.

Kotołak przez bardzo krótką chwilę rozważał możliwość wycofania się i objazdu, ale zmiana świateł i kolejny samochód skręcający w tę wąską uliczkę skutecznie wybiły mu to z głowy.

– Sprawdzę, co się tam dzieje. – Norbert wypiął się z pasów i otworzył drzwi.

– Czekaaj, idę z tobą.

Piotruś wyskoczył z samochodu i pognął za nim. Nie zamierzał w żadnym wypadku zostawać sam. Dość mu było przygód na jeden dzień. Bał się za to, że jeśli spuści Norberta z oczu, to znów stanie się coś nieprzewidzianego.

Jezdnia – ścielnie zastawiona autami i dodatkowo przyblokowana z obu stron zaparkowanymi pojazdami – skutecznie uniemożliwiała przejście, więc weszli na chodnik. Minęli pusty

radiowóz z włączonymi światłami, które zalewały okolicę błękitną falą. Im bliżej byli zamieszania, tym robiło się głośniejsze. W bocznej uliczce zauważyli pojazd straży pożarnej, równie samotny i opuszczony co wcześniejszy radiowóz. Przed sobą zobaczyli kilkadziesiąt osób, w tym policjantów, strażaków i dwóch ratowników krzątających się przy stosunkowo niewielkiej stłuczce. Policjanci za nic nie potrafili uspokoić zebranych wokół ludzi, przekrzykujących się jeden przez drugiego coraz bardziej nedorzecznymi argumentami.

– Jeszcze raz, co pan widział? – zapytał policjant, trzymając w pogotowiu notes i długopis.

– Widziałem zająca.

– Prawdziwego? W mieście? – zdziwił się mundurowy.

– Słowo daję, jak tu stoję, że prawdziwego. Rudy był, z lokami i w prochowcu.

– Rudy zając w prochowcu. – Zanotował policjant. Przygryzł długopis i krytycznie przyjrzał się zapiskom. – Na pewno?

– Tak – przytaknął gwałtownie mężczyzna w granatowej kurtce i czapce z pomponem.

– To nieprawda, panie władzo! – zawołała kobieta obok.

– To była dziewczyna i miała długie uszy, o takie. – Zamachała rękoma nad głową. – I nosiła kapelusz.

– Kobieta? – zainteresował się policjant, czując, że ten trop ma odrobinę więcej sensu, choć doniesienia o zającu w prochowcu słyszał już od kilku świadków, których zdążył przesłuchać.

– Oczywiście, ale ona stała o tu, obok.

– Ale samochód tam nie dojechał – zauważył trzeźwo policjant, oceniając odległość pomiędzy wskazanym miejscem a autem, które wpasowało się w dostawczego vana prawie metr wcześniej.

– Ale to ona wyskoczyła na ulicę – upierała się kobieta.

– I zając! – wtrącił jegomość w granacie.

Funkcjonariusz popatrzył na mężczyznę, później na kobietę i jeszcze raz na mężczyznę. Wodząc tak wzrokiem, poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Przecież to wszystko kupy się nie trzymało. Dziewczyna z długimi uszami, która nie uczestniczyła w wypadku, i zając w prochowcu, do tego z rudymi lokami. Albo ktoś tu zrobił im niezły kawał, albo wszyscy ci ludzie cierpieli na zbiorowe halucynacje. Czy to możliwe? W sumie dlaczego nie – pomyślał.

Komendant ostatnio coś wspominał, że na imprezach pojawiła się nowa grupa rozprawdzająca halucynogeny. Tylko ci ludzie nie wyglądali na wracających z imprezy. Raczej na przypadkowych przechodniów, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na tej ulicy w czasie wypadku. Może to coś w powietrzu? Pociągnął nosem. Poczł mieszankę spalin, benzyny i psich odchodów – teoretycznie nic nowego, ot zapach miasta, ale przecież wciąż się słyszy o tym, jak szkodliwe jest powietrze w Poznaniu. Tak, to będzie to – ocenił.

„Zbiorowe halucynacje wywołane szkodliwym powietrzem” – zanotował na dole kartki w notesie. Tego będzie się trzymał. Jeśli napisze, że wypadek spowodował zając w prochowcu, do tego rudy, komendant urwie mu łeb.

Norbert przystanął po drugiej stronie, za samochodami, i przyglądał się całemu zajściu. Ludzie tłoczyli się na niewielkiej przestrzeni przy dwóch pojazdach, bo tylko tu pozostało dość miejsca na jakikolwiek ruch. Czy mu się wydawało, czy naprawdę słyszał coś o zającu w prochowcu? Ten opis wydał mu się znajomy.

– Chyba nie ma szans, żebyśmy przejechali – stwierdził Piotruś, obserwując zbiegowisko. Jego słuch nie był tak wyczulony, więc nie potrafił w ogólnym hałasie wyłapać poszczególnych zdań czy ogólnego sensu sprawy. Patrzył tylko na pełne ekspresji zachowanie zgromadzonych osób i zastanawiał się, jak to możliwe, że ciekawość pchała tylu ludzi w jedno miejsce. – Może powinniśmy pojechać dalej tramwajem? – zaproponował, spoglądając na chłopaka Nastki. Nagle coś dziwnego przykuło jego uwagę.

– Ja poczekam – odparł Norbert. Oderwał wzrok od zamieszania i zerknął na Piotrusia. Jego mina była na tyle zagadkowa, że podążył za spojrzeniem kolegi.

– Czy ja widzę zajęcze łapy? – mruknął Szczurko dla pewności.

– Tak.

Norbert podszedł bliżej i zajrzał pomiędzy samochody. Na ziemi leżało zwierzę. Zając ubrany w prochowiec.

– A więc mówili prawdę – stwierdził z mieszaniną zaskoczenia i satysfakcji.

– Kto? – zdziwił się Piotruś.

– Ci ludzie, tam.

– Wyłapałeś, co krzyczeli? Podziwiam, ja ich zupełnie nie zrozumiałem. – Pokręcił głową.

Norbert wyciągnął rękę w stronę zająca i położył ją na zniszczonym płaszczu. Klatka piersiowa unosiła się słabo. Nie sądził, że zobaczy kiedyś Szalonego Szaraka w tak opłakanym stanie. Zdjął kurtkę i zawinął w nią zwierzaka. Ostrożnie podniósł go z ziemi.

– Chcesz go zabrać?

– Tak.

– Do weterynarza?

– Nie, ja go znam, on pracuje tu niedaleko – odparł chłopak, tuląc do siebie zawiniątko.

– Pracuje? – Piotruś podążył za nim ulicą. – Znaczy, ktoś na nim przeprowadza testy czy co? To w ogóle legalne? Nie podpada pod znęcanie się nad zwierzętami?

– Nie, on... – Norbert zamilkł w pół zdania, zdając sobie sprawę, że przecież rozmawia z kimś spoza Rodziny i o mało nie wyjawiał mu tajemnicy. Przyzwyczajenie do obecności Walci u boku Nastki sprawiło, że stracił czujność.

– Może lepiej go nie oddawać?

– Nie, to nie tak – zaczął ponownie. – Jego właściciel się ucieszy, dobrze go traktuje.

Pokonali przecznicę i skręcili w bok. Norbert z każdym metrem przyspieszał, a Piotruś z ledwością za nim nadążał. Wyszli na ulicę tuż przy kościele. Dzwony właśnie zaczęły wybijać kuranty na wieczorną mszę. Kotołak spojrzał w stronę wieży i zmarszczył czoło. Przebiegli na przejściu dla pieszych i wpadli na podwórko starej, obdrapanej z tynków kamienicy. Norbert zatrzymał się gwałtownie. Nie pamiętał, gdzie dokładnie znajduje się pracownia czarodzieja. Kiedyś w niej był, ale na tyle dawno, że wspomnienia mocno zatarły się w jego pamięci. Teraz musiał chwilę pomyśleć. Wejście nie mogło być bezpośrednio na widoku, liczył tylko, że Szalony Szarak nie wpadł na pomysł zamaskowania go zaklęciem, które uniemożliwi im dotarcie do celu. Rozejrzał się. Po jednej i drugiej stronie stare, liche drzwi tylko symbolicznie broniły dostępu do klatek schodowych.

Piwnica? – przeszło mu przez myśl. Nie, za łatwo ją zalać. Straty byłyby zbyt duże, tym bardziej że rzeka płynęła niedaleko. Czuł

nawet jej zapach. A więc piętra. Tak. Przypomniał sobie. Ruszył do drzwi po lewej. Wystarczyło lekko nacisnąć i natychmiast ustąpiły z jękiem. Wbiegli na pierwsze piętro po wąskich schodach. Była tu tylko jedna para starych drzwi, ale zamek wyglądał na całkiem nowy, porządny. Norbert rozejrzył się bezradnie. Skąd miał wytrzasnąć teraz klucz?

– Czego szukasz? – odezwał się Piotruś, z ciekawością obserwując poczynania towarzysza.

– Klucza.

– Właściciela nie ma w domu? – zdziwił się. Oczekiwał raczej, że po prostu zadzwonią do drzwi.

– Nie otworzy – skłamał gładko Norbert.

– To może lepiej nie wchodzić? To właściwie włamanie...

– Przestań gadać i poszukaj klucza. – Chłopak Nastki nerwowo rozglądał się, podnosząc wycieraczkę i skrzynki stojące przy drzwiach.

Piotruś posłuchał. Zamilkł i też rozejrzył się uważnie, po czym zaczął porządkować skrzynki porozrzucane przez Norberta.

– Przestań, nie mamy na to czasu! Nikt i tak nie będzie przejmował się bałaganem – zawołał rozeźlony kotołak.

– Tego nie wiesz, ale czekaj. – Piotruś ze stoickim spokojem postawił ostatnią skrzynkę i wszedł na chwiejną konstrukcję. Wyciągnął rękę i pomimo dodatkowego wsparcia z ledwością dosięgnął drewnianej framugi. Po chwili uśmiechnął się zadowolony z siebie. Zeskoczył na ziemię i pokazał klucz. – Proste.

– Skąd wiedziałeś? – Norbert wyrwał mu go z ręki i przekręcił w zamku.

– Pokój zagadek.

– Co?

– Pokój zagadek, taka gra. Kiedyś byłem z kumplami. Zamykają cię w pokoju i musisz z niego wyjść, więc potrzebujesz klucza, a odpowiedzi są w zagadkach.

Norbert pchnął skrzydło i poczuł ciepły powiew magicznego zaklęcia. Nie miał pojęcia, jakiego rodzaju. Liczył, że magia rozpozna właściciela i wpuści ich, skoro mieli ze sobą Antoniego.

Mieszkanie było stare, dawno nieremontowane. W korytarzu ze ścian schodziła płatami farba, a drzwi do najbliższego pokoju były

tak wypaczone, że nie zamykały się wcale. Norbert pchnął je ramieniem. Skrzyknęły i zablokowały się w połowie. Wystarczyło, żeby mogli wejść do środka. Położył zajaca na szerokim stole, zasypanym różnego rodzaju zapiskami i kolorowymi fiolkami ustawionymi w zgrabnych stojakach. Zwierzę ocknęło się, otworzyło oczy i podniosło się na łapki. Chłopak odsunął się, czekając w napięciu na reakcję.

– Może poszukam właściciela? – zaproponował Piotruś, po czym z niepokojem rozejrzał się po zniszczonych ścianach, na których równie stare plakaty i obrazy przedstawiały głównie zwierzęcą anatomię i dziwne wzory.

– Tak będzie najlepiej – odparł jego towarzysz, nie spuszczając wzroku z futrzaka.

Piotruś ruszył w głąb mieszkania na poszukiwanie żywego ducha.

– Co się stało? – spytał Norbert, gdy zostali sami.

Zajac podniósł do góry głowę, rozejrzał się zaciekawiony i poruszył wąsami. Kotołak nie doczekał się odpowiedzi.

– Nie żartuj sobie, doskonale wiesz, że nie możesz długo przebywać w tej postaci! Lepiej, żebyś zdjął zaklęcie i wytłumaczył, dlaczego spowodowałeś wypadek. Helena będzie wściekła.

Zwierzak przechylił łeb, ale nie odpowiedział.

– Co jest? – warknął coraz bardziej rozeźlony Norbert.

Zajac odwrócił się i w kilku powolnych skokach dotarł do najbliższej sterty papierów na stole, po czym zaczął bez pardonowo je podgryzać.

– Cholera – jęknął kotołak, bo właśnie uświadomił sobie, co się stało. Antoni osiągnął moment przełomu i stał się prawdziwym zajacem. Zwykłym zwierzęciem. Tylko dlaczego nie odmienił się, zanim to się stało? Czy był na tyle szalony, żeby ryzykować własnym życiem?

– Norbert, tu chyba nikogo nie ma! – usłyszał z korytarza głos Piotrusia.

Musiał działać szybko. Nie miał pewności, ile czasu minęło, odkąd Antoni stracił umiejętność mówienia, i czy nie było za późno, ale odpuszczenie, nawet w tak beznadziejnej sytuacji, nie leżało w jego naturze. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Gdzieś tu musiały być fiolki z wywarem odczyniającym zaklęcie. Schowane, ale mimo wszystko

na widoku. Dostępne dla Antoniego w takiej postaci, w jakiej był teraz. Inaczej nie mógłby bezpiecznie korzystać z tego zaklęcia. Z wiedzy Norberta wynikało, że czarodziej często zamieniał się w zwierzęta, choć z natury nie był zmiennokształtnym jak on.

– Jest! – Rzucił się do starego biurka, które stało pod ścianą wciśnięte pomiędzy dwa ogromne regały. W drewnianej szkatułce na blacie znalazł zakorkowaną fiolkę. Wrócił z nią do zajęcia i chwycił go za uszy, zanim ten ze strachu zeskoczył ze stołu. Jednym płynnym ruchem odkorkował fiolkę i wepchnął ją w pysk zwierzęcia, zaraz za siekaczami. Antoni próbował się wyrywać, ale był bezbronny wobec siły kotołaka.

Przełknął płyn. Wokół nich zawirowało ciepłe powietrze. Ciało zajęcia rozgrzało się i zaczęło zmieniać kształt, wydłużać się i rosnać. Zniknęła sierść pokrywająca kończyny, łapy zmieniły się w dłonie, pysk w wąską, zarośniętą krótką brodą twarz. Długie uszy w szarobrazowe włosy sięgające ramion.

Piotruś wszedł do pomieszczenia w momencie, kiedy przemiana się zakończyła. Spojrzał na Norberta, później na człowieka klęczącego na podłodze, którego dolną połowę ciała przysłaniał stół, a jednak nie dało się ukryć, że nieznajomy był zupełnie nagi. W końcu spostrzegł, że kolega trzyma tamtego mocno za włosy.

A jednak testy na zwierzętach – pomyślał z niesmakiem.

– Trzeba go na policję oddać – stwierdził głośno, oburzony. – Najpierw jednak musi się ubrać, bo go od ręki wsadzą za ekshibicjonizm.

Norbert otworzył usta w zdziwieniu, nie rozumiejąc, o co chłopakowi chodzi, po czym spojrzał na Antoniego i natychmiast go puścił.

– Pamiętasz, kim jesteś? – spytał dla pewności.

– Na szczęście tak. – Antoni pomasował obolałe skronie. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy. Ale Piotr ma rację, ubierz się.

Czarodziej pokiwał głową. Potulnie, bez słowa, podniósł się z podłogi i podreptał do drugiego pokoju. Po kilku minutach wrócił, już w pełni ubrany w koszulę z żabotem i spodnie w kant. Wyglądał jak wyjęty żywcem z innej epoki. Obaj mężczyźni spojrzeli na niego krytycznie, ale taktownie powstrzymali się od komentarza.

– To ty spowodowałeś ten wypadek na ulicy? – zaczął Norbert.

– Niestety tak.

– Helena wyjdzie z siebie z wściekłości.

– Nie zrobiłem tego dla zabawy czy dla siebie. Ratowałem kogoś.

– Kogoś?

– Tak. – Antoni wyprostował się dumnie. – Dziewczynę, która mi asystowała. Prowadzę dochodzenie w sprawie zaniku magii u czarownic.

– Czego? – spytał zaskoczony Piotruś, pewien, że się przesłyszał.

– Chodzi mu o zniknięcie kilku dziewczyn grających czarownice w jednym przedstawieniu dla dzieci.

Antoni otworzył usta, chcąc zaprzeczyć, ale spojrzenie Norberta go zmroziło.

– Tak... w przedstawieniu, źle się wyraziłem – potwierdził.

– Jesteś detektywem? Myślałem, że prowadzisz badania na zwierzętach. – Piotrusiowi wyraźnie ulżyło, ale spojrzał na mężczyznę podejrzliwie, nie wyobrażał sobie, jak można prowadzić dochodzenie, wyróżniając się takim strojem.

– Nie jestem detektywem – oburzył się Antoni. – Jestem... – zawahał się. Powiedzenie prawdy nie wchodziło w grę, jeśli nie chciał skończyć jako świąteczny pasztet, a na to wskazywały oczy kotołaka. – Hobby... rozwiązywanie zagadek to moje hobby.

– I jak ci idzie z tym śledztwem? – spytał Piotruś, szczerze ciekawy efektów.

– Nie najlepiej. – Zając pokręcił głową.

– To szkoda.

– A co się stało z tą twoją asystentką? Dlaczego ci nie pomaga? – wtrącił Norbert.

Przysiadł na skraju stołu, uważając, aby nie potrącić żadnej sterty z papierami ani fiołki. Nieuwaga mogła okazać się niebezpieczna. Nieraz słyszał o sytuacjach, gdy w pracowniach magów zdarzały się różne wypadki właśnie przez brak ostrożności. Ktoś potrącił słój z miksturą z łaju błotniaka i cała pracownia pół roku śmierdziała jak basen z odpadkami nekromanty. Szturchnięty flakon wydzieliał gaz powodujący lewitowanie wszystkiego, co się znajdowało w pomieszczeniu. Czarodziej do końca życia musiał nosić buty z obciążnikami, aby nie odfrunąć w siną dal, a pracownię trzeba było

zamknąć, bo nie nadawała się do użytku. Chyba że ktoś lubił uderzać głową w przelatujący akurat taboret lub stół sekcyjny. Problemem bywały też unoszące się pod powałą fiołki. Czasami któraś odwracała się nagle i niepodatny na magię lewitacji płyn wylewał się człowiekowi na głowę. Na przykład taki na intensywny porost włosów...

– Chyba się na mnie obraziła – westchnął Antoni smutno.

– Na ciebie? To chyba niemożliwe – roześmiał się kotołak.

– Zachowaj złościwości dla siebie – warknął rozeźlony czarodziej, po czym uniósł dumnie głowę, spojrzał na rozmówcę z wyższością i dodał: – Nie każdy ma naturę pozwalającą mu na łaszenie się, jak nie przymierzając, jakiś... kot.

Ostatnie słowo wypluł niemal z odrazą. Norbert natychmiast spowaźniał.

– Uważaj sobie, Szaraku – ostrzegł.

– Co zrobiłeś tej biednej dziewczynie, że tak się na ciebie rozłościła? – Piotruś próbował skierować rozmowę na właściwe tory, bo czuł, że za chwilę towarzysze rzucą się sobie do gardeł.

– Właściwie to nic. Chyba... chyba mnie nie zrozumiała.

Mężczyzna migał się od odpowiedzi, nie chcąc wyjawić sedna sprawy.

– I tak sobie poszła? – powątpiewał Norbert, bardziej skłonny uwierzyć w to, że Zajęc wyrzucił dziewczynę albo ochrzanił ją i kazał zmykać, gdzie pieprz rośnie.

W pomieszczeniu rozległ się dźwięk sygnału komórki. Melodyjka na modłę marszu żałobnego na moment rozproszyła całą trójkę. Antoni rozpoznał własny telefon i zaczął się za nim rozglądać, próbując zlokalizować, skąd dochodzi dźwięk. Przez chwilę przerzucał papiery na biurku i wokół niego. Zaczął też wysuwać szuflady.

– No, nie mam pewności... – przyznał, nie przerywając poszukiwań.

– Właściwie to nie pamiętam, żebyś miał jakąś asystentkę. Kto chciał z tobą pracować?

– Poznałem ją dziś rano, nazywa się... Walentyna Pączek... – Antoni wreszcie znalazł aparat i spojrzał na wyświetlacz, po czym odebrał. – Tak, słucham...

Piotruś, aż się zatchnął na dźwięk tego imienia. Kiedy ona została asystentką? I to czyją? Jakiegoś wariata, detektywa od siedmiu boleści, wymoczka patyczkowego... I dlaczego nic jemu – swojemu chłopakowi – o tym nie powiedziała? Już chciał wyciągnąć telefon i zadzwonić do Walci z pretensjami, ale przypomniał sobie, że aparat uległ wypadkowi. Westchnął ciężko. Nie było szans się z nią porozumieć. Musiał wyjaśnić sprawę osobiście, i to jak najszybciej.

Antoni w tym czasie rozłączył rozmowę i odłożył komórkę. Twarz miał bladą jak ściana. Odwrócił się w stronę swoich rozmówców, patrząc na nich odrobinę nieprzytomnym wzrokiem.

– Coś się stało? – zaniepokoił się Piotruś. Zastanawiał się, czy to Walcia nie zadzwoniła do badacza. Może gdyby wiedział o tym wcześniej, mógłby z nią porozmawiać.

– Nie... To znaczy tak. Właśnie dostałem informację, że zaginęła następna... dziewczyna.

– Jeszcze jedna? – Norbert zmarszczył brwi. Słyszał o sprawie, ale do tej pory niespecjalnie się nią interesował. Żadna z czarownic nie była mu znana bardziej niż ze słyszenia, nie poczuwał się więc do obowiązku śledzenia przebiegu zdarzeń.

– Niestety. – Antoni spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy, co w pierwszej chwili zdziwiło kotołaka, później zirytowało, a na końcu zaniepokoiło. Brązowe oczy Zająca nie zmieniły się ani na jotę, za to myśli Norberta pędziły ku nieuchronnym wnioskom.

– Kto? – wydusił z siebie, ledwie mogąc oddychać. – Mów!

– Anastazja.

– Gdzie ją zabrali?!

Norbert zerwał się i runął w stronę Antoniego. Czarodziej błyskawicznie zrobił unik, więc napastnik zatrzymał się dopiero na blacie biurka, rozrzucając z impetem zebrane na nim papiery.

– Nie wiadomo – odpowiedział Zając.

– Jak to?! Muszą wiedzieć, ktoś musiał ją widzieć! – wściekł się chłopak Nastki.

Antoni pokręcił głową z rezygnacją. Nie potrafił w żaden sposób go pocieszyć. Norbert z frustracją przeczesał palcami włosy. Szukał gorączkowo rozwiązania, jakiegoś tropu, którego mógłby się uchwycić. Wiedział, co oznaczało zniknięcie czarownicy. Jeśli dostała się w łapy tych, którzy porywali wcześniejsze dziewczyny, to

groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiedział, że będzie walczyła o swój dar do samego końca. Jego utrata byłaby dla Nastki katastrofą. Nie wyobrażał sobie jej odnajdującej się w świecie bez magii.

Podniósł głowę do góry i spojrzał w sufit. Biała przestrzeń odrobinę go uspokajała.

– Gdzie była Nastka? – Piotruś zadał pierwsze pytanie, jakie przyszło mu na myśl.

Norbert potrząsnął głową, by zmusić się do racjonalnego analizowania sytuacji. Po odezwaniu się Szczurko sam zaczął jaśniej myśleć, musiał dowiedzieć się jak najwięcej. Uchwycił się tego jak liny, by nie zwariować ze strachu o dziewczynę.

– Wracła od Heleny – odpowiedział spokojnie Zajac.

– Po drodze ktoś ją widział? – spytał kotołak.

– Nie.

– Kiedy to było?

– Jakies trzy godziny temu.

Niedawno – pomyślał Norbert. A zarazem na tyle dawno, by ukryć Nastkę choćby i w innym województwie. Nie, tego nie zrobili. Za dzień czy dwa podrzucą ją gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie ją porwali. Obrabowaną z mocy, ale żywą. Norbert nie miał zamiaru czekać bezczynnie. Postanowił odnaleźć Nastkę jak najszybciej. Najlepiej zanim ktokolwiek zdąży ją skrzywdzić.

– Czego dowiedziałeś się o nich do tej pory? – zwrócił się z pytaniem do Antoniego.

Zajac wydał usta, jakby chciał zebrać myśli.

– Po pierwsze, muszą być z okolicy. – Odgiął pierwszy palec prawej ręki, wyliczając kolejno. – Ograniczają się do miasta i peryferii. Po drugie, porywają tylko za dnia, najpóźniej wczesnym wieczorem. Za to podrzucają dziewczyny z rana. Według ostatniej ofiary jest jeden agresor, najwyżej dwóch, nie posługują się... – Antoni spojrzał na Piotrusia, wymownie zawieszając głos. – No wiesz, niczym specjalnym.

– Nie są od nas? – zdziwił się Norbert i odchylił głowę.

– Raczej nie, ale może ktoś ich wynajął.

– Masz jakies typy? – spytał kotołak z nadzieją.

– Aż za wiele, żaden się nie potwierdził. – Antoni uśmiechnął się kwaśno.

– Czyli nic nie mamy – podsumował Norbert.
Zamilkli pogrążeni w ponurych myślach.

30

Sławko powolutku przemierzał ulice, wypatrując nierówności w nawierzchni. W życiu nie skupiał się tak mocno na prowadzeniu samochodu, ale nigdy też nie jeździł na tak lichej oponie. Bardzo zależało mu na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza potrzebą wzywania pomocy drogowej albo policji. Ktoś obdarzony mniejszą cierpliwością zatrąbił na nich z tyłu. Sławko spojrzął w lusterko, zmrużył oczy, po czym opuścił szybę i wystawił pięść za okno. Potem zmienił ustawienie palców i wyprostował środkowy w jednoznaczny geście. Przejechał tak kilkadziesiąt metrów, tymczasem kierowca za nim z wyciem silnika minął ich lewym pasem. Kopytko, całkiem zadowolony z efektu, schował się i zamknął okno.

– No, wreszcie – mruknął z satysfakcją.

– Nie wiem, czy prowokowanie innych kierowców jest dobre – zauważył Zbinio.

– Myślisz, że facet wyskoczyłby z auta i dał nam po pyskach? – uśmiechnął się złośliwie Sławko.

– Zawsze istnieje taka możliwość, a my nie chcemy się rzucać w oczy, sam powiedziałeś.

– Nie psuj mi humoru – burknął, a radość spęzła z jego twarzy jak opadająca zasłona.

Skręcił w wąski przesmyk pomiędzy budynkami i dalej na podwórko starej kamienicy. Tu było jeszcze trudniej się poruszać, bo wspomnienie po brukowanej nawierzchni przemieniło się dawno temu w koszmar wulkanizatora. Z nierównego asfaltu wystawały kawałki połamanych betonowych płyt. Spomiędzy nich wyrastały rośliny przysłaniające kolejne niebezpieczeństwa, jak resztki drutów i prętów, które najwyraźniej stanowiły pozostałość po wysypanej tu i ówdzie mieszance gruzów.

Sławko wprawnie manewrował po tym torze przeszkód, niczym stary bosman po rafie koralowej. Wreszcie zaparkował pod odrapanym murem i zgasił silnik. Wyłączył światła. Siedzieli

w samochodzie kilka minut i obserwowali rozpalone pierwszymi światłami brudne okna, wypatrując ciekawskich oczu. Dopiero kiedy upewnili się, że nikt ich nie obserwuje, wysiedli z auta. Otworzyli tył.

Sławko chwycił Walcię pod ramiona i z trudem uniósł do góry.

– Łap za nogi – zakomenderował.

Zbinio bez szemrania zabrał się za robotę. Przetransportowali dziewczynę, niezauważeni przez nikogo.

– Uf! – sapnął Padło, gdy przenosił Walcię przez wysoki próg drzwi prowadzących do klatki schodowej. – Ciężka jest.

– Nie marudź – odparł Sławko ze złością, idąc za nim. – Niesiesz tę lżejszą część.

– Skąd wiesz, że ta część jest lżejsza? – Kolega zmarszczył brwi.

– Przecież to od razu widać.

– Nie sądzę, zobacz, jaka tu jest szeroka...

– A widziałeś jej biust?! To dopiero masa!

– Nie mogliśmy znaleźć lżejszej? – jęknął Zbinio, pokonując wąskie schody na półpiętro.

– A widziałeś taką po drodze?

Walcia przysłuchiwała się tej wymianie opinii na temat swojej budowy i aż sapnęła ze złości. Trzeba było jej nie porywać, to nie musieliby dźwigać, sama przecież doskonale sobie radziła z chodzeniem na co dzień. Miała ochotę wstać i uderzyć każdego z osobna w pysk, ale wtedy nie byłoby efektu zaskoczenia. Udawała więc twardo nieprzytomną, aby nie ułatwiać zadania swoim porywaczom.

– Sławko, ona się chyba obudziła... – mruknął niepewnie Zbinio, próbując ze swojej perspektywy dostrzec twarz Walci pod gęstą burzą rudych loków, które w nieładzie spadały na jej twarz.

– Niemożliwe.

– Na pewno? Bo mnie się wydaje...

– Na pewno – wysapał. – Szef mówił, że póki ma na szyi medalion, to się nie ocknie. To jakiś specjalny gadżet. Nie gderaj tyle, bo tylko powietrze psujesz.

Zbinio zamilkł lekko obrażony. Wciągnęli Walcię na drugie piętro do mieszkania. Szef właśnie czytał coś na kanapie, gdy z impetem wparowali do korytarza. Zerwał się z siedzenia i wyciągnął broń zza paska, składając ręce do strzału.

– Durnie jedne – warknął na nich, kiedy dostrzegł swoich pomocników z nieprzytomną dziewczyną. – Chcecie, żebym wam dupy podziurawił?!

– Chyba głowy – odparł nieśmiało Sławko w pierwszym odruchu, bo widział, jak wysoko szef mierzył.

– Dupy jesteście, to dupami myślicie, więc tam mierzyłem – skwitował. – Co was tak długo nie było?! Podrywaliście ją czy co?

– Nie była sama. Czekaliśmy na odpowiedni moment, żeby nas nie nakryli.

– I dobrze – odparł szef zadowolony. – Dorzućcie ją do tej drugiej, ja zadzwonię do zleceniodawcy.

– Tak jest – stęknął Sławko i skierował się do pokoju obok.

Wymanewrowali ciałem Walci w zakręcie korytarza i dotarli do zamkniętych drzwi. Kopytko, który do tej pory szedł głównie tyłem, zatrzymał się na chwilę.

– Otwórz, bo mi ręce odpadną – ponaglił go Zbinio, przestępując z nogi na nogę. Nawet dla niego Walcia okazała się sporym wyzwaniem.

– Nie mam klucza. Poza tym jak? Mam ręce zajęte!

– Pójdę po klucz – zaoferował się Padło i nim Sławko zdążył zaproponować, położył na podłodze nogi dziewczyny. Ruszył do salonu, w którym zostawili klucz do pomieszczenia, po tym jak zamknęli w nim pierwszą ofiarę. Sławko złorzeczył kumpłowi w myślach, oddychając coraz ciężiej. W końcu położył górną część ciała Walci na podłodze i odetchnął.

– Co robisz? – doszedł go głos wracającego Zbinia.

– Karaoke urządzam. No chyba widać, że nie stepuję jej na głowie, tylko czekam na ciebie.

Padło przekroczył leżącą dziewczynę i otworzył drzwi. Obaj ponownie chwycili końce bezwładnego ciała i wnieśli je do środka. Z trudem ułożyli rudowłosą na wolnym łóżku i wyszli, w pełni zadowoleni z dobrze wykonanej roboty.

Walcia odczekała kilka minut i gdy upewniła się, że żaden z nich nie ma zamiaru wrócić, otworzyła oczy. Rozejrzała się. Na ścianach wisiało kilka starych obrazów w bardzo zniszczonych, ale ładnych ramach. Przedstawiały różne ujęcia: od martwej natury, przez widoki, do portretów ludzi ubranych w mocno wykrochmalone kołnierzyki.

W oknie wisały grube zasłony, a pod ścianą stała bardzo wiekowa komoda, która przypominała antyczny mebel. Walcia leżała na starym drewnianym łóżku, jakie kiedyś widziała na obrazach w muzeum. Było wyposażone w wezglowie i zdobioną płytę w nogach, obok niego zaś znajdowało się drugie, bliźniaczo podobne, na którym leżała inna dziewczyna. Walcia widziała tylko tył jej głowy, większość ciała zatopiła się w puchatej pierzynie, którą były nakryte oba łóżka.

Wstała ostrożnie, nasłuchując wciąż, czy z korytarza nie nadbiegają odgłosy zbliżających się kroków.

Podkraśla się do pościeli obok. Czarne jak noc włosy, rozsypane na poduszce, odcinały się na jasnej pościeli. Walcia potrząsnęła delikatnie ramieniem dziewczyny.

– Hej, słyszysz mnie? – szepnęła ostrożnie, ale nie uzyskała żadnej reakcji.

Delikatnie pociągnęła ją za ramię i odwróciła na plecy. Oczy otworzyły jej się szerzej, kiedy zrozumiała, kogo widzi.

– Nastka? – zawołała cicho. – Nastka? Obudź się!

Potrząsnęła mocniej ramieniem przyjaciółki, ale ta nie ocknęła się. Leżała zupełnie nieprzytomna, jakby pogrążona w głębokim letargu. Walcia sprawdziła dla pewności jej oddech. Dziewczyna żyła, tylko spała tak głęboko, że nie dało się jej wybudzić.

Rozejrzała się wokół. W pomieszczeniu była tylko jedna para drzwi, które prowadziły na korytarz. Rozpadająca się ze starości żółta firanka zasłaniała wąskie, wysokie okno, które ktoś zabarykadował w dolnej części kawałkiem płyty pilśniowej, przez co nie potrafiła powiedzieć, gdzie się znajduje. Nie znalazła bezpiecznej drogi ucieczki, więc zaczęła rozglądać się za czymś, co mogłoby jej pomóc w obronie siebie i Nastki lub w ich uwolnieniu. Przy łóżkach stała niska szafka nocna z lampką z papierowym abażurem. Walcia wysunęła ostrożnie szufladę, która okazała się pusta. Rozejrzała się dalej. Po drugiej stronie jej pościeli znajdował się stolik zrobiony z maszyny do szycia, a na nim emaliowana miednica w niebieskie kwiatki i taki sam dzbanek. Przy drzwiach stała wiekowa szyfoniera z wiśniowego drewna. Walcia dawno takiej nie widziała. Wysoki, ale wąski mebel przypominał komodę z mnóstwem szuflad. Podniosła się i na palcach zbliżyła do niego. Spróbowała wysunąć pierwszą

z góry szufladę. Przesuwała się bardzo opornie. Dziewczyna bała się, że jeśli zrobi jakiś gwałtowniejszy ruch, to dźwięki mogą zwabić porywaczy do pokoju. Na razie nie miała planu na to, jak się bronić, więc wołała, żeby nie przychodzili. W końcu jej się udało. Pierwsza szuflada była pusta. W drugiej znalazła tylko stary, zaśniedziały klucz. W trzeciej leżały rozsypane męskie skarpety zwinięte w małe ruloniki. Kolejna zawierała dla odmiany slipy i bokserki. Walcia zasunęła ją szybko. Potrzebowała chwili na następną. Znalazła tam dwie pary spodni, w innej dwa krawaty i pasek, w ostatniej leżały koperty i zadrukowane papiery. Wyciągnęła kilka zaciekawiona. Wyglądały jak stare rachunki. Wybrała jeden z adresem, złożyła kilka razy i schowała do kieszeni bluzy.

W tym momencie usłyszała zbliżające się do drzwi głosy i kroki. Zasunęła z lekkim trzaskiem szufladę i wróciła z bijącym sercem na łóżko. Rozmówcy przeszli obok i powędrowali dalej, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Walcia znów odczekała dla pewności, ale nikt nie wrócił. Towarzyszyła jej tylko cisza. Odwróciła głowę i spojrzała na Nastkę. Dziewczyna nadal nie odzyskała przytomności, choć przecież powinna się ocknąć, gdy nią potrzęsała i szturchała kilka razy.

– Nastka? – zawołała szeptem. Przyjaciółka nie odpowiedziała.

Zastanawiała się, dlaczego nie może jej dobudzić, jakby była pod wpływem klątwy niczym Królowna Śnieżka. Nagle przypomniała sobie słowa jednego z porywaczy. Tego, którego nazywali Sławko.

Podniosła się z łóżka i podeszła jeszcze raz do przyjaciółki. Obejrzała ją dokładnie. Na szyi czarownicy wisiał taki sam kamień jak u Walci. Ostrożnie zdjęła go z czarnowłosej i odłożyła na nocny stolik. Powieki dziewczyny poruszyły się, a oddech zmienił rytm.

– Nastka, słyszysz mnie? Obudź się.

– Co jest? – wymamrotała z trudem, walcząc o powrót do przytomności.

– Porwali nas, musimy stąd uciekać! – szeptała gorączkowo Walcia.

– Że co? – Czarownica zmarszczyła brwi i przewróciła się na bok, próbując się ocucić. Otworzyła oczy i natychmiast chwyciła się za głowę. – Chyba spałam całe wieki.

– Porwali nas, nie czas na spanie.

Nastka wreszcie usiadła na posłaniu i rozejrzała się wokół.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nie mam pojęcia, ale chyba musimy się stąd wydostać.

– Jak się tu znalazłyśmy? – dociekała dziewczyna, przecierając twarz dłonią.

– Porwali nas.

– Razem? – zdziwiła się. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy spotkała Walcię, choć moment ataku i porwania powoli wracał do niej z ciemności.

– Nie, każdą osobno.

– Dlaczego porwali i mnie, i ciebie?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale chyba chcą ci zrobić krzywdę.

– Tylko mnie?

– Wydaje mi się, że to ci sami ludzie, którzy zabierali czarownicom moce.

– Skąd wiesz? – Nastka spojrzała na przyjaciółkę ze zdziwieniem. Jej wiedza o kłopotach czarownic była większa, niż się spodziewała.

– Łączę ze sobą fakty – odparła Walcia, odrobinę dumna z tego, że mogła zabłysnąć informacjami przed czarownicą. – Nie ma czasu, musimy wymyślić jakiś sposób na wydostanie się stąd.

Nastka podniosła się z trudem. Wciąż kręciło jej się w głowie, jakby przespała całą dobę. Walentyna obserwowała ją z niepokojem. Przeraziła się, że przyjaciółce już coś zrobili. Może wisiołek nasączony był jakimś lekiem albo substancją, po której nie można się dobudzić?

– Daj mi chwilę. – Nastka spuściła stopy na podłogę i pochyliła się, chowając twarz w dłoniach. – Nie mogę zebrać myśli i zupełnie nie wiem dlaczego.

– Może coś ci podali?

– Nie. – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – To nie to.

Podniosła oczy i powoli rozejrzała się wokół.

– Co to?

Walcia spojrzała na swoją pierś. Na wąskim rzemieniu wisiał kamień, taki sam jak ten, który zdjęła Nastce z szyi.

– Nie wiem, zawiesili mi go. Ty też taki miałaś – odparła zgodnie z prawdą. – Może jest nasączony jakąś substancją usypiającą?

Nastka chwyciła wisior w dwa palce. Przyjrzała mu się i nagle zrozumiała. Zostawiła kamień, odchyliła się i sięgnęła do spinki we włosach.

– To chyba nie najlepszy moment na poprawianie fryzury – zganiała ją Walcia. – Czy możemy zacząć myśleć o ucieczce?

– Ciii... – zaczęła dziewczyna, ale dalsze słowa utonęły w potężnym ziewnięciu. Nastka zdjęła klamrę i spod kokardki z materiału wyłuskała szpilkę. Ukłuła się nią mocno w palec, aż krew jej poleciała. Wyssała kroplę i zamrugowała. Wpięła ponownie szpilkę, po czym założyła klamrę.

Walcia w milczeniu uniosła brwi.

– Już w porządku – zapewniła ją Nastka, wstając z łóżka i ponownie się rozglądając, tym razem całkowicie przytomnym spojrzeniem.

– Powiesz mi, co zrobiłaś? – dociekała przyjaciółka.

– Ten kamień to amulet Dziada Piaskowego, włada snem. Ten, kto go nosi, śpi jak niemowlę.

Walcia spojrzała na swoją szyję z niedowierzaniem. Kamień nadal tam był, a jej wcale nie chciało się spać. No, może odrobinę, ale raczej rzuciłaby to na karb ogólnego zmęczenia, niż przypisała jakiemuś amuletowi.

Nastka przykucnęła obok niej.

– Nie mam pojęcia, dlaczego na ciebie nie działa – uśmiechnęła się. – Czasami mnie zadziwiasz, Walentynko. Jednak lepiej go zdejmij. Tak na wszelki wypadek.

Sama ściągnęła jej naszyjnik i odłożyła obok. Podniosła się i kontynuowała oględziny. Weszła na łóżko, chcąc sprawdzić, czy uda jej się zobaczyć, co jest za kawałkiem dykty w oknie, ale okazała się za niska. Zeszła i podążyła w kierunku szyfoniery.

– Tam nic nie ma, tylko jakieś ciuchy i rachunki – uprzedziła ją Walcia, siadając na pościeli. Zgarnęła amulet i schowała go do kieszeni.

– Tu ktoś mieszka? – Nastka potoczyła spojrzeniem po ścianach, jakby szukała potwierdzenia swoich słów.

– Nie wiem. Chyba tak.

– Ubrania są w jednym rozmiarze?

– Tak myślę, nie sprawdzałam dokładnie.

– To po co dwa łóżka?

Walcia przechyliła głowę, nie zastanawiała się nad tym.

– Są tam? – Nastka znów zadawała pytania półszepcetem.

Wskazała na drzwi.

– Gdzieś w mieszkaniu, ale raczej nie bezpośrednio za ścianą.

– Ilu ich jest, wiesz?

– Chyba dwóch.

– Tylko? – zdziwiła się czarownica.

– Było trzech, ale słyszałam trzaśnięcie drzwiami.

Nastka przyłożyła ucho do przegrody i zaczęła nasłuchiwać. Niestety, grube, stare drewno skutecznie uniemożliwiało rozpoznanie dźwięków, rozróżnienie głosów czy wywnioskowanie czegokolwiek z rozmowy. Westchnęła zrezygnowana, odrywając się od skrzydła. Spojrzała na Walcię wymownie i wskazała palcem klamkę. Rudowłosa pokiwała twierdząco głową, co miało oznaczać „tak, jest zamknięte na klucz”. Nastka zostawiła w spokoju drzwi i usiadła na drugim łóżku.

– Oknem nie wyjdziemy – zaczęła.

– Nie – zgodziła się Walcia.

Nawet gdyby było otwarte, to raz, że znajdowały się na pierwszym lub drugim piętrze – nie miała co do tego pewności – a dwa, nie podobała jej się perspektywa skakania po gzymsach czy zsuwania się po rynnie. W pewnym stopniu nawet cieszyła się, że okno było zabite płytą.

– Drzwiami też nie wyjdziemy, bo zamknięte.

– No, raczej.

– W takim razie musimy poczekać, aż oni przyjdą po nas. – Nastka odchyliła się lekko do tyłu, założyła nogę na nogę i oparła dłonie na kolanie, w pełni zadowolona ze swojego planu.

– Że co?! – wyrwało się Walci odrobinę zbyt głośno i natychmiast odruchowo zakryła usta dłonią.

– Poczekamy, aż przyjdą po nas, zaczaimy się i każda zdzieli jednego w łeb. Jest ich dwóch, więc wypada po jednej sztuce na każdą z nas, łatwizna. Jak będą już leżeć, to po prostu stąd uciekniemy.

– Ale oni mogą mieć broń – jęknęła.

– A my mamy przewagę zaskoczenia. Walentynko, oni myślą, że my tu leżymy nieprzytomne. Zanim zorientują się, że tak nie jest, już sami będą wyciągnięci na podłodze jak rybki na brzegu rzeki.

– No nie wiem – powątpiewała Walcia, nie do końca przekonana do pomysłu zdielenia kogokolwiek w cokolwiek.

– Chyba nie zamierzasz czekać, aż zrobią to, po co nas porwali?

– Nie.

– No właśnie. – Nastka wstała i sięgnęła po lampkę stojącą na nocnym stoliku. Zważyła ją w dłoniach. Drewniana nóżka może nie była imponujących rozmiarów, ale musiała wystarczyć, niczym innym nie dysponowały. Podała przedmiot swojej towarzyszce. Ta niechętnie wzięła go w dłonie i zaczęła obracać.

– Nadal mam wrażenie, że to trochę nie fair.

– To wyzbądź się tego wrażenia. Kochana, o swoje trzeba walczyć, czy to na wyprzedzący w sieciówce, czy teraz, gdy grozi nam niebezpieczeństwo – stwierdziła czarownica, szukając odpowiedniego uzbrojenia dla siebie. Niewiele zostało do wyboru. Meble nie nadawały się do rozłożenia tak, aby uczynić z nich poręczną broń. Jeśli nie chciała rzucać w porwaczy skarpetkami z szuflady, pozostawał jej tylko emaliowany dzbanek. Zajrzała do środka, był pusty. Okazał się też nadzwyczaj lekki. Zważyła go w dłoniach. Z pewnością z obciążeniem działałby bardziej skutecznie, ale jak to mówią, jak się nie ma, co się lubi... Wróciła z dzbankiem na łóżko i usiadła naprzeciwko Walci.

– Co teraz? – spytała rudowłosa niepewnie, patrząc na przyjaciółkę.

– Czekamy.

31

Sławko połknął ostatni kęs pizzy, popił go piwem, a na koniec wytarł wierzchem dłoni usta umorusane sosem. Odrzucił na wieczko pudełka suchą krawędź ciasta i odetchnął, odchylając się w fotelu. Humor po jedzeniu znacznie mu się poprawił. Miał nawet wrażenie, że wreszcie zaczął jasno myśleć.

– Moglibyśmy jeszcze wstąpić na jednego po odwiezieniu dziewczyn – rozmarzył się, spoglądając w zamyśleniu na puszkę piwa, którym zapijał niezbyt wyszukane danie.

– Okej – odparł Zbinio powoli.

Padło jadł tak, jak myślał. Każdy kęs przeżuwał pomału i dokładnie, trochę przypominał w tym Sławko krowę. Kiedy jego towarzysz kończył czwarty kawałek pizzy, Zbinio zaczynał drugi. Dla Sławko była to idealna sytuacja, przynajmniej więcej przypadła dla niego.

Z pokoju obok wyszedł szef, w ręce trzymał księgę rachunkową. Spojrzał na nich z niechęcią i zerknął na zegarek.

– Weźcie się wreszcie do roboty, już czas – mruknął, co obaj jego podwładni docenili, przynajmniej nie krzyczał.

– Tak jest, już się robi – odparł szybko Kopytko i zerwał się z fotela, aż mu się odbiło.

Szef westchnął tylko z rezygnacją, pokręcił głową i wrócił do swojego pokoju.

– Żebyś tu za dziesięć minut nie zobaczył! – wrzasnął jeszcze przez domykające się za nim drzwi.

– No i skończyło się wczasowanie – mruknął z żalem Sławko.

– Kto był na wakacjach? – spytał Zbinio szczerze zdziwiony.

– My, przez chwilę.

– Naprawdę?

– Chodź.

Sławko nie miał siły tłumaczyć Zbiniovi niuansów językowych. Zamiast tego kiwnął na niego głową i ruszył do ostatniego pokoju, w którym zamknęli dziewczyny.

Staął pod drzwiami i zaczął szukać po kieszeniach klucza. Pamiętał, że po tym, jak Padło otworzył drzwi, to on go wyjmował z zamka.

– Sławko? – Zbinio stanął za nim.

– Co?

– A oponę dopompowałeś?

– Cholera! – Kopytko trzasnął się otwartą dłonią w czoło. Zapomniał zupełnie o spuszczonej powietrze w kole. Jeśli chcieli dziewczyny szybko wywieźć, nie mógł tracić na to czasu, gdy już będą zapakowane.

– Czekaj, zrobię to i wtedy je zaniesiemy.

Truchtem wybiegł z mieszkania. Po piętnastu minutach wrócił na górę zziębnięty i spocony, trzymając w ręce żółtą blokadę samochodową na koło. Postawił ją w korytarzu, pod ścianą, przy wieszaku na kurtki, i poszedł dalej. Zbinio stał pod drzwiami tam, gdzie go zostawił.

– Znalazłeś klucz? – spytał powolnego kumpla.

– Myślałem, że ty go masz.

– Nie mam. Pompki też nie mogłem znaleźć.

– To iść poszukać? – spytał Zbinio uczynnie.

– Nie, postój tu, a ja pójdę – odparł swobodnie Sławko, czując, jak go nerwica bierze, przekręca i odstawia na miejsce.

– Dobra. – Partner kiwnął głową.

Kopytko nie wytrzymał.

– Rusz się, idioto w darmochę kopany! Szukaj klucza, bo stąd nie wyjdziemy! – warknął, dając tym samym upust złości.

Padło – przez lata wytrenowany na wybuchach szefa – natychmiast odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania na poszukiwanie. Sławko jeszcze raz przetrząsnął kieszenie spodni i kurtki, próbując sobie przypomnieć, gdzie zostawił klucz. Zawsze przecież chował go do lewej kieszeni albo odkładał na miejsce. Wtedy go oświeciło. No tak, odłożył go na miejsce, do górnej szuflady szyfoniery!

W takim razie drzwi musiały przez cały czas pozostawać otwarte. Co za niedopatrzanie z jego strony! Gdyby szef się o tym dowiedział, przetrąciłby mu kilka palców „na pobudzenie myślenia”, jak to

mawiał. Ale w sumie obie i tak leżą nieprzytomne, więc nie ma zagrożenia – pomyślał natychmiast, żeby się usprawiedliwić.

Zdecydowanie nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wszedł do środka. Zobaczył puste łóżka. W pierwszym momencie stanął, nie bardzo rozumiejąc, co widzi. Przecież pamiętał, że położyli obie na pościeliach. Czarną po lewej, a rudą po prawej. Jak kładli drugą, to pierwsza jeszcze spała. Czyżby wpadły pod łóżka? – pomyślał.

– Nie ma drugiego? – usłyszał za sobą szept.

– Trudno, wal w łeb – padła odpowiedź.

Sławko poczuł silne uderzenie w potylicę. Nogi mu się ugięły. Stracił równowagę i runął na parkiet jak długi.

– Uciekamy, Walcia.

Nad głową Sławko zapanowało zamieszanie. Odwrócił się, chwytając za obolałą potylicę, i zdążył tylko zobaczyć jakąś postać umykającą korytarzem.

– Zbinio! Łap je, uciekają! – zawył.

W korytarzu zabębniły dwie pary butów. Padło rzucił się w tamtym kierunku i w ostatniej chwili zdążył uchylić się przed nadlatującym w jego stronę przedmiotem. Rozpoznał małe, niebieskie kwiatki, po czym usłyszał głuchy dźwięk metalu zmieniającego kształt na tynkowanej ścianie. Aż mu dreszcz przeszedł po plecach na myśl, że to mogła być jego głowa. Rozejrzał się. W korytarzu stały obie porwane dziewczyny. Rudowłosa trzymała w rękach samochodową blokadę i widać było, że mocno jej ciąży ta broń. Druga – przytulona do niej – ścisnęła emaliowany dzbanek, który w tej chwili bardziej przypominał przetrąconą patelnię.

– Tylko spokojnie – rzucił w ich kierunku, a potem uniósł pojednawczo rękę.

– Nie podchodź, bo dostaniesz z... tego czegoś! – zagroziła Walcia i zaczęła z wysiłkiem wymachiwać ciężkim przedmiotem.

– Ne bądźcie głupie, nie zdążycie uciec. – Sławko dotarł na korytarz, masując wielkiego guza.

– Chcesz dostać jeszcze raz? – Walcia odwróciła się w jego stronę. – Nastka! – krzyknęła do przyjaciółki, nie spuszczając wzroku z porywacza. – Otwórz drzwi, zanim mi ręce zwiędną.

– Już... – Czarnowłosa rzuciła się do zamka.

– Nikt stąd nie wyjdzie – usłyszeli wszyscy. Z pokoju wyszedł szef. W ręce trzymał glocka. Odchylił go lekko do góry i teatralnym gestem odblokował. Szczęk broni Walcia wręcz czuła w zębach. Wycelował w dziewczyny.

– A teraz ty – wskazał na Nastkę – odsuniesz się od drzwi, a ty – tu przesunął lekko lufę, wskazując na rudowłosą – odłożysz tę lagę i przestaniesz robić zamieszanie.

Walentynie spłynęła strużka zimnego potu po kręgosłupie. Nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej sytuacji, nikt nie mierzył do niej z broni!

Czarownica powoli puściła klamkę i cofnęła się bliżej przyjaciółki. Walcia czuła, że nie mają szans, więc równie wolno odstawiła blokadę pod ścianę, skąd przed chwilą ją wzięła.

– Doskonale, grzeczne dziewczyny – rzekł szef z satysfakcją w głosie. – Szkoda byłoby zabijać takie ładne sarenki. A teraz wy... – Jego głos nabrał mocy i chłodu. – ...idioci patentowani, zwiążecie je i zabierzecie stąd, ale już!

Sławko i Zbinio rzucili się w stronę porwanych, zamykając je w stalowych uchwytach swoich spracowanych dłoni.

– Tylko żeby się nie uwolniły i nie uciekły więcej, bo wam jaja pouryvam przy samej szyi – zagroził szef, gdy prowadzili dziewczyny do pokoju.

32

– Czekaście, chyba mam pomysł! – zawołał Piotruś, ożywiając się nagle. Pozostali spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

Chłopak wyciągnął komórkę z kieszeni kurtki i natychmiast posmutniał.

– Co wymyśliłeś? – zapytał Norbert, żeby go łagodnie ponaglić. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną, jeśli w grę wchodziło bezpieczeństwo Nastki.

– Znam jednego takiego, który obraca się w kręgach, że tak to ujmę, miejskiego półświatka. Dorastaliśmy razem na blokowisku. Pomyślałem, że on może wiedzieć coś o tych porywaczach.

– Myślisz, że to on?

– Raczej nie, pracuje na bramce w pubie, ale zna różnych ludzi, dużo słyszy. Nie uwierzyłbyś, jakie historie trafiają do jego uszu i kogo widuje.

– Chyba wolę nie wiedzieć. Zadzwoń do niego.

– No właśnie, tylko moja komórka jest martwa.

– To wyjmij kartę i włóż do innego aparatu – odezwał się Antoni.

Piotruś popatrzył na niego, jakby mężczyzna właśnie oznajmił mu prawdę objawioną albo najpiękniejszą wiadomość dnia w postaci wygranej naszych na piłkarskich mistrzostwach świata. Całe oblicze rozpromieniło mu się niczym słońeczko na lipcowym niebie.

– O tym nie pomyślałem, a to przecież takie proste! – ucieszył się i odwrócił do Norberta.

– Na mnie nie licz, nadal mam nadzieję, że Nastka się odezwie. Muszę być czujny. – Kotolak podniósł do góry obie dłonie w wymownym geście.

Obaj spojrzeli na Antoniego.

– Dlaczego ja? – jęknął Zając.

– Boś wpadł na ten genialny pomysł – podsumował Norbert.

Mężczyzna westchnął ciężko i oddał komórkę. Piotruś przełożył błyskawicznie kartę, zalogował się i uzyskał dostęp do kontaktów. Po

chwili wybrał numer i zamienił kilka prostych zdań z rozmówcą. Rozłączył się.

– Jestem pełen podziwu – stwierdził Antoni, unosząc lekko brwi – dla umiejętności posługiwania się prymitywnym językiem ludzi, których bogowie zgubili gdzieś pomiędzy homo a sapiens.

– Zdziwisz się jeszcze bardziej, bo musimy się stąd ruszyć. Porozmawiam z nim na miejscu.

– Nie mógł ci powiedzieć wszystkiego przez telefon?

– Ma taką zasadę. Rozmawia przez telefon tylko z teściową. Z innymi się spotyka i nigdy nie udziela informacji przez łącza. Za często słyszał o nagrywaniu.

– A o dyktafonach nie słyszał? – sarknął Antoni.

– Nie wiem, ale lepiej nie podsuwać mu tego pomysłu – przyznał Piotruś. – Przynajmniej póki z nim nie pogadamy. Norbert, podwiesz nas?

– To zależy, czy nie odholowali mojego auta.

Kotołak ruszył do wyjścia. Antoni przewrócił oczami, ale zgarnął z wieszaka przy drzwiach szary prochowiec i zarzucił go na siebie w drodze na zewnątrz. Piotruś roześmiał się rozbawiony, ale na widok miny Zająca poczuł się zobligowany do wyjaśnienia:

– Ale numer, masz dokładnie takie samo wdzianko jak twój zwierzak, a tak właściwie, to gdzie jest ten zając, którego przynieśliśmy? – przypomniał sobie i rozejrzał się odruchowo po korytarzu.

Czarodziej spojrzał wymownie na Norberta, ale ten tylko wzruszył ramionami i ponaglił ich.

– Nic mu nie będzie – odparł wymijająco Antoni. – Chodźmy, mamy do załatwienia jedną ważną sprawę.

Ulica, na której jeszcze jakiś czas temu zdarzył się nietypowy wypadek z udziałem rudego, niskiego elfa w prochowcu, jak twierdzili świadkowie, albo z udziałem Szalonego Szaraka, o czym wiedzieli tylko wtajemniczeni, zaczęła świecić pustkami. Dwa uszkodzone samochody właśnie stały na lawetach, a kierowcy szykowali się do odjazdu. Pozostali uczestnicy ruchu, którzy tak chętnie działali na rzecz wyjaśnienia wypadku, wrócili już w większości do swoich aut i powoli przeciskali się w wąskim

przesmyku pomiędzy zaparkowanymi po bokach pojazdami a lawetami.

– Chyba zdążyliśmy w samą porę – ocenił Norbert i przyspieszył kroku.

– Zostawiłeś samochód na środku drogi? – nie dowierzał Antoni, gdy zobaczył srebrne auto tarasujące przejazd prawie u wylotu ulicy. Kierowcy zaczęli się już niecierpliwić, chcąc przejechać dalej.

Cała trójka zapakowała się szybko do środka. Norbert włączył silnik i ruszył w ogonku za pozostałymi.

– Gdzie właściwie jedziemy? – spytał, gdy minęli lawety i na jezdni zrobiło się więcej miejsca.

– Na osiedle, w sumie niedaleko – odparł Piotruś.

Kotołak przyspieszył i ustawił się do skrętu na krzyżówce. Kilka minut później parkował już na sporym parkingu pod jednym z bloków. Po drugiej stronie jasnym neonem oświetlała okolicę ostoja konsumpcjonizmu i dobrobytu, czyli dyskont z logo swojskiego płaza. Za blokiem rozciągał się spory skwer przypominający park. Urok budownictwa Peerelu, które w dzisiejszych czasach stało się najbardziej poszukiwanym elementem miejskiej architektury. Na ustawionych wzdłuż ścieżek ławeczkach przysiedli emeryci wracający z pobliskiego kościoła i nastolatki idący z równie bliskiego centrum handlowego. Na ich tle wyróżniał się potężny, ogolony na łyso mężczyzna w drelichowym dresie i o twarzy przywodzącej na myśl epokę kamienia łupanego, który rozparł się szeroko, zajmując prawie całą przestrzeń ławeczki.

– Gryzak! – zawołał Piotruś na jego widok.

– Szczurek! Już myślałem, że to podpucha! – zawołał nieznajomy. Chwycił wyciągniętą do niego przyjaźnie rękę Piotrusia i potrząsnął nią tak energicznie, że drobniejszy chłopak aż zaplątał się w nogach i ledwie na nich ustał.

– To są moi znajomi, Norbert i... – Szczurko zawahał się, uświadamiając sobie, że właściwie nie zostali sobie przedstawieni.

– Antoni – pomógł mu czarodziej. – Antoni Zając.

– A ten z której choinki się urwał? – Mężczyzna zwany Gryzakiem zmarszczył brwi i otaksował Antoniego krytycznym spojrzeniem: od stóp w błyszczących półbutach, przez spodnie w kant, po prochowiec i wystający spod rozpiętych klap żabot białej koszuli.

– I to mówi człowiek, który ma na sobie drelich z poprzedniej epoki – odciął się Zając.

– Czy on mnie właśnie obraził, Szczurku? – zwrócił się Gryzak do Piotrusia.

– Nie – zainteresował chłopak. – To dziwak. Nie przejmuj się nim. Słuchaj, mam problem. – Piotruś postanowił odwrócić uwagę kolegi, zanim konflikt na linii Zając – Gryzak przerodzi się w małą wojnę domową. – Szukamy pewnych ludzi, którzy porywają dziewczyny.

– Bawisz się w detektywa?

– Zaginęła moja znajoma. Ma na imię Anastazja i prawdopodobnie została porwana przez nich. To jego dziewczyna. – Wskazał kciukiem za siebie, na Norberta.

– Rozumiem, stary. – Kolega pokiwał głową na znak współczucia. – Ale co ja mogę?

– Może wiesz, kim oni są? Nikt ostatnio nie rozmawiał o takich, co porywają dziewczyny? Nie dla okupu, tylko robią im coś złego, po czym wypuszczają. Dziewczyny nie pamiętają zdarzenia, ale ktoś je krzywdzi.

Gryzak zamyślił się intensywnie. Jego twarz tak się zmarszczyła, że wyglądał, jakby lada chwila zamierzał zaatakować. Na czole wystąpiła mu głęboka bruzda.

– To niewiele informacji – mruknął w końcu. – Nie bardzo przychodzi mi cokolwiek do głowy.

– Na pewno? To dla nas bardzo ważne – nalegał Piotruś.

– Wiedziałem, że nic z tego – prychnął Antoni.

– Bardzo mi przykro, stary, ale nie kojarzę sprawy.

– Jest ich dwóch, działają mniej więcej od pół roku – kontynuował Piotruś, wyluskując najbardziej przydatne informacje z rozmowy w samochodzie. – Porywają dziewczyny, raczej młode, ale dorosłe. Dwadzieścia parę lat, po jednym dniu je wypuszczają, podrzucają gdzieś nieprzytomne.

Gryzak ponownie się zamyślił.

– Słyszałem o tym, bardzo podejrzana sprawa. Ponoć żadna nie została zgwałcona, ale wszystkie się pochorowały – odparł wreszcie, odnajdując nieco faktów w pamięci.

– Dokładnie – potwierdził Szczurko z nadzieją.

– Ktoś mi opowiadał o tej robocie... – Podrapał się w łysą głowę. – Jakiś facet... Żalił się... Jak on się nazywał? Miał jakoś tak... Sławny?

– Był sławny?

– Nie, jakoś tak go nazywali, tylko jakby po rosyjsku.

– To Rosjanin? – zdziwił się Norbert.

– Nie, Polak, ale takie miał przezwisko. O, już wiem, Sławko! – Gryzak pstryknął palcami. – Dokładnie tak, Sławko. Teraz pamiętam, przyszedł do pubu przed zamknięciem, chciał się napić. Narzekał przy barze, że musi robić coś takiego, a on woli stręczycielstwo i nagabywanie. Nie jest stworzony do porywania.

– I go nie zgłosiliście? – Piotruś nie dowierzał własnym uszom.

– Gdzie?

– No choćby na policję!

– A dlaczego? – zdziwił się szczerze znajomy.

– No... – zawahał się. – Facet przyznał się do porwania...

– Niby tak, ale to już było po fakcie, dziewczyna wróciła na ulicę. Poza tym... co przy barze powiedziane, w barze zostaje, taka święta zasada.

– Gdzie znajdziemy tego Sławka?

– Sławko – poprawił Gryzak. – Nie mam pojęcia. Nie jest u nas regularnym gościem.

– Czyli nic z tego – podsumował Antoni. – Strata czasu.

– Coś jednak wiemy – zaprzeczył Norbert. – Znamy przezwisko jednego z nich, może ktoś zna grupę, do której należy. Wtedy będziemy wiedzieć, gdzie mają melinę.

– I jak znajdziesz tego, co wie? – prychnął lekceważąco Zajac.

– Naprawdę mi przykro, że nie mogę ci bardziej pomóc, Szczurek – odezwał się Gryzak do starego kumpla. Jego mina świadczyła o tym, że mówił szczerze.

– Spoko, nie mam ci za złe. – Piotruś uśmiechnął się łagodnie.

– Życzę ci, żebyś znalazł swoją dziewczynę – zwrócił się do Norberta.

Zostawili mężczyznę na ławce i wrócili do samochodu.

Chłopak Nastki chciał coś powiedzieć, ale w aucie rozległ się dźwięk marszu żałobnego. W pierwszej chwili Piotruś pomyślał, że to muzyka z głośników radia. Dopiero gdy Antoni szturchnął go

w ramię, połapał się, że dzwoni jego, a właściwie Zająca komórka. Wyciągnął ją, zanim osoba po drugiej stronie się rozłączyła.

– Tak?

– Szczurku, jak poszedłeś, podzwoiłem trochę i chyba wiem, gdzie możesz znaleźć tego Sławko – odezwał się Gryzak.

– Dawaj! – Piotruś na podanej przez Norberta kartce zanotował adres i dwa nazwiska. – Wielkie dzięki, jestem twoim dłużnikiem!

Rozłączył rozmowę i przekazał kartkę koledze.

– Wspaniale, właśnie zaciągnąłeś dług u kogoś, kto mianem człowieka szcyci się tylko z rozpędu, bo urodził się w szpitalu i jest podejrzaną reputacją – pochwalił go ironicznie Antoni.

– Ten człowiek przekazał nam adres, pod którym znajdziemy porywaczy, a więc powinniśmy też znaleźć Nastkę – odparł Piotruś.

Powoli zaczynał przyzwyczajać się do uszczypliwego i gderliwego sposobu wypowiedzi Antoniego. Choć nadal nie lubił badacza i podejrzewał go o znęcanie się nad zwierzętami.

33

Sławko bez zbędnych ceregieli wepchnął Walcię na tylne siedzenie auta. Z drugiej strony Zbinio posadził Nastkę. Obu dziewczynom związali ręce w nadgarstkach i zakneblowali im usta jeszcze w mieszkaniu. Skoro były przytomne, uznali, że w ten sposób łatwiej im będzie je przetransportować. Po co przemęczać kręgosłup noszeniem bezwładnego ciała, jeśli można po prostu zaprowadzić dziewczynę do samochodu? Wystarczyło im pogrozić, a chodziły jak w zegarku.

Zadowolony z siebie Sławko zajął miejsce za kierownicą. Niezauważeni przez nikogo, powoli wyjechali z podwórka na ulicę.

– Zdamy na umówioną godzinę? – zastanawiał się Zbinio, spoglądając na zegarek.

– Jeśli nawet nie zdamy, to co nam robi? Przecież sam sobie ich nie dostarczy – prychnął partner.

– Będą się czepiać, ostatnio gadał, że chodzi o czas...

– Czas-szmas, czy ja wyglądam na piekarza, żeby na czas robić? Sam wiesz, że takich się nie znajduje na pierwszym lepszym rogu, trzeba pochodzić, poszukać. Jak mu się nie podoba, niech znajdzie kogoś innego, komu zleci robotę.

– A jak znajdzie kogoś?

Sławko spojrzął na kolegę z dezaprobatą, jakby ten powiedział coś bardzo niestosownego.

– A co, mają w książce telefonicznej poszukać?

– To jeszcze używa się książek telefonicznych? – zdziwił się szczerze Zbinio po krótkiej chwili namysłu.

– Na matki jerychońskie – zirytował się Kopytko. – Myślałeś kiedyś o tym, żeby się nie odzywać?

– Dlaczego?

– Bo wyglądałbyś na inteligentniejszego – odparł Sławko bez ogródek i ponownie skupił się na prowadzeniu samochodu.

Walcia zacisnęła powieki. Od początku próbowała się uwolnić z więzów, ale nie potrafiła. W końcu ręce w nadgarstkach bolały ją

tak mocno, że każdy ruch wyciskał łzy spod powiek. Otworzyła oczy i spojrzała na Nastkę. Przyjaciółce szło o wiele lepiej, rozluźniła wiązanie i mozolnie pracowała nad tym, aby zrobić sobie miejsce na wyciągnięcie przynajmniej jednej ręki. Dłonie miała drobniejsze, nie tylko w nadgarstkach, ale także w palcach. W końcu udało jej się oswobodzić i ręce spoczęły na kolanach. Palcami zaczęła dawać Walci znaki, że zajmie się jednym z bandytów, tym przed nią, a ona ma zająć się drugim.

Czarownica ostrożnie przesunęła dłoń tak, aby jej ruchu nie było widać we wstecznym lusterku i pomogła przyjaciółce rozwiązać pęta. Później skupiła się na drodze. Zaczekała na odpowiedni moment. Przejeżdżali właśnie jednokierunkową ulicą obok parku. Samochód stanął na światłach, bo ktoś przechodził przez pasy. Nastka dała znak, wychyliła się przed siebie, przeciągnęła sznur, którym była związana, i zarzuciła pasażerowi z przodu na szyję, po czym zaciągnęła mocno. Szarpnęła klamkę i wyskoczyła na pusty chodnik. Walcia w tym czasie zarzuciła kierowcy przez głowę medalion z kamieniem piaskowym i także wybiegła z auta.

Sławko osunął się nieprzytomny na siedzeniu, jak tylko amulet zaczął działać. Zbinio tym razem był szybszy. Chwycił krępujące go sznury, a słaby węzeł rozluźnił się natychmiast. Złapał oddech i pociągnął jeszcze raz. Był wolny. Wyskoczył z samochodu. Nie miał czasu zajmować się Sławko, musiał je złapać. Dziewczyny puściły się pędem przez park. Alejki dobrze przystrzyżonych krzewów nie dawały schronienia, więc gnały na przełaj, byle dalej od porywaczy.

– Szybciej, Walentyńko! – wołała Nastka, sadząc długimi susami po niewielkim spadku terenu, który porośnięty trawą, pełnił funkcję placu zabaw.

– Już n-nie mogę... – wychrypięła Walcia. Była o wiele wolniejsza i pomiędzy Zbinie a nią dystans szybko się zmniejszał.

– Musimy dotrzeć do jakiegoś tłumu, żeby go zgubić. Jeszcze trochę! – zachęcała Nastka.

Wyskoczyła do przodu, już widziała ulicę i spacerujących niedaleko ludzi. Miała nadzieję, że gdy tam dotrą, to pościg ustanie. Porywacze nie będą chcieli zwracać na siebie uwagi i ryzykować, że ktoś ich zobaczy i zapamięta. Wystarczy tam dobiec – zapewniała samą siebie.

Zeskoczyła z niskiego murku na wąski chodnik, tu w irracjonalny sposób poczuła się bezpieczniej. Na równoległej ulicy znajdował się największy deptak miasta, setki ludzi, którzy mogliby ich zobaczyć. Odwróciła się.

Walcia została mocno w tyle.

– Szybciej! – wydarła się Nastka, choć częściowo zagłuszył ją szum przejeżdżających samochodów.

Zbinio zbiegał z górki tuż za rudowłosą. Wyciągnął przed siebie ręce i zdołał ją chwycić za kaptur bluzy. Dwoma palcami, ale to wystarczyło. Dziewczyna poczuła szarpnięcie, zakrztusiła się i zachwiała. Poślizgnęła się na trawie i asekurując się ręką, wyciągnęła jedną nogę przed siebie, aby wyhamować. W efekcie wylądowała na tyłku i zaczęła jechać niekontrolowanie w dół jak na sankach, pociągając za sobą Zbinia. Zgodnie z zasadami fizyki, skoro górna część ciała poszła w dół, to coś musiało znaleźć się wyżej. Mężczyzna stracił równowagę, fiknął kozła do przodu i nakrył się długimi nogami. Nie puścił jednak dziewczyny, co częściowo zahamowało jego ruch, i nie sturlał się zupełnie z górki, tylko bokiem pojechał po miękkiej trawie. Stęknął i podniósł się błyskawicznie, bo Walcia już próbowała wyplątać się z bluzy, która ją dusiła.

– Nie ma mowy – warknął, chwytając rękę dziewczyny w żelaznym uścisku. Na twarzy miał pełno błota, a włosy zmierzwiły mu się przy upadku, ale nie odpuścił.

Walcia próbowała się jeszcze bronić. Kopała na oślep i udało jej się trafić w piszczel. Zbinio syknął wściekły i zgiał się wpół, ale nadal nie zwalniał uścisku.

– Uciekaj, Nastka! – zawołała do stojącej u stóp górki przyjaciółki, która już szykowała się do wspięcia się z powrotem.

Czarownica zatrzymała się, kiwnęła głową i odwróciła się na pięcie. Pobiegła w stronę deptaka. Przy światłach, w tłumie czekającym na możliwość przejścia, odetchnęła głębiej. Rozejrzała się wokół siebie. Musiała jak najszybciej wezwać kogoś na ratunek. Tylko bez komórki nie miała za bardzo jak. Szukanie policji też nie wchodziło w grę. Potrzebowała pomocy magicznych, a najbardziej Norberta. Musiała zawiadomić go, i to jak najszybciej.

Światła zmieniły się na zielone. Nastka puściła się biegiem przez ulicę, później przez następną i skręciła w boczną, prowadzącą dalej

od centrum. Tu było spokojnie, jednak nie zwolniła. Przebiegła jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymała się przy jednej z kamienic. Spojrzała w górę. Światła w mieszkaniu były zapalone. Ucieszyła się tak bardzo, że aż dech jej zapało. Pchnęła stare drzwi do klatki i wbiegła po schodach oświetlonych blaskiem ulicznych latarni. Zatrzymała się przed mieszkaniem i z zapamiętaniem zaczęła naciskać dzwonek.

– Już, już, pali się? – dobiegło ją ze środka.

Drzwi otworzył jej chłopak średniej budowy w koszulce z zespołem Iron Maiden i kardiganie w granatowym kolorze. Odruchowo poprawił środkowym palcem ciężkie oprawki okularów, które zsuwały mu się na czubek nosa.

– Nastka? Co ty tu robisz? – Zlustrował dziewczynę badawczym spojrzeniem. Przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Włosy jej się rozwiały, a całe ubranie ubłociło od biegania po klombach. Ręce oparła na kolanach i próbowała złapać oddech.

– Eryk, potrzebuję telefonu, natychmiast – wysapała.

– Wchodź!

Poszedł przodem w głąb mieszkania. Nastka zatrzasnęła za sobą drzwi i podażyła za nim, depcząc mu w pośpiechu po piętach.

Chłopak wszedł do pokoju i rozejrzał się bezradnie, jakby czegoś szukał. W niewielkim pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Ubrania i pudełka po jedzeniu wały się po podłodze i wszelkich dostępnych przestrzeniach płaskich, jak blaty, półki czy dziwne konstrukcje z pudeł wypełnionych gramami i sprzętem elektronicznym. W kącie stało ogromne biurko, na którym rozstawiono aż trzy monitory. Na każdym z nich wyświetlały się inne informacje. Na blacie leżały dwie klawiatury, a obok myszka, pad i tablet do rysowania. Pod ścianami stały kartony i regały, na których piętrzyły się książki głównie o tematyce komputerowej i grach oraz różne inne bibeloty, poupychane gdzie popadnie.

– Pospiesz się!

– Zaraz... o tu! – zawołał.

Dziewczyna dopadła go i bezpardonowo wyrwała mu komórkę. Wystukała numer z pamięci. Odebrał po drugim sygnale, co postanowiła sobie zapamiętać i zbesztać go o to później.

– Norbert, to ja. Jestem wolna, ale nadal mają Walcię – rzuciła jednym tchem. Nie miała wątpliwości, że jej partner już wie o porwaniu i jej szuka.

– Gdzie jesteś? – padło z drugiej strony łącza.

– U Eryka, było najbliżej – wyjaśniła.

– Walentyna została porwana? – usłyszała przerażony głos gdzieś z oddali.

– Z kim jesteś? – zdziwiła się.

– Z Piotrem i Szalonym Szarakim. Już do ciebie jadę.

– Nie! Musicie uwolnić Walcię, zanim połapią się i zrobią jej krzywdę.

– Jak mam ją znaleźć? – Norbert niecierpliwiał się równie mocno co Nastka, choć o wiele lepiej trzymał emocje na wodzy.

– Mogę ją śledzić przez jakiś czas, ale musicie się pospieszyć.

– To gdzie ona dokładnie jest?

– Muszę to ustalić... – Nastka odwróciła się do Eryka stojącego z boku i przysłuchującego się rozmowie z zaciekawieniem. – Potrzebuję mapy Poznania.

– Czekał, zaraz wyszukam – odparł i usiadł przed komputerem, zadowolony, że wreszcie on też może uczestniczyć w akcji.

– Mnie chodzi o papierową.

– Jak to... papierową? – Popatrzył na nią zdezorientowany. – To takie jeszcze produkują?

– Eryku, ja nie mam czasu. Potrzebuję papierowej mapy, szybko! – zakomenderowała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I kawałek sznurka.

– Nastka, oddzwonię do ciebie, zawiadomię watahę, może będzie w pobliżu i pomoże – odezwał się Norbert w telefonie.

– Dobra – zgodziła się dziewczyna. – Dzwon.

Wiedziała, że wilki to najlepsi tropiciele, a ich gang młodych doskonale sprawdzał się w roli grupy szturmowej. Zawsze chętni do bójki, czasem byli myleni z pseudokibicami, ale ta niesłuszna łątka wcale im nie przeszkadzała. Dzięki temu jako wataha stawali się niewidoczni dla niewtajemniczonych.

Eryk wydał usta, jakby się nad czymś zastanawiał. Pewien był tego, że nie ma w domu żadnego gadżetu i nawet mógłby przeryć

panujący wokół chaos w tę i z powrotem, a i tak by go nie znalazł. Za to bardzo chciał pomóc Nastce, bo sprawa wyglądała na poważną.

– Już wiem! – zawołał. Odwrócił się do komputera i wywołał na ekranie mapę miasta. Jedną komendą kazał ją wydrukować.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu coś zabuczało na szczycie regału. Wiekowa maszyna zaczęła wypluwać z siebie kartkę papieru. W tym czasie Eryk znalazł w szufladzie kawałek sznurka i podał Nastce. Dziewczyna zdjęła jeden kolczyk, na końcu którego znajdował się niepozorny kamień księżycowy. Zawiesiła ozdobę na sznurku i usiadła przy stole. Eryk położył na blacie wydrukowaną mapę. Było na niej głównie centrum. Nastka miała nadzieję, że zdążą wytropić Walcię, zanim wywiozą ją poza ten obszar. Skupiła się na magii przelanej w niewielki symbol, którym naznaczyła przyjaciółkę. Zrobiła to jeszcze w pomieszczeniu, w którym były uwięzione i czekały, aż ktoś przyjdzie, żeby mogły zdzielić go w łeb. Tłumaczyła wtedy Walentynie, że dzięki temu nie stracą ze sobą kontaktu, gdyby je rozdzielono. Teraz jej przezorność zaprocentowała. Kamień na końcu sznurka drgnął. Nastka powoli przesuwiała go nad ulicami, szukając swojego źródła.

Zadzwonił telefon. Zmarszczyła brwi, bo w tym hałasie trudno było jej się skupić. Zauważył to Eryk, który siedział po drugiej stronie. Szybko przesunął palcem po ekranie i włączył tryb głośnomówiący.

– Nastka?

– Jestem – odparła nieswoim, odległym głosem.

– Wataha jest na linii, możesz mówić. Po pierwsze, powiedz, jaki to był samochód.

– Skoda sedan, w kolorze szarym, nie czarnym i nie srebrnym, tylko szarym – mówiła powoli, metodycznie. Wpatrzona w mapę, zaczęła wymieniać ulice, nad którymi kamień księżycowy ciążył mocniej.

– My jesteśmy bliżej – rozległo się w słuchawce. Głos był obcy i jakby bardziej oddalony.

– To bierzcie ich. Pamiętajcie, że potrzebujemy porywaczy, żeby dowiedzieć się, dla kogo pracują – odparł Norbert.

– Rozumiem.

Nastka dalej przekazywała informacje. Nagle kontakt się urwał. W głośniku telefonu rozległo się miarowe „tuuut, tuuut”. Czarownica

gwałtownie otworzyła przymrużone oczy i spojrzała na komórkę.

– Oddzwoń do nich! – zażądała, nie zdejmując rąk znad mapy.

Eryk wziął do ręki komórkę. Odblokował i wybrał numer. Przez chwilę czekał z aparatem przy uchu.

– Nie odbiera – stwierdził po szóstym sygnale. W słuchawce odezwała się sekretarka.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Nie wiem, czy...

– Próbuj! – Nastka nie zamierzała rezygnować, byli zbyt blisko. Coś w magii zmieniło się. Kamień księżycowy w jej dłoni stał się lżejszy, czarownica straciła nić, po której się poruszała. Wszystko ucichło. Poczula atak paniki, zebrało jej się na wymioty, a serce i gardło jednocześnie ścisnęło wielkie stalowe imadło.

– Nie denerwuj się! – Odłożył komórkę i dopadł dziewczyny. Zasłonił jej usta i nos rękawem swojego swetra, zanim dostała hiperwentylacji. – Wszystko jest w porządku – powiedział łagodnie, jak do dziecka. – Znajdą ją.

– A co, jeśli nie? – odparła po chwili, kiedy emocje odrobinę jej się uspokoiły. – Mogłam z nią zostać, ale tego nie zrobiłam. Co jeśli teraz ją skrzywdzą?

34

Norbert rozglądał się intensywnie po elewacjach budynków, szukając numerów. Liczył je kolejno, ale z jakiegoś przedziwnego powodu nie chciały pasować. Po czterdziestym drugim był od razu czterdziesty szósty, a po drugiej stronie ulicy – nad wejściem do klatki – błyszcząły podświetlone na biało numery: czterdzieści jeden, czterdzieści trzy i czterdzieści siedem. Jakby ktoś połknął jedną kamienicę.

– Nie ma takiego numeru – mruknął lekko skonsternowany.

– Słucham? – Piotruś, który przed chwilą też z uwagą wpatrywał się w elewację, nagle odwrócił się w jego stronę.

– Nie ma takiego numeru, czterdzieści cztery – powtórzył zrezygnowany. – Zresztą czterdzieści pięć też nie ma.

– To niemożliwe.

– A jednak – odezwał się zgryźliwie Antoni z tylnego siedzenia. – Budynki są ciasno poupychane, więc nie ma możliwości, żeby wyburzyli akurat te kamienice.

– To co, ten cały Zębatek nas oszukał? – Norbert spojrzał na Piotrusia w napięciu.

– Nie wierzę. Jego informatorzy zawsze się sprawdzają.

– To gdzie się podział ten adres?

– Nie wiem. – Szczurko wzruszył ramionami. Dla pewności jeszcze raz spojrzał na kartkę z adresem, ale było jak byk napisane: czterdzieści cztery.

– Może źle zanotowałeś?

– Czekaście... – Zając pochylił się do przodu, by przerwać narastającą nerwami wymianę zdań. – A może budynek jest z tyłu?

– Jak to z tyłu? – Norbert odruchowo spojrzał we wsteczne lusterko.

– Normalnie, w drugiej linii. Jeśli to stara zabudowa, to czasem budowano z tyłu w podwórku, bo tak było taniej. W ten sposób powstał Teatr Polski na ulicy 27 Grudnia.

– Przecież teatr nie stoi z tyłu – zauważył trzeźwo Piotruś.

– Ale kiedyś stał. Ulice w tamtej okolicy uchodziły za prestiżowe, problem tylko w tym, że miejsca na nich było niewiele. Może już wtedy planowano drugą linię. Zatrzymaj się tu.

Antoni wskazał Norbertowi wolne stanowisko w zatoczce parkingowej. Wysiedli z auta. Stąd do miejsca, w którym powinien się znajdować poszukiwany przez nich budynek, mieli zaledwie kilka kroków. Czarodziej natychmiast ruszył do numeru czterdzieści dwa. Wszedł w podcień starej bramy, by po chwili wyjść z drugiej strony na wąski przesmyk tworzący coś w rodzaju podwórka, ale o wiele dłuższy.

– Widzicie? – Odwrócił się zadowolony do towarzyszy.

– No dobra, ale gdzie jest numer czterdzieści cztery?

Zaczęli się rozglądać. Kamienice były skromne, pozbawione ozdób, w zasadzie bardziej przypominały bloki mieszkalne. Jedyne wejścia zaakcentowano niewielkimi detalami z prostych lamówek – kiedyś zapewne w innym kolorze, dziś mocno obdrapanymi i bezbarwnymi. Numer czterdzieści cztery znaleźli dopiero we wnęce drzwiowej, bo małą lampkę z numerem ktoś zbił i powyginał tak, że przypominała raczej mocno nadszarpięte siedemnaście.

– To tutaj – wskazał Antoni.

– Wchodzimy? – zapytał Piotruś niepewnie, spoglądając na Norberta. Ten rozejrzał się po uliczce.

Pod ścianami stały stare samochody: punto, skoda sprzed piętnastu lat i okropnie stary polonez z poprzebijanymi oponami. Bardziej nadawał się do muzeum niż na parking. Żaden z nich nie wyglądał na taki, którym poruszałiby się porywacze. Coś podpowiadało Norbertowi, że ich tu po prostu nie ma. Spóźnili się.

– To jak?

– Może zaczaimy się tu i zaatakujemy, jak wyjdą – zaproponował Zając.

– A skąd będziemy wiedzieć, że to oni? – spytał przytomnie Piotruś.

– Wyjdą z dziewczynami, więc je rozpoznamy.

Komórka Norberta rozdzwoniła się nieznanym dzwonkiem. Chłopak wyłuskał ją z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Tego numeru nie znał. Przechylił głowę, zastanawiając się, czy nie

odrzuć połączenia, w końcu jednak nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył aparat do ucha.

– Norbert, to ja. Jestem wolna, ale nadal mają Walcię – usłyszał głos Nastki i świat zawirował mu przed oczami.

Jak to możliwe, że dzwoniła do niego, choć jeszcze przed chwilą była przecież porwana?

– Gdzie jesteś? – rzucił szybko.

– U Eryka, było najbliżej – wyjaśniła.

– Walcia została porwana? – Piotruś doskoczył do towarzysza i uwiesił mu się na ramieniu, mocno ściskając za bark.

– Z kim jesteś? – zdziwiła się Nastka.

– Z Piotrem i Szalonym Szarakim. Już do ciebie jadę.

Ruszył w stronę samochodu. Piotruś i Antoni podążyli za nim bez słowa, chcąc dowiedzieć się więcej.

– Nie! – powstrzymała go Nastka, aż stanął odruchowo w miejscu, dzięki czemu koledzy go dogonili. – Musicie uwolnić Walcię, zanim połapią się i zrobią jej krzywdę.

Rozumiał, o czym mówiła. Dziewczyna nie dysponowała umiejętnościami, których poszukiwali porywacze. Nie przedstawiała zatem dla nich żadnej większej wartości. Wściekli na nieudaną akcję mogli chcieć się zemścić. Trzeba było działać szybko.

– Jak ja mam ją znaleźć? – rzucił natychmiast. Każda informacja pozwalająca ją namierzyć była bezcenna.

Nastka zaczęła tłumaczyć. Po chwili zwróciła się do Eryka. Przez chwilę prowadzili rozmowę, dość niezrozumiałą dla stojącego po drugiej stronie telefonu Norberta.

– Co się stało mojej Walci? – spytał Piotruś, nie mogąc wytrzymać napięcia.

Kotołak pożegnał się szybko z dziewczyną, a następnie odwrócił do Antoniego i Piotrusia.

– Porwali je obie. Nastka zdołała się uwolnić, ale Walentyna nadal jest z porywaczami. Nastka może nas do nich doprowadzić, ale są dość daleko – wyjaśnił szybko.

– No to ruszajmy, nie ma co tracić czasu. – Piotruś skierował się do drzwi samochodu.

– Zadzwoń do kolegów – mówił dalej Norbert, zajmując miejsce za kierownicą. – Jeżdżą często po okolicy, taki sąsiedzki patrol.

Może będą bliżej.

Szczurko skinał tylko głową.

– Swoją drogą, nie zgadłbym, że to ty – odezwał się Antoni, gdy usiadł na tylnej kanapie.

– Że co ja? – Piotruś zajął miejsce z przodu, obok Norberta.

– Że to ty jesteś tym chłopakiem Walentyny. Może jest trochę dziwna, ale o tak zły gust jej nie posądzałem. Poleciała na wygląd? Bo raczej nie na rozum.

– Licz się ze słowami – ostrzegł go Piotruś, poważniejąc. Poczut się szczerze urażony takimi posądzeniami.

– Mów, co chcesz, ale się nie wywiniesz. – Antoni wzruszył ramionami i oparł się na tylnej kanapie.

– Słuchaj, panie badaczu – zaczął chłopak, kipiąc ze złości. – Jak mnie nie przeprosisz, to za chwilę dam ci w mordę. Jak tu siedzę, przysięgam.

– Piotrek, Walentyna cię przyłapała – wtrącił Norbert łagodnie. Nie chciał zaognić sytuacji, ale uznał, że w tym momencie może już wyjawić wszystko. Przy okazji ciekaw był, jak tamten zareaguje na wieść, że sprawa się wydała.

– Jak to przyłapała? – Zaskoczony Piotruś trochę opadł w emocjach.

– Widziała ciebie i tamtą dziewczynę. Ona wszystko wie.

– Wie? – jęknął, a w jego oczach pojawiło się przerażenie.

– No i wyszło sztydło z worka – mruknął filozoficznie Antoni z tylnego siedzenia.

– Wie – przyznał Norbert bez ogródek.

– Myślisz, że jej się nie spodobało?

– Człowieku, żadnej by się nie spodobało!

– Myślałem, że jej się spodoba – westchnął zawiedziony i skurczył się w sobie. – Normalnie rezerwację trzeba robić trzy miesiące wcześniej, ale wiadomo, wtedy o tym nie pomyślałem.

– Jaką rezerwację? – Norbert zamrugał zaskoczony, nie bardzo wiedząc, czy pogubił się w kontekście rozmowy, czy może Piotruś gada od rzeczy.

– No, na wyjazd oczywiście.

Coś z tyłu głowy kotołaka piknęło ostrzegawczo i pojawiło się po raz pierwszy zwątpienie.

– Piotr – zaczął spokojnie, próbując wyjaśnić sytuację. – Ja nie mówię o samym wyjeździe, tylko o tym, że zdradzasz Walcie z jakąś dziewczyną.

– Z jaką dziewczyną?!

– To chyba ty wiesz lepiej.

– Ja jej nie zdradzam!

– Walcia was widziała – powtórzył.

– Kogo? – Piotruś po raz kolejny tego dnia poczuł się bardzo zagubiony i dezorientowany.

Czy ten dzień mógłby się już skończyć? – pomyślał z rozpaczą. Więcej niespodzianek chyba nie znieś.

– Widziała ciebie i ją, tę Fladrę – tłumaczył Norbert bez ustanku.

– Ja się nie spotykałem z żadną Fladrą!

– Niska, brązowe włosy, garsonka.

– Ja... – zaczął konsekwentnie Piotruś i urwał. Na jego twarzy pojawił się najpierw cień zrozumienia, a następnie złość. – Milenka! Ale ona nie jest Fladrą, to kuzynka mojego kolegi, pracuje w biurze wycieczkowym.

– A co nas obchodzi, gdzie pracuje twoja nowa dziewczyna? – fuknął Antoni. – Powinieneś się wstydzić za to, jak potraktowałeś Walentynę. Ta dziewczyna szaleje za tobą, a ty się uganiasz za innymi.

– Nie, to nie tak! Milenka nie jest moją dziewczyną, załatwiła dla mnie wycieczkę. Chciałem zrobić niespodziankę Walentynie i zabrać ją na wyjazd w naszą rocznicę. – Piotruś wreszcie się wysłowił.

Dwaj towarzysze popatrzyli na siebie z lekką konsternacją.

– To wycieczka dla Walentyny? – upewnił się Antoni.

– Oczywiście.

– I nie jedziesz na nią z Fladrą? – spytał Norbert dla jasności.

– Nie – potwierdził zdecydowanie Piotruś.

– To ty lepiej z nią pogadaj. – Antoni odchylił głowę i zamknął oczy.

– Skoro już wie, to nie ma o czym. To miała być niespodzianka. – Szczurko z niezadowoloną miną skubał powoli krawędź kurtki.

– Myślę, że mimo wszystko powinieneś to wyjaśnić. Zdaje się, że tu zaszło poważne nieporozumienie.

– Jakie?

– No wiesz, ty i Milenka...

– Walcia nigdy by w to nie uwierzyła – uśmiechnął się jej chłopak, pewny siebie, ale gdy spojrzał na Norberta, jego mina szybko się zmieniła. – Przecież ja bym jej tego nie zrobił! Ona wie... Prawda, że wie?

W samochodzie na dłuższą chwilę zapadła krępująca cisza.

– Może wrócimy do obecnych problemów? – odezwał się Zając. – Nie lepiej śledzić ich i sprawdzić, kto wynajął tych ludzi do porwań?

Jego logice nie można było nic zarzucić. Wiedza, kto zlecał przez cały czas porwania i zabierał moc czarownicom mogła pomóc w jej przywróceniu poszkodowanym kobietom. Norbert miał jednak pewne wątpliwości. Nie było żadnej gwarancji, że ich nie zgubią ani że Walci nic się nie stanie podczas tego wyścigu. Porywacze – jeśli ich zauważą – mogą przecież wykorzystać dziewczynę jako żywą tarczę lub zabić, żeby nie przeszkadzała im w ucieczce.

– A co z Walentyną? – spytał Norbert.

– Musimy ją odbić za wszelką cenę – odezwał się Piotruś tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jak będzie bezpieczna, możemy złapać bandziorów i wszystko z nich wyciągnąć.

– To może być jedyna szansa...

– Nie zgadzam się na ryzykowanie życia Walci. Norbert, jedź!

Kotołak uruchomił silnik samochodu, połączył komórkę z komputerem pokładowym i wybrał numer do watahy. Tak jak się spodziewał, byli niedaleko i zgodzili się pomóc bez mrugnięcia okiem. Połączył drugą rozmowę, tak by wilki słyszały informacje przekazywane przez Nastkę i mogły od razu reagować.

– Wataha jest na linii – poinformował Nastkę – możesz mówić. Po pierwsze, powiedz, jaki to był samochód.

Chciał, aby wszyscy byli w stanie wytropić auto, gdyby musieli działać osobno.

– Skoda sedan w kolorze szarym, nie czarnym i nie srebrnym, tylko szarym. – Nastka mówiła spokojnie, metodycznie. Zaczęła im przekazywać informacje co do położenia Walci. Ulica po ulicy wyłaniała się z tego trasa, po której poruszali się porywacze, równie klarowna, co wyświetlacz w GPS. Piotruś był pod wrażeniem, ale nie wnikał, skąd Nastka ma tak dokładne informacje.

Norbert skupiał się na drodze, analizując w głowie, jak najszybciej dostać się w okolicę, o której mówiła czarnowłosa.

– Jesteśmy blisko – odezwał się głos w telefonie. Tym razem był to przywódca watahy. – Chyba nawet widzę ich samochód.

– Widzisz Walcię? – Szczurko pochylił się do przodu z wrażenia.

– Nie, tylko dwóch facetów.

Norbert i Piotruś spojrzeli po sobie z obawą. W głowach obu zaświtała najwyraźniej ta sama myśl, że być może pozbyli się już Walci.

– Niemożliwe – mruknął kotołak po chwili. – Nastka nadal wyczuwa Walentynę, jeśli doprowadziła nas do auta, to znaczy, że dziewczyna tam jest.

– Spróbujemy się zbliżyć – odezwał się przywódca watahy. – O kurczę! Przyspieszyli, chyba nas zauważyli!

W głośniku zawył silnik. Usłyszeli przekleństwa i powarkiwanie.

– Nie róbcie nic głupiego – ostrzegł Norbert, skręcając ostro w wąską uliczkę, by skrócić sobie drogę.

– Wiem, wiem... Zgarniamy ich! – zawołał rozmówca. W tle słychać było szum i trzaskanie drzwiczkami samochodu, później jeszcze jeden odmienny dźwięk. – Cholera!

Połączenie urwało się, zanim kotołak zdolał zareagować.

– Co jest? – odezwał się Piotruś, wpatrując się w komórkę i marszcząc brwi.

– Nie wiem – odparł Norbert zgodnie z prawdą. Uderzył palcem w ekran telefonu. – Nastka?

Cisza.

– Musiało zerwać oba połączenia – stwierdził trzeźwo Antoni z tylnego siedzenia.

– Oddzwon do nich! – zażądał Piotruś.

– Zaraz będziemy na miejscu.

– Gdzie?!

– To niedaleko – zapewnił Norbert. – Rozglądaj się.

35

Z nerwów nie była w stanie racjonalnie myśleć. Stan niepewności i frustracji trwał dobre dwadzieścia pięć minut. Nastka liczyła każdą z nich osobno, chodząc po pokoju i przyprawiając biednego chłopaka o nerwicę, która objawiała się głaskaniem komputerowej myszki.

Wreszcie leżący na stole telefon brzdęknął przyjemnym dzwoneczkiem, jeden jedyny raz. Czarownica dopadła go, zanim Eryk zdążył choćby mrugnąć. Jednak wiadomości nie odczytała, bo okazało się, że nie zna PIN-u do odblokowania urządzenia. Wściekła rzuciła komórkę w stronę chłopaka.

– Odblokuj ją natychmiast, jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć żywą – zagroziła.

Eryk nie dociekał, kto miał pozostać przy życiu, czy komórka, czy może jednak on. Wystukał kod i oddał urządzenie dziewczynie. Nastka otworzyła esemes i przebiegła wzrokiem jego tekst dwa razy, był niezwykle krótki i zupełnie jej nie zadowolił.

Sytuacja opanowana, podjadę po ciebie, czekaj.

Czy on naprawdę myśli, że to wystarczy? – syknęła w myślach. Wybrała ostatni numer połączenia, zanim komórka ponownie się zablokowała. Odczekała jeden sygnał, drugi, przy trzecim zaczęła wystukiwać obcasem niespokojny rytm. Norbert odebrał po czwartym dzwonku.

– Co się dzieje?! – rzuciła bez pardonowo, zanim on zaczął.

– Już po ciebie jadę – odparł.

– Nie o to pytam, co z Walcia?

– W porządku. Trochę poobijana i ma rozciętą brew, ale będzie żyła. Wataha zabrała ją do Heleny.

Nastka zaklęła w duchu. Jeśli chłopcy zdecydowali się zawieźć Walcia do uzdrowicielki, oznaczało to, że wcale nie było tak dobrze, jak mówił. Musiała wyglądać na nieźle poturbowaną.

– Kiedy będziesz?

– Za jakieś trzy minuty, jestem już niedaleko. – Spokojny ton, którym mówił, odrobinę mierzył Nastkę.

– Pospiesz się.

Rozłączyła się i odłożyła aparat na stół. Znow rozpoczęła marsz po pokoju.

– Chcesz może herbaty? – spytał Eryk, wodząc za nią spojrzeniem.

– Nie, dzięki, za chwilę będzie tu Norbert i znikamy.

Eryk kiwnął głową na znak, że rozumie. Nie miał za złe, że odrzuca jego gościnność.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

– Już tak. Dziękuję, że mi pomogłeś. – Głos dziewczyny odrobinę złagodniał. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Nie ma sprawy, cała przyjemność po mojej stronie.

Dzwonek do drzwi odezwał się trzema krótkimi sygnałami. Nastka pożegnała się z Erykiem, jeszcze raz dziękując mu za pomoc, i zbiegła po schodach. Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się w ciemności za znajomym samochodem. Norbert zaparkował kilka metrów dalej i czekał przy aucie.

– Jedziemy do Walci – zawołała Nastka, gdy tylko zbliżyła się na tyle, żeby ją usłyszał.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparł wesoło.

– Nie pajacuj, tylko wsiadaj.

Otworzyła drzwi od strony pasażera i lekko się zdziwiła na widok Piotrusia.

– Ty tutaj? – wydukała może mało inteligentnie, ale w tym momencie tylko te słowa przysły jej do głowy.

Piotruś nie odpowiedział. Popatrzył na nią z lekkim wyrzutem.

– Przesiądź się – zakomenderował do niego Norbert. Chłopak wykonał polecenie bez żadnego komentarza. W ogóle wyglądał na wściekłego albo rozżalonego, nie mogła się zdecydować. Zajęła miejsce w aucie. Kątem oka zauważyła jeszcze jedną postać siedzącą z tyłu. Odwróciła się, żeby jej się przyjrzeć.

– Szalony Szarak?

– Miło cię widzieć, Anastazjo. – Antoni przywitał ją lekkim uśmiechem.

– Co ty tu robisz?

– Jakby to ująć... – zaczął, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Walentyna pomagała mi dziś w pewnym kłopotcie i chciałem się odwdziaczyć.

– Chciałeś ją zwieść? – spytała Nastka podejrzliwie.

– Ależ nie. – Podniósł dłonie w obronnym geście. – Walentyna spotkała mnie na jednym z podwórek i zaoferowała pomoc. Nie prosiłem ani nie zmuszałem jej do niczego.

– Rozumiem – mruknęła czarownica bez przekonania i odwróciła się przodem do kierunku jazdy. Miała ochotę wypytać o szczegóły Norberta, który wydawał się obeznany w sytuacji. Niestety to, że znajdowali się w samochodzie wraz z Piotrusiem, nie sprzyjało ożywionej konwersacji. Jechali więc w milczeniu.

Znaleźli się w urokliwej części miasta, w pobliżu dużego parku. Norbert zaparkował na ulicy pod domem Heleny. Willa – podobnie jak inne w okolicy – tonęła w zieleni. Równy przyszyżony żywopłot przed budynkiem skutecznie oddzielał wejście od ulicy i niepożądanych spojrzeń. Antoni i Piotruś poszli przodem, Nastka pociągnęła swojego chłopaka, zatrzymując go na chwilę na ulicy.

– Dlaczego jesteś z tym zdrajcą? – spytała z wyrzutem.

– O kim mówisz?

– O Piotrusiu oczywiście!

– Tak się złożyło – stwierdził, patrząc za wchodzącymi na wysokie schody mężczyznami.

– Miałeś go tylko przywieźć do miasta.

– Nastka, on wcale nie zdradzał Walentyny.

Dziewczyna przechyliła lekko głowę i zmarszczyła brwi.

– Jak to? Przecież sam mówiłeś, że sprawdziłeś jego komórkę i umawiał się z Flądą na wyjazd.

– Tak myślałem, ale okazało się, że pozory mnie zmyliły.

– Możesz mi to wyjaśnić trochę bardziej? – spytała, siłąc się na spokój, choć głos odrobinę jej się obniżył, co świadczyło, że zaczyna tracić cierpliwość.

– Piotruś planował wyjazd dla siebie i Walentyny z okazji trzech miesięcy ich znajomości. Ponieważ wybrał jakieś takie fikuśne miejsce, to nie mógł zabukować go na ostatnią chwilę. Poprosił więc znajomą pracującą w biurze podróży, żeby to załatwiła. Spotykał się

z nią, by dogadać szczegóły, i właśnie wtedy zobaczyła go Walentyna.

– O matko – jęknęła Nastka w przerażeniu.

Norbert tylko pokiwał głową.

– I jak Walcia na to zareagowała?

– Nie wie o tym. Jeszcze jej nie powiedział, bo nie nadarzyła się okazja.

– Ale mówiłeś, że byliście na miejscu i widzieliście Walcię, czy coś mi się przesłyszało?

– Mówiłem – przyznał – bo tak faktycznie było. Jak dojechaliśmy na miejsce, wataha już obezwładniła porywaczy i szukali Walentyny. Okazało się, że tamci zamknęli ją w bagażniku i chyba wcześniej trochę poobijali. Chłopcy ją wyciągnęli, chwiała się lekko na nogach. Podjechaliśmy właśnie wtedy. Piotruś wyskoczył z samochodu i chciał podejść do niej. Walentyna zobaczyła go i ruszyła w naszą stronę. Myślałem, że rzuci mu się na szyję z radości. On chyba też tak myślał. Wyciągnął przed siebie ręce, żeby ją objąć, a ona jak mu nie grzmotnęła z pięści. Widziałas jego oko? A później zażądała, żeby ją stamtąd zabrać „byle dalej od tych trzech”, jak to ujęła.

– Serio?

– Serio. Zanim Piotruś oprzytomniał i się pozbierał, chłopcy zapakowali ją do swojego samochodu i ruszyli do Heleny.

– A on pojechał z tobą? – domyśliła się Nastka.

– Tak. Chce jej wszystko wyjaśnić.

– Cierpliwy jest – stwierdziła z uznaniem.

– Wie, że Walentyna go widziała z tamtą, i chyba trochę mu z tego powodu głupio. Przecież jej nic nie powiedział, więc mogła sobie dużo pomyśleć.

Na chwilę zamilkli. Nastka zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą, zatopiona w rozważaniach. Norbert czekał. Czarownica roześmiała się nagle dźwięcznie. Spojrzał na nią ciekaw, co wywołało taką reakcję.

– Ona naprawdę dała mu w pysk? – Wręcz dławiła się śmiechem.

– Naprawdę, tak od serca – potwierdził z lekkim rozbawieniem, bo przed oczami stanęła mu znów rzeczona scena.

Nastka ruszyła powoli w stronę domu Heleny.

– Ta dziewczyna jest w gorącej wodzie kąpana – stwierdziła, kręcąc głową w niedowierzaniu. – Teraz jednak trzeba ich pogodzić.

– Chcesz, żeby się zesłi?

– No jasne, chyba są już kwita? – mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Kwita?

– No wiesz. On miał przed nią tajemnicę, ona mu dała po mordzie.

– Nie lepiej, żeby sami to między sobą załatwili? – powątpiewał Norbert.

– Walcia? W takiej sytuacji? Kotku, przecież jak ona się zacierzewi, to nie ma zmiłuj. Sama go nie wysłucha.

Weszli do budynku. Już z korytarza widzieli Piotrusia stojącego w salonie z chłopcami z watahy i Antoniego siedzącego na jednej z dużych wygodnych kanap. Podążyli w tamtym kierunku.

– Jesteście – przywitał ich przywódca młodych wilków. – My się będziemy zbierać. Dziewczyna jest na górze z Heleną. Tamtymi zajęli się nasi.

– Tu masz jeszcze adres. – Norbert podał mu kartkę, na której Piotruś zapisał, gdzie mieli znaleźć Sławko – Jeśli kogoś jeszcze tam zastaniecie, to go zgarnijcie. Może to będzie akurat ten, który zlecał porwania innych.

– Dobra – zgodził się chłopak bez oporów, zabrał kartkę i schował ją do kieszeni.

Nastka podeszła do Piotrusia.

– Słyszałam, co zaszło – zaczęła spokojnie. – Cieszę się, że myślałeś o Walci, chcąc zrobić jej przyjemność, ale nie pochwalam stylu wykonania.

– Nie najlepiej wyszło – przyznał zakłopotany, aż mu czubki uszu poczerwieniały. – Chciałem, by to była niespodzianka.

– Jak cię pytała, gdzie byłeś, trzeba było jej wtedy powiedzieć.

– Skąd ty to wiesz? – zdziwił się.

– Jestem jej przyjaciółką, ja wszystko wiem.

Piotruś westchnął ciężko, a jego mina wyrażała w tej chwili poczucie beznadziei. Przyjrzała mu się. Choć wcześniej nie zwróciła na to uwagi, chłopak rzeczywiście miał wyraźnie zaczerwieniony policzek pod okiem, a opuchlizna zaczynała już się powiększać. Walcia musiała przyłożyć mu ze sporym rozmachem, a że do

chucherek nie należała, to i efekt był spektakularny. Trzeba przyznać, że zemsta była słodka za te wszystkie przeżycia z ostatnich dni. Nastka przez krótki czas napawała się tym widokiem. Nie miała jednak serca trzymać go dłużej w rozpacz. Jej przyjaciółce też pewnie nie było łatwo.

– Wiem, że Walci na tobie zależy, dlatego namówię ją, żeby z tobą porozmawiała, i lepiej, żebyś tym razem był z nią szczery.

– Zrobisz to dla mnie? – W jego oczach zagościła nadzieja.

– Nie dla ciebie, tylko dla niej – zastrzegła Nastka.

– I tak dziękuję.

– Poczekaj tu, zawołam cię, jak ją zrobię.

Weszła po schodach na piętro. Przez chwilę przyglądała się licznym drzwiom w korytarzu, szukając tych odpowiednich. Dom Heleny często służył jako lecznica dla członków Rodziny, a pokoje doskonale sprawdzały się jako sale chorych. Nie chciała przypadkiem spotkać innego pacjenta ani sprawić dodatkowego kłopotu. Już sam fakt, że rudowłosa trafiła pod skrzydła Heleny, oznaczał dla Nastki problemy. Ich znajomość oraz to, że Walcia znów wpakowała się w aferę z czarownicami, choć czarownicą nie była, wystawiał na próbę nie tylko przyjaźń z panną Pączek, ale też cierpliwość uzdrowicielki, która bardzo dbała o zachowanie dyskrecji pomiędzy członkami Rodziny a osobami niemagicznymi. Już wewnątrz ich małej społeczności dość było konfliktów i walk, nie potrzebowali jeszcze kłopotów z ludźmi.

Zapukała do drzwi, za którymi – jak jej się zdawało – słyszała cichą rozmowę. Udało się trafić. Helena właśnie kończyła zakładać opatrunek na Walci skroni. Odwróciła się w stronę wchodzącej dziewczyny.

– Twoja przyjaciółka ma niebywały talent do wpadania w kłopoty – stwierdziła na powitanie.

– To prawda.

– Jak widać, nie tylko ona. – Mentorka obdarzyła swoją podopieczną wymownym spojrzeniem. W końcu obie wpadły w łapy porywaczy, nawet jeśli jej udało się wyrwać i sprowadzić pomoc.

– Przepraszam, Heleno – odparła Nastka ze skrucą.

– Nie masz powodu, by za to przepraszać. Przynajmniej sprawcy zostali złapani. Może więcej nie będą się zdarzać takie porwania –

westchnęła ciężko. Zamknęła jakiś słoiczek i zaczęła składać narzędzia. – Walentyna będzie musiała być pod obserwacją przez noc. Obawiam się, czy nie ma wstrząśnienia mózgu, ale poza tym nic poważnego jej nie dolega – oznajmiła.

Nastka podeszła do łóżka, na którym siedziała Walcia, i przycupnęła na krawędzi stojącego obok fotela.

– Jak się czujesz? – spytała przyjaciółkę.

– Całkiem nieźle jak na to, co się dziś działo – odparła z wesołością.

– Piotruś jest na dole.

– Nie chcę go widzieć! – oznajmiła twardo dziewczyna, odwracając szklący się wzrok.

– Dlaczego? Przecież go kochasz...

– Ale on mnie nie kocha! Zdradzał mnie z Flądą, przecież wiesz, a ja... – zająknęła się Walcia drżącym głosem, tuż na granicy płaczu. – Ja dla niego sów szukałam! – Załkała, po czym zaczęła ocierać oczy rękawem.

– Jakich sów? – Nastka zmarszczyła brwi, bo niewiele z tego rozumiała.

– No, jedenastu magicznych sów do zaklęcia.

– Walentynko, ja ci mówiłam, żebyś za czarowanie się nie brała! – powiedziała szybko czarnowłosa, kątem oka obserwując reakcję Heleny.

– Chyba nie chcę tego słyszeć, jeszcze musiałabym zareagować. – Uzdrowicielka zabrała ze stołu resztę opatrunków i ruszyła do drzwi. Zamknęła je cicho za sobą.

Nastka odwróciła się z powrotem do Walci i pochyliła do przodu.

– Jakie znowu sowy?

– No, mówiłaś przecież – odparła dziewczyna z wyrzutem – że wystarczy jedenaście sów i on znowu będzie mój.

Czarownica odchyliła się w fotelu i parsknęła śmiechem.

– Walciu, to nie były sowy. Mówiłam, że wystarczy jedenaście słów – zaakcentowała ostatni wyraz. – Magiczna formułka, w której jest jedenaście słów. Tylko, kochana, ty tego nie potrzebujesz. On cię naprawdę szczerze kocha.

– Jak możesz tak myśleć?

– Tylko zakochany facet przyszedłby przeprosić dziewczynę po tym, jak dostał po pysku – stwierdziła z przekonaniem.

– Ale on... z nią... ja widziałam... – jąkała się Walcia, zupełnie tracąc pewność siebie.

– Wiem, co widziałaś. On też wie, tylko że to, co widziałaś, to nie do końca to, co się działo.

– To ja już nic nie rozumiem... Co on z nią robił?

– Może go wysłuchasz? Lepiej, żeby to Piotruś ci wszystko wyjaśnił.

Walcia odetchnęła głęboko, bo od płaczu zaczęło jej już brakować powietrza i zrobiła się senna. W końcu kiwnęła głową.

Ktoś zapukał do drzwi. Nastka wstała i podeszła otworzyć.

– Nie mogłem się już doczekać – wyznał Piotruś, patrząc niczym pies, który żebrze o głaskanie.

– Wejź. – Czarownica ustąpiła mu miejsca.

Niepewnie przekroczył próg. Rozejrzał się, zobaczył Walcię z opatrunkiem na skroni, bladą i ze śladami płaczu na policzkach. Serce ścisnęło mu się gwałtownie. Podeszedł blisko i przyklęknął obok niej. Na jego twarzy odmalował się żal. Nastka uznała, że może ich zostawić samych. Wyjaśnił sobie wszystko i wreszcie będzie spokojna.

Zamknęła drzwi i stanęła na korytarzu. Po schodach szedł właśnie Norbert, trzymając komórkę w ręce.

– Jak sytuacja? – zapytał.

– Myślę, że się pogodzą. Pewnie Piotruś zabierze Walcię do domu i zostanie tam, bo Helena mówiła, że trzeba ją obserwować. A jak z twojego końca?

– Chłopcy napisali, że złapali jeszcze jednego w mieszkaniu, chyba szefa. Wezmą go na przesłuchanie.

– Czyli znów wszystko dobrze się skończyło – stwierdziła Nastka.

– Na to wygląda – przytaknął Norbert i ruszyli na parter. – Czy w takim razie możemy już wrócić?

– Do domu? – upewniła się, a na jej twarzy pojawił się figlarny uśmiech.

– To też.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tam, gdzie koty czują się najlepiej. Do łóżka, kochana czarownico – wyjaśnił z uśmiechem mruczka nad miską śmietany. – Do łóżka.

KONIEC
na pewno?

Podziękowania

Od kiedy zaczęłam przygodę z self-publishingiem, zdążyłam już być na kilku targach, poznać mnóstwo ciekawych, inspirujących ludzi, a nawet założyć firmę!

Powstało Wydawnictwo Projekt Chaos, które powolutku zdobywa swoje grono czytelników.

To już trzecia moja książka, którą wydaję samodzielnie, i wciąż uczę się czegoś nowego. Kiedyś nie przypuszczałam nawet, że jestem zdolna rzucić się w wydawniczy wir... i nie zatonać od razu. Dziś wiem, że potrafię i nadal chcę to robić, ale nie utrzymałabym się na powierzchni, gdyby nie grupa dobrych dusz. W tym miejscu chciałabym podziękować moim redaktorkom: Ani – za jej wprawne oko wyłapujące każdy błąd, nie tylko stylistyczny, i Monice – za cudowne komentarze podtrzymujące mnie na literackim duchu. Wielkie uznanie należy się mojej mamie, Arlecie Tylewicz, pierwszej czytelniczce i największej opoce. Dziękuję też patronkom, które jeszcze przed wydaniem rzuciły się w internetowe fale, aby nieść informację o Walentynce do wszystkich potencjalnych czytelników, być może także do Ciebie.

Do zobaczenia w następnej książce!

Malwina A. Tylewicz

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

Podziękowania